

James Oliver Curwood

---

# Bari, syn Szarej Wilczycy

Prószyński i S-ka

Bari, syn Szarej

Wilczycy

PRZEŁOŻYŁ JERZY MARUCZ

## ŚWIAT BARIEGO

Przez wiele dni po urodzeniu świat był dla Bariego obszerną i mroczną jaskinią. Mieszkał

w sercu wielkiego wykrotu, gdzie ślepa Szara Wilczyca znalazła bezpieczne schronienie na czas jego dzieciństwa. Kazan, towarzysz wilczycy, odwiedzał ją z rzadka; w ciemności oczy psa błyszczały niby zielone latarnie. Te oczy właśnie dały Bariemu poznać, że istnieje coś jeszcze prócz łona matki — objawiły mu zmysł wzroku. Dotychczas miał czucie, węch i słuch, ale w tej czarnej pieczarze, pod sklepieniem zwalonych drzew, nie w i d z i a ł

nic do chwili przybycia oczu..

Na razie przeraziły go; potem wzbudziły w nim ciekawość i strach zamienił się w zainteresowanie. Nieraz gdy przyglądał się im badawczo, raptem ginęły. Zdarzało się to, ilekroć Kazan odwracał łeb. Po tem znów zapalały się w mroku tak niespodzianie, że Bari mocniej przytulał się do matki, która zawsze lekko drżała podczas odwiedzin psa.

Bari oczywiście nie miał nigdy poznać historii rodziców. Nie miał się nigdy dowiedzieć, że jego matka, Szara Wilczyca, miała w żyłach czystą krew wilczą, gdy ojciec, Kazan, był psem. Poczynała się w nim co prawda budzić inteligencja, jednak jej rozwój nie mógł przekroczyć pewnych granic. Z

czasem pojął, że jego matka jest ślepa, lecz nigdy nie dowiedział się o zażartej walce między Szarą Wilczycą a rysiemi, w której nieszczęsna samka postradała wzrok. Przyroda nie mogła mu nic powiedzieć o straszliwej zemście Kazana ani odmalować pięknych lat wspólnego życia, wzajemnej wierności, dziwnych przygód wśród dzikich puszczy kanadyjskich; mogła go tylko uczynić synem Kazana.

Lecz na razie i w ciągu wielu dni istniała dlań tylko matka. Nawet gdy jego ślepki otwały się szeroko i gdy już utrzymywał się na łapkach, tak że mógł się trochę wałęsać w ciemności — dla Bariego nie było na świecie nic prócz matki, choć wciąż jeszcze nie wiedział, jak ona wygląda. Czuł natomiast, że jest duża, miękka i ciepła, że językiem oblizuje imi. pyszczek i przemawia do niego łagodnym skowytami, co dopomogło mu wreszcie do wydobycia własnego głosu w słabym, skrzekliwym piśnięciu.

Ale przedtem jeszcze nadszedł cudowny dzień, gdy zielonkawe latarnie, będące oczyma Kazana, zbliżyły się nieco, czyniąc to powoli i bardzo ostrożnie. Dotychczas Szara Wilczyca zachowywała się tak, że pies musiał się cofać.

Samotność w tym okresie była pierwszym nakazem jej dzikiej krwi. Głuchy pomruk — i Kazan

stawał. Lecz tego dnia pomruk się nie ozwał, a raczej zamarł w gardle samki jako niski skowyt. Drżała w nim nutą tęsknoty i szczęścia. „Już dobrze” — mówiła psu, który przystanąwszy na chwilę, odpowiedział

głębokim skomleniem.

Kazan zaczął się zbliżać jeszcze wolniej, jakby niepewny tego, co znajdzie, a Bari ciaśniej przyłgął do matki. Usłyszał potem, jak pies ciężko pada na brzuch obok wilczycy. Nie czuł strachu, tylko silną ciekawość. I Kazan również, był mocno ciekaw. Sapnął. Nastawił

uszy. Po pewnej chwili Bari zaczął się ruszać.

Cał za całem odpełził od boku matki. Każ-, dy mięsień jej smukłego ciała zeszytywniał. Wilcza krew słała nieufną przestrożę: Bariemu grozi niebezpieczeństwo! Jej wargi zmarszczyły się obnażając kły. Gardziel drżała bezgłośnie: Z

mroku, z odległości dwu

jardów, doleciał słaby pisk szczenięcy i pieszczotliwe mlaskanie języka Kazana. Bari przeżył pierwszą w życiu przygodę. Odnalazł

ojca.

Wszystko to zaszło w trzecim tygodniu jego szczenięcego życia. Ukończył właśnie osiemnaście dni, gdy Szara Wilczyca pozwoliła Kazanowi zawrzeć znajomość z synem. Gdyby nie kalectwo i wspomnienie dramatu na Słonecznej Skale, wilczyca urodziłaby Barięgo na otwartej przestrzeni i łapki szczeniaka wzmocniłyby się rychło. Od razu by poznał

słońce, księżyc i gwiazdy, wiedział, co znaczy grzmot, oglądałby lśnienie błyskawic. Lecz wszystko się inaczej ułożyło i Bari nie miał w tej ciemnej pieczarze nic innego do roboty prócz łażenia w mroku i oblizywania drobnym, szkarłatnym językiem rozsianych wokoło surowych kości. Niejednokrotnie zostawał sam; słyszał, jak matka wychodzi, zawsze niemal na wezwanie Kazana — krótkie szczeknięcie dolatujące do wykrotu niby oddalone echo.

Sam nie miał nigdy zbytnej ochoty biec za nią, aż do dnia, gdy wielki, chłodny język Kazana przejechał po jego pyszczku. W ciągu tych paru sekund przyroda dokonała w nim cudownych zmian. Jak dotąd, jego instynkt nie zbudził się jeszcze w zupełności. Lecz teraz, gdy Kazan wyszedł pozostawiając ich samych, Bari przyzywał go z powrotem, piszcząc tak właśnie jak dawniej po odejściu matki.

Słońce stało prostopadle nad lasem, gdy po upływie godziny czy dwóch od wizyty Kazana Szara Wilczyca wymknęła się z pieczary.

Pomiędzy gniazdem Barięgo a wierzchołkiem wykrotu leżała gruba na czterdzieści stóp warstwa połamanych i ubitych korzeni i gałęzi, przez którą nie mógł się przedrzeć żaden promień. Ciemność bynajmniej nie przerażała szczeniaka, gdyż światła w ogóle nie znał.

Dzień, nie noc, miał go przerazić. Na razie jednak, pisnąwszy pod adresem matki, by zaczekała, odważnie podążył jej śladem. Jeśli Szara Wilczyca usłyszała wołanie syna, to w każdym razie nie zwróciła żadnej uwagi i chrzęst jej łap na kruchym chruście szybko zamarł w oddaleniu.

Tym razem Bari nie zatrzymał się przed zwałoną kłodą, grubą na osiem cali, która dotychczas, właśnie w tym kierunku, zamykała mu świat. Wgramolił się na górę i stoczył na drugą stronę. Dalej była Wielka Przygoda. Szczeniak dziarsko ruszył jej naprzeciw.

Przebycie pierwszych dwudziestu jardów zajęło mu sporo czasu. Potem dotarł do pnia wypolerowanego gładko łapami Szarej Wilczycy i Kazana i przystając co metr, by żałośnie wezwać matkę, powędrował przed siebie. W miarę jak szedł, świat jego zaczął

podlegać dziwnym zmianom. Dotąd nie znał

nic prócz czerni. Lecz obecnie ta czerń załamywała się w fantastyczne cienie i kształty.

Raz uchwycił nad głową ogniste lśnienie —

błysk słońca — co go tak zaskoczyło, że rozplaszczyl się na pniu i dobre pół minuty leżał bez ruchu. Później poczłapał znowu. W

dole pod nim zaskrzeczał gronostaj. Usłyszał

szybki tupot łapek wiewiórczych i dziwaczne whut, whut, whut, nie przypominające w niczym dźwięków wydawanych

kiedykolwiek przez Szarą Wilczycę.

Pień nie był już gładki, lecz chropowaty, i wiódł go w górę, coraz wyżej, pomiędzy splątane gałęzie, i stając się jednocześnie coraz węższy. Bari zaskomlił. *M* Wrażliwy nosek na próżno usiłował pochwycić ciepłą I woń matki. Raptem pośliznął się i upadł. Czując; że traci równowagę, wrzasnął przenikliwie.

Musiał się | poprzednio wgramolić wysoko, gdyż upadek był jak aia niego poważny.

Miękkie ciało, lecąc, obijało się to o jeden, to o drugi konar i gdy wreszcie bęcnął o ziemię, tchu mu brakło. Jednak prędko stanął

na | czterech drżących łapkach i zamrugął

ślepkami. Nowa groza przykuła go do miejsca.

Świat podległ szalonej zmianie. Był

morzem światła. Gdziekolwiek spojrzeł, widział dziwaczne rzeczy. Lecz najbardziej przerażało go słońce. Dało mu pierwsze wrażenie ognia. Uczuł ostry ból oczu. Gotów już był umknąć w przyjazny mrok wykrotu, ale w tej samej chwili zza stosu zwałonych drzew wyszła Szara Wilczyca w

towarzystwie Kazana. Radośnie upieściła syna pyskiem, a Kazan psim zwyczajem jął machać ogonem.

Bari miał odziedziczyć tę psią cechę.

Jakkolwiek pół wilk, stale miał wymachiwać ogonem na znak zadowolenia.

Usiłował nawet uczynić to teraz. Być może Kazan zauważył próbę, gdyż przysiadłszy na zadzie szczeknął z aprobatą.

A może po prostu mówił do Szarej

Wilczycy:

„No, nareszcie nasz bąk wylazł z tej jamy” Dla Bariego był to dzień niezmiernie ważny. Odnalazł ojca i świat.

# BITWA

A był to cudowny świat, pełen wielkiej ciszy, zamieszkały jedynie przez istoty leśne.

Najbliższa faktoria leżała o dobre sto mil, a najbliższe miasto o prawie trzysta mil na południe.

Przed dwoma laty Tusoo, traper z plemienia Cree, nazwał te strony swoją ziemią. Otrzymał

ją, zgodnie z prawem puszczy, w spadku po długiej linii przodków. Lecz Tusoo, ostatni ze swego wymierającego rodu, zginął od ospy, a żona i dzieci zginęły razem z nim. Odtąd ludzka stopa nie dotknęła przetartych przezeń ścieżek. Rysie się rozmnożyły. Karibu<sup>2</sup> i łosie rosły bezpieczne od kul. Bobry bez przeszkód budowały swe żeremia<sup>3</sup>. Tropy czarnego niedźwiedzia krzyżowały się równie gęsto jak dalej na południu tropy jeleni i łań. Gdzie ongi żelaza i trutki Indianina trzebiły stada wilcze, teraz płowe *mohekuns* mogły hulać bezkarnie.

Gdy zgasło słońce tego pięknego dnia, zjawił

się księżyc i gwiazdy pierwszej

prawdziwej nocy Bariago. A była to śliczna noc.

Czerwony księżyc w pełni' zeglował ponad knieją zalewając ziemię innym rodzajem światła, zdaniem Bariego, miększym i piękniejszym. Wilk odzywał się w nim gwałtownie, po-| wodując ostry niepokój.

Dniem drzemał na słonecznej spiekocie, lecz w lśnieniu miesiąca nie mógł usnąć. Węszył

nerwowo wokół Szarej Wilczycy. Samka]

leżała płasko na brzuchu, z kształtną głową czujniej uniesioną, nasłuchując tęsknie dźwięków nocy, \c oczekiwaniu zewu Kazana, który wymknął się n| łowy.

Podczas wałęsania się wokół wykrotu Bari z pół tuzina razy słyszał nad głową miękki trzepot i raz,« czy dwa dostrzegł siwe cienie szybko mknące w po->H wietrze. Były to wielkie północne sowy, zniżające lot, § by mu się przyjrzeć, i gdyby zamiast wilczkiem był '

królikiem, jego pierwsza noc na swobodzie stałaby się zarazem ostatnią. Gdyż w przeciwieństwie do królika — Wapoos, Bari nie grzeszył nadmierną ostrożnością.

Szara Wilczyca nie pilnowała go również zbyt zazdrośnie. Instykt mówił jej, że w tych lasach, z wyjątkiem człowieka, nie istnieje dla Bariego prawdziwe niebezpieczeństwo. W

żyłach miał i krew wilczą. Polował na wszystkie dzikie stworzenia, natomiast żadne z nich, skrzydlate czy czworonożne, | nie uważało go za pożądane mięso.

Bari wyczuwał to na swój sposób. Nie bał

się sów. nie trwożyły go ich dziwaczne, mrożące krew w żyłach wrzaski, rzucane z czarnych wierzchołków sosen. Lecz raz lęk się w nim ozwał i co prędzej uciekł do matki.

Stało się to, gdy jeden ze skrzydlatych my-

śliwych powietrza runął na dół na śnieżnego królika. Skrzek agonii nieszczęsnego skazańca sprawił, że serce Bariego zakołatało. W tym krzyku odczuł bliskość śmierci, zawsze obecnej tragedii puszc.

Tejże nocy uczył ją po raz wtóry, gdy ciasno przytulony do matki nasłuchiwał zewu wilczej zgrai mknącej po ciepłym tropie młodego samca karibu

A znaczenie tego wszystkiego i dziki dreszcz tych snaw pojawił o szarym brzasku, skoro wrócił Kazan niosąc w pysku olbrzymiego królika wierzgającego jeszcze w kurczowych podrygach.

Był to szczytowy punkt pierwszej fazy edukacji Bariego. Można było sądzić, że Szara Wilczyca i Kazan ułożyli wszystko z góry, by dać synowi praktyczną lekcję mordy. Ledwie Kazan rzucił zdobycz, Bari zbliżył się ostrożnie. Wapoo miał przetrącony grzbiet.

Okrągłe oczy zaszyły mu bielmem; nie czuł już bólu, lecz dla Bariego, gdy zanurzał kły w gęstą turzycę na piersi, królik był stanowczo pełen życia. Zęby nie doszły do mięsa. Ze szczenięcą pasją Bari rwał i szarpał. Pewien był, że zabija.

Czuł przedśmiertne konwulsje ofiary. Słyszał

ostatnie, nierówne oddechy opuszczające ciepłe ciało, więc warczał i darł, aż ostatecznie odleciał w tył, z pyskiem pełnym sierści. Gdy wrócił do ataku, Wapoo skonał na dobre, lecz Bari obrabiał go dalej z jednaką zaciekłością, nim Szara Wilczyca ostrymi kłami nie rozdarła zdobyczy na części. Po czym rozpoczęła się uczta.

W ten sposób Bari zrozumiał, że jeść, znaczy zabijać, a w miarę jak mijały dalsze dni i noce, rósł w nim szybko głód mięsa. Pod tym względem był prawdziwym wilkiem. Po Kazanie odziedziczył inne, wybitniejsze cechy.

Był wspaniale czarny, co później miało mu zyskać miano „Kusketa Mohekun” — Czarny Wilk. Na piersi miał białą gwiazdę. Na prawym uchu białe znamię. Ogon w szóstym tygodniu życia Bariego puszył się i wisiał nisko. Była to isticie wilcza kita. Uszy wziął po matce: krótkie, spiczaste, zawsze ruchliwe. Barki zapowiadały się wspaniale, na wzór barków Kazana; na ogół

przypominał pociągowego psa, różniąc się tylko tym, że zawsze stał bokiem do miejsca czy przedmiotu, który obserwował.

To znowu była cecha wilcza, gdyż pies zwraca się stale frontem do obiektu głównego zainteresowania.

Pewnej jasnej nocy, gdy szczeniak miał dwa miesiące, a na niebie usianym gwiazdami wisiał czerwony księżyc — tak wielki, że zdawał się dotykać wierzchołków sosen — Bari, siadłszy na

zadzie, zawył. Była to pierwsza próba. Lecz ton głosu wykluczał wszelkie wątpliwości. To był zew wilczy. Ale w chwilę później Bari, przemknąwszy do Kazana, niby zawstydzony własnym czynem, machał puszystą kitą w niezaprzeczenie pokorny sposób. Gdyby Tusoo, nieżyjący traper indiański, mógł go w tej chwili zobaczyć, osądziłby go podług tego ruchu.

Rozchwiany ogon świadczył, iż w głębi serca i w głębi duszy — jeśli miał duszę — Bari był psem.

Jeszcze inna cecha mogłaby ustalić pogląd Tusoo na Bariego. Dwumiesięczne szczenię wilcze nie myśli już o zabawach. Jest nieodłączną częścią dziczy i poluje na stworzenia mniejsze i słabsze od siebie. Tymczasem Bari ciągle jeszcze baraszkował.

W swych wycieczkach nie odbiegł nigdy dalej niż po strumień, czyli o jakieś sto jardów od wykrotu i matki. Pomagał rozszarpywać wiele martwych i konających królików i wierzył, jeśli w ogóle się nad tym kiedykolwiek zastanawiał, że jest strasznie odważny i 'dziki.

Lecz dopiero w dziesiątym tygodniu życia poczuł rycerskie ostrogi i stoczył swój pierwszy wielki bój z młodą sową.

Fakt, że Uhumisiu, wielka śnieżna sowa, uwiła gniazdo w złamanym pniu opodal wykrotu, zmienić miał całkowicie bieg życia Bariego tak właśnie jak kalectwo zmieniło bieg życia Szarej Wilczycy, a kij w dłoni ludzkiej —

życie Kazana. Strumień płynął tuż obok pnia strzaskanego niegdyś przez piorun. Pień ów stał w cichym, ciemnym ustroniu leśnym, otoczony wyniosłym murem czarnych jodeł, stale — nawet za dnia — pograżony w mroku. Bari zbliżał się często do skraju tajemniczej gęstwy, zaglądnąc w głąb ciekawie i z rosnącą chętką.

W dniu wielkiej bitwy pokusa stała się wprost nieznośna. Toteż Bari z wolna wkroczył między drzewa, szybko otwierając ślepka i chwytając uszkami wszelki dźwięk. Serce biło mu przyśpieszonym rytmem. Wokół już gęstniał mrok. Zapomniał o wykrocie, o Szarej Wilczycy i o Kazanie. Tu czekał nań dreszcz przygód. Łowił obce głosy, tak delikatne, jakby je powodowały pokryte futrem łapy i puchem porośnięte skrzydła. Pod nogami nie miał ziół ani kwiatów, lecz brunatny dywan z miękkich szpilek. Stąpało się po nich wygodnie i zupełnie cicho.

Bari oddalił się już o pełne trzysta jardów od wykrotu, gdy mijając gniazdo Uhumisiu wkroczył w zwarte zarośla młodych jodeł. I tu, na samej jego drodze, siedział — potwór.

Papajuczisiu — młoda sowa — miał

zaledwie trzecią część objętości Bariego, lecz wyglądał doprawdy przerażająco: szczeniakowi zdawało się, że widzi przed sobą sam łeb i oczy. Dotychczas nie spotkał nic podobnego.



Kazan nigdy nie przynosił takiego stworzenia

— i dobre pół minuty Bari, bez ruchu, przyglą-

dał mu się badawczo. Papajuczisiu nawet piórem nie drgnął. Lecz gdy Bari ruszył

naprzód, ostrożnie, krok za krokiem, oczy ptaka stały się jeszcze większe, a pióra na głowie napęczniały niby wzburzone wiatrem. Młody Papajuczisiu pochodził z rodziny dzikich i odważnych zabijaków, toteż nawet Kazan wo-lałby ominąć ten najeżony łeb.

Oddaleni zaledwie o dwie stopy, szczeniak i pisklę przyglądali się sobie wzajem. Gdyby Szara Wilczyca zobaczyła ich w tej chwili, mogłaby powiedzieć Ba-riemu: „Bierz nogi za pas i zmykaj”. A Uhumisiu, stara sowa, powiedziała by do Papajuczisiu: „Ty mały głuptasku, rozwiń skrzydła i leć”.

Lecz dorośli byli nieobecni i bitwa się zaczęła.

Papajuczisiu skoczył pierwszy i Bari wywrócił się z bolesnym szcęknięciem, podczas gdy dziób sowy, jak rozpalona śruba, ścisnął mu sam koniuszek nosa. Ten wrzask bólu i zdumienia był pierwszym i ostatnim głosem wydanym przez Bariego w czasie walki. Przemówił w nim wilk; ponad wszystko inne górowała wściekłość i chęć mordy.

Papajuczisiu, nie puszczając wroga, syczał

dziwacznie; Bari tarzając się po ziemi i usiłując się wyswobodzić; warczał nienawistnie i kłapał zębami.

Dobrą minutę był bezwładny i bezbronny.

Potem sowa uwikłała się w niskich chaszczach i dziób jej ześliznął się z nosa szczeniaka urywając drobny skrawek mięsa. Bari mógł

wtedy umknąć, lecz zamiast ratować się ucieczką, błyskawicznie skoczył na ptaka.

Papajuczisiu bęcnął na grzbiet, a wilczek zanurzył w jego piersi zęby jak igiełki. Zupełnie jakby usiłował ugryźć poduszkę, tak gęsto rosły pierze i puch. Zanurzał jednak kły coraz głębiej i właśnie gdy już zaczynał dobierać się do skóry sowy, Papajuczisiu, bijący dziobem nieco na oślep — a za każdym uderzeniem dziób jego zamykał się z metalicznym szcęknięciem — złapał

szczeniaka za ucho. Ból był okropny i Bari wyteżył całą energię, byle wreszcie przebić puchowy pancerz. Splątani ze sobą, przetoczyli się między karłowatą sośniną poza krawędź

parowu, którego dnem płynął strumień, i zlecieli po stromym brzegu w dół. Podskakując i obijając się o nierówności, Bari rozluźnił

chwyt. Natomiast Papajuczisiu trzymał mocno.

Nos Barięgo krwawił; miał wrażenie, że wyrrywają mu ucho ze łba. Na domiar złęgo w tej przykrej dla szczeniaka chwili świeżo zbudzony instykt doradził sowe użycie skrzydeł jako jeszcze jednej broni. Otóż sowa dopiero wtedy walczy prawdziwie, gdy posługuje się skrzydłami. Z radosnym sykiem Papajuczisiu poczał tłuc wroga tak gwałtownie i prędko, że Bari doznał zawrotu głowy. Był zmuszony zamknąć oczy i na oślepie tylko usiłował chwytać kłami. Po raz pierwszy od początku bitwy miał ochotę uciec. Próbował się wyrwać odpychając ptaka łapami, jednak Papajuczisiu, powolnie myślący, ale chwalebnej trwałości

ci przekonani, uczepił się ucha szczeniaka niby przeznaczenie.

W tej krytycznej chwili, gdy zrozumienie klęski przenikało już umysł Barięgo, ocalił go przypadek. Kły jego zamknęły się na jednej z nóg sowy. Papa-juczisiu wydał rozpaczliwy skrzek. Ucho było wreszcie wolne i Bari z triumfem a złośliwie szarpnął nogę ptaka.

Podniecony walką, nie słyszał szumu bystrego nurtu tuż pod sobą i raptem szczeniak i sowa, ześliznąwszy się przez krawędź głazu, runęli w wodę, a chłodny prąd wezbranego deszczem strumyka zdławił ostatni syk i ostatnie warknięcie dwóch małych zabijaków.

# STRASZLIWE PRZYGODY

Dla Papajuczisiu po pierwszym łyku wody strumień stał się niemal równie bezpieczny jak powietrze, gdyż pożegłował wnet z prądem, z lekkością mewy, dziwując się w swej wielkiej, wolno myślącej głowie, dlaczego leci tak szybko i wygodnie bez żadnego ze swej strony wysiłku.

Dla Bariego rzecz miała się zupełnie inaczej.

Poszedł na dno niemal jak kamień. Gwałtowny ryk napełnił mu uszy; było ciemno, duszno, okropnie. Silny prąd miotał szczeniakiem i przewracał go. Około dwudziestu stóp płynął

pod wodą. Potem wypłynął na powierzchnię i rozpaczliwie zaczął wiosłować łapkami. Mało mu to pomogło. Zdołał zaledwie parę razy mrugnąć ślepkami i złapać łyk powietrza. Porwał go znowu rwący nurt, pędził więc niby wyścigowy rumak środkiem dwóch zwałonych pni, tak iż na przestrzeni następnych dwudziestu stóp najbys-trzejsze oko nie zdołałoby wypatrzeć Bariego. Wynurzył się wreszcie na skraju pofałdowanej łachy, gdzie strumień tworzył coś na kształt miniaturowych progów;

dobrze sześćdziesiąt jardów

podskakiwał, odbijany to tu, to tam jak kosmata piłka. Stamtąd trafił do głębokiej i chłodnej krynicy i wreszcie, półmar-twy, mógł

wyleźć na żwirową wydmę.

Tu Bari dłuższy czas przeleżał w powodzi słońca, j Ucho mu dolegało, a nos palił, jakby go do ognia wetknął. Łapy i całe ciało miał

obolałe i gdy podreptał ostatecznie przez wydmę, był najbardziej pożałowania godnym szczeniakiem na ziemi. Ponadto całkowicie stracił orientację. Próżno rozglądał się szukając znajomych widoków, czegoś, co by go mogło zaprowadzić do domu. Wszystko dokoła było obce. Nie wiedział, że woda wyrzuciła go na przeciwległy brzeg strumienia i że chcąc dotrzeć do wykrotu, mu-j siałby przeciąć jego łożysko. Pisał, nie podnosząc jednak zbyt głośno. Szara Wilczyca mogłaby usłyszeć jego szczekanie, wykrot bowiem nie leżał dalej niż o dwieście pięćdziesiąt jardów w górę prądu, ale wilcza krew skłaniała Bariego do milczenia.

Pilnując brzegu ruszył w dół strumyka. W

ten sposób odwrócił się od wykrotu i każdy krok oddalał go od domu coraz bardziej. Co chwilę przystawał na-1 słuchując. Las gęstniał.

Nabierał głębszych cieni i tajemniczości. Jego milczenie napawało trwogą. Po upływie pół

godziny Bariego byłby nawet ucieszył widok Papajuczisiu. Już by się z nim nie bił, a tylko zagadnął o powrotną drogę do domu.

Bari znajdował się właśnie o trzy ćwierci mili od wykrotu, gdy trafił na miejsce, gdzie strumień

dzielił się na dwa ramiona. Nie miał

innego wyboru, jak dążyć wzdłuż koryta skręcającego nieco na południo-wschód. Ta rzeczulka nie płynęła wartko. Brakło jej lśniących mielizn i skał, wokół których nurt pienił się i pluskał. Toń ciemniała na równi z lasem. Była cicha i głęboka. Bari bezwiednie zanurzał się coraz dalej w głąb niegdyś łowieckiego rejonu trapera Tusoo. Odkąd Tusoo umarł, nikt tuj nie polował, z wyjątkiem wilków. Szara Wilczyca i Kazan nie zapuszczali się w tę stronę rzeczki, a i same wilki wolały raczej bardziej otwarte przestrzenie.

Bari znalazł się raptem nad głębokim, ciemnym gtawem, w którym woda leżała spokojnie jak oliwa, i serce omal mu nie wyskoczyło z piersi, gdy wielkie, gładkie, lśniące stworzenie, wychyliwszy się niemal tuż spod jego nosa, z donośnym chrupnięciem dało nurka w toń. Była to wydra — Nekik.

Nekik nie wiedział nic o obecności szczeniaka i w następnej chwili jego małżonka, Napanekik, wypłynęła spośród czarnych cieni, a za nią żeglowały trzy małe wydrzątka pozostawiając na oleistej wodzie błyszczące pasy. Teraz Bari zapomniał na chwilę o tym, że się zgubił. Nekik znikł pod powierzchnią i wynurzył się raptem spod brzucha swej połowicy z taką siłą, że do połowy uniósł ją w powietrze. Momentalnie znowu dał nurka, a Napanekik zajadle ruszyła w pogoń.

Bari nie podejrzewał, że wydry po prostu się bawią. Dwa małe wydrzątka napadły właśnie trzeciego bębna, a ten zdawał się rozpaczliwie bronić. Bari zapomniał się i szczechnął. Wydry błyskawicznie znikły. Jeszcze parę minut po wodzie stawu przechodziły fale i kręgi, aż wreszcie toń stała się znów gładka i spokojna.

Po krótkim czasie Bari cofnął się w krzaki i poszedł dalej.

Dochodziła dopiero trzecia po południu.

Zmierzch jednak zapadał szybko, a nieokreślony lęk dodawał chyżosci łapkom Bariego. Zatrzymywał się bardzo rzadko, nasłuchując pilnie, i właśnie w czasie jednego z takich postojów usłyszał dźwięk, na który odpowiedział radosnym skomleniem.

Było to dobiegające go gdzieś od przodu, dalekie wycie wilcze.

Bari nie myślał o wilkach, tylko o Kazanie, toteż skoczył w las i gnał poty, aż mu tchu zbrakło. Potem stanął i długi czas nasłuchiwał, lecz wycie nie powtórzyło się. Natomiast od zachodu przetoczył się głęboki, donośny grzmot. Pomiędzy szczytami drzew przemknęła jaskrawa błyskawica. Burzę poprzedzał żaloszny szept wiatru. Grzmot zbliżał się. Nowa błyskawica jakby szukała Bariego pod nawisłymi gałęziami chojaków, gdzie się schronił, cały drżący.

To była jego druga burza. Pierwsza przeraziła go tak okropnie, że czym prędzej zaczął się w głąb wykrotu. Najlepszym schronieniem, jakie mógł znaleźć obecnie, była jama pod dużym korzeniem, gdzie się też schował popłakując cicho. Tęsknił do matki, do domu, do czegoś miękkiego i bezpiecznego, w co by się można mocno wtulić. Zawodził

żałośnie, podczas gdy nad lasem rozpętał się huragan. Bari nigdy dotąd nie słyszał

podobnego hałasu ani też nigdy nie widział tak ognistych błyskawic jak podczas tej czer-wcowej ulewy. Miał wrażenie, że cały świat płonie, a ziemia trzęsie się i drży od łoskotu gromów.

Przestał płakać i skulił się, jak mógł, pod korzeniem częściowo chroniącym od deszczu, którego strugi, lecąc z wysoka, ciężły niby bicze. Ściemniło się, tak dalece, że w przerwie między jedną błyskawicą a drugą nie mógł

dojrzeć pobliskich pni.

O kilkanaście metrów od Bariego stało uschłe drzewo majaczące na tle ognistych smug niby okropne widmo; zdało się wyciągać do błyskawic powyginane ramiona zapytując tym gestem, czy która ośmieli się i uderzyć.

Wreszcie jedna je trafiła. Błękitny jęzor trzeszczącego płomienia przeleciał po martwym pniu, a skoro) dotknął ziemi, huknął

ogłuszający grzmot. Masywny pień zatrzęsł się i runął jak podcięty toporem. Padł tak blisko szczeniaka, że trysnęła nań ziemia, więc Baril szcęknął rozpaczliwie i usiłował głębiej zanurzyć się w płytką jamę.

Wraz z zagładą starego drzewa wyczerpała się furia burzy. Grzmot pognał na południo-wschód z turkotem jakby tysięcy naładowanych wozów, a za nim poszły błyskawice. Tylko deszcz lał bezustannie. Jamka Bariego nasiąkła wodą, a on sam, przemoczony do kości, szcękając zębami, czekał, co dalej będzie.

Czekał długo. Nim deszcz ustał i niebo się rozjaśniło, nastąpiła noc. Gdyby Bari wytknął głowę spod korzenia i uniósł nos do góry, mógłby dojrzeć gwiazdy poprzez igliwie.

Ale szczeniak kulił się wciąż na dnie swego schronu. Mijała godzina za godziną.

Wyczerpany, na pół zatopiony, obolały i głodny

— ani się ruszył. Wreszcie ogarnął go niespokojny sen, w którym raz po raz, tęsknie płacząc, wołał matki. Gdy wreszcie ośmielił się wyjść z ukrycia, był ranek i świeciło słońce.

Na razie Bari ledwo mógł ustać. Miał kurcze w łapkach, wszystkie kości były jakby wykręcone. Ucho, na którym zakrzepła krew, zeszywniało zupełnie, a gdy próbował

zmarszczyć skaleczony nos, mimo woli szcęknął z bólu. Jeśli to w ogóle było możliwe, wyglądał jeszcze gorzej, niż się czuł. Błoto zalepiało mu pierś; był cały uwalany i brudny.

Wczoraj tłusty i lśniący, szczeniak zmienił się w chude, nędzne stworzenie. Głód doskwierał mu potężnie. Dotychczas nie wiedział w ogóle, co znaczy prawdziwy głód.

Gdy ruszył dalej w tym kierunku co wczoraj, człapał ponuro i bez zapału. Łepki i uszki nie były już czujnie uniesione ku górze, a zainteresowanie światem znikło. Nie tylko głód go męczył, pragnął

przede wszystkim obecności matki. Tęsknił do niej jak nigdy przedtem. Chciał przytulić do jej boku drżące ciało, uczuć ciepłą pieśczoć języka i usłyszeć łagodne matczyne skomlenie. Do szczęścia potrzebny był mu Kazan, głęboki szary wykrot i ten kawał błękitu nieba uwieszony tuż ponad nim. Wędrując brzegiem strumyka, popłakiwał w swym osamotnieniu niby rozżalone dziecko.

Po pewnym czasie las zrzędł i to dodało Bariemu animuszu. Poza tym ciepło łagodziło ból fizyczny. Natomiast ;głód doskwierał

coraz silniej. Dotychczas w sprawach jedzenia szczeniak polegał w zupełności na Kazanie i Szarej Wilczycy. Rodzice przedłużyli mu sztucznie okres niemowlęctwa. Winne temu było kalectwo samki, która od urodzenia Bariego nigdy nie chodziła na dalsze łowy.

Naturalnym biegiem rzeczy Bari trzymał się boku matki, choć nieraz miał ochotę towarzyszyć ojcu.

Obecnie przyroda miała wiele do roboty, chcąc te błędy naprawić. Usiłowała też dać Bariemu do zrozumienia, iż nadszedł czas, gdy sam musi się zatroszczyć o swoje jądło.

Ten fakt z wolna, lecz uparcie przenikał do mózgu szczeniaka, aż zaczął wspominać drobne raczki chwytane na kamiennej tamie opodal wykrotu. Pamiętał również znalezione nad brzegiem otwarte małże i łakome kąski dobywane z wnętrza muszli. Ogarnęło go nowe podniecenie. Bari stał się raptem myśliwym.

Las rzedł i jednocześnie strumień stawał się płytszy. Płynął znów po piaszczystych łachach i drobnych kamiennych mieliznach, wokół

których Bari począł gorliwie węszyć. Dłuższy czas bez skutku. Rzadkie raki, widziane z dala, były wyjątkowo zwinne i nie- ) dostępne, a muszle tak mocno zamknięte, że nawet potężne szczęki Kazana zmiażdżyłyby je z trudem.

{ Dochodziła dwunasta, gdy Bari złowił

pierwszego raka, długości mniej więcej ludzkiego palca. Pożarł go łapczywie. Smak jądła dodał mu odwagi. Po południu schwytał

jeszcze dwa skorupiaki. O zmierzchu niemal wypłoszył z trawy młodego zająca. Mógłby go schwytać, gdyby był o miesiąc starszy. Głód dokuczał mu nadal, gdyż trzy raki na całą dobę sta-  
nowiły dla czczonego żołądka marne pożywienie.

Wraz z nadejściem nocy Bariego znów osaczyły] i trwoga i samotność. Nim zmierzch się skończył, szcze-: niak znalazł sobie schronienie; tym razem pod wielką skałą, na ciepłym, miękkim piasku. Od miejsca walki z sową uszedł spory szmat drogi. Znajdował się o osiem do dziewięciu mil od rodzinnego gniazda.

Z tyłu i z boków skały rósł ciemny bór; od przodu leżała otwarta przestrzeń. Gdy wstał

księżyc, Bari mógł widzieć strugi wody pomarszczone niby srebrna łuska, w świetle prawie tak jasnym jak światło dzienne. Od kryjówki aż do samego brzegu biegło szerokie pasmo białego piachu.

Na ten piasek w pół godziny później wkroczył wielki, czarny niedźwiedź.

Zanim Bari podpatrzył igrające w wodzie wydry, jego znajomość istot leśnych ograniczała się do stworzeń własnego gatunku, prócz królików, sów i drobnych ptaków.

Wydry się nie uląkł, gdyż wciąż jeszcze mierzył wszystko miarą wzrostu i objętości ojca, a Nekik był przeszło o połowę mniejszy od Kazana. Lecz w porównaniu z niedźwiedziem, który był istnym olbrzymem, Kazan sprawiał wrażenie karła.

Jeśli przyroda chciała wpoić Bariemu przekonanie, że las zamieszkują nie tylko psy i wilki, raki i sowy, ale również istoty daleko większe, należy przyznać, iż wzięła się do tego zbyt obcesowo. Niedźwiedź Wa-kajo bowiem ważył pełne sześćset funtów; od miesiąca pasł

się rybami, toteż odpowiednio utył. Błyszczące, czarne futro w świetle księżyca robiło wrażenie aksamitu. Kroczył sobie wolno, dziwnie kołyszącym chodem, z nisko zwieszonym ciężkim łbem. Groza dosięgła szczytu, gdy Wakajo stanął bokiem zwrócony do skały, o dziesięć stóp zaledwie od Bariego, który trząsał

się i dygotał jak w ataku febry.

Najwidoczniej Wakajo uchwycił w powietrzu woń szczeniaka. Bari słyszał, jak wielki zwierz sapie, jak węszy; łowił odbicie gwiazd w brązowych, nalanych krwią oczach niedźwiedzia, gdy ten podejrzliwie zwracał łeb w kierunku skały. Gdyby Bari odgadł wtenczas, iż on, nic nie znaczący malec, denerwuje i niepokoi olbrzyma, szczeknąłby radośnie.

Wakajo bowiem, bez względu na swój poważny wzrost, był nieco tchórzem, gdy szło o wilki. A Bari nosił ze sobą wilczy zapach.

Zapach ów tężał w nozdrzach niedźwiedzia. I w tej chwili właśnie, jakby chcąc spotęgować niepokój kudłacza, z głębi lasu rozbrzmiało długie, ponure wycie.

Wakajo mruknął i ruszył z miejsca klusem.

Wilki to zaraza — rozważał. — Nie będą się bić, jak należy. Natomiast poczną doskakiwać zewsząd, szarpać i ujadać godzinami, gdy zaś im stawić czoło, zwieją w bok, że ani łapą sięgnąć. Po cóż więc im w drogę j wchodzić w taką piękną noc jak dzisiejsza? — Umykał

zdecydowanie. Bari słyszał, jak niedźwiedź

ciężko chlupie brodząc przez strumień. Dopiero wtenczas odetchnął swobodnie. Dusił się prawie.

Ale to jeszcze nie był koniec wzruszeń. Bari wybrał schronienie w miejscu ogólnego wodopoju, tuż obok brodu, którym się posługiwały zwierzęta przechodząc z jednego lasu do drugiego. Zaledwie niedźwiedź znikł, szczeniak usłyszał ciężki chrzęst piasku, chrobot racic po kamieniach i minął go potężny łoś o szeroko rozstawionych łopatach. Bariemu oczy wylazły na wierzch, gdyż jeśli Wakajo ważył sześćset funtów, to olbrzymi byk, którego nogi były tak dłu-gie, że zdawał się biec na szczudłach, ważył przynajmniej dwa razy tyle. Za bykiem szła kłępa<sup>1</sup>, a na końcu cielę<sup>2</sup>. Cielę to już

się chyba składało z samych nóg. Bari zupełnie stracił głowę. Cofnął się pod skałę tak głęboko, jak tylko mógł wleźć, i ści- i śnięty, niby sardynka w pudełku, przeleżał do rana.

## TRAGEDIA PUSZCZY

Kiedy o brzasku następnego dnia Bari ośmielił się wyleźć spod skały, był stanowczo znacznie starszy niż wtenczas, gdy na drodze w pobliżu wykrotu spotkał młodą sowę. Jeśli doświadczenie może zająć miejsce lat, szczeniak ogromnie wyrósł w ciągu ubiegłych, czterdziestu ośmiu godzin. Prawdę mówiąc, już niemal wyszedł ze szczeniectwa. Zbudził się z zupełnie innym i znacznie szerszym światopoglądem.

Dla Bariego złożyło się szczęśliwie, że nie rozumiał fjeszcze, iż jego własna krew — wilk — jest największym postrachem kniei.

Inaczej, wzorem małego chłopca, co to się ma za skończonego pływaka, choć ledwo zna właściwe ruchy, łatwo mógł trafić na głębię i pójść na dno.

Pełen podniecenia, z grzbietem zjeżonym niby szczotka, mruczając głucho, Bari obwąchał wielkie tropy pozostawione przez łosia i niedźwiedzia. Zwietrzywszy zapach tego drugiego warknął. Kierując się śladami zeszedł

nad sam brzeg strumyka. Potem skręcił wzdłuż łożyska, rozpoczynając dalszą wędrówkę i jednocześnie poszukiwanie żeru.

W ciągu dwu godzin nie znalazł ani jednego raka. Później spomiędzy zielonych chaszczy wszedł w obręb spalonego lasu. Wszystko tu było czarne. Pnie drzew robiły wrażenie wielkich, osmolonych słupów. Było to stosunkowo świeże pogorzeliisko — z ubiegłej jesieni; łapy Bari ego tonęły w miękkim popiele. Strumień rwał prosto przez tę czarną pustkę, a z błękitnego nieba patrzyło jasne słońce. Bardzo się to podobało Bariemu. Lis, wilk, łoś lub karibu zawróciłyby co prędzej. Za rok miał tu powstać świetny teren łowiecki, lecz obecnie kraj był zupełnie martwy. Nawet sowa nie znalazłaby tu łupu.

Lecz Bariego wabiło słońce, otwarte niebo nad głową i miękki szlak dla łapek. Po strasznych leśnych przygodach bardzo tu było mile iść. Toteż trzymał się nadał strumyka, jakkolwiek istniało mało szans znalezienia żywności. Woda ściemniała i ciekła leniwie; koryto zawałały osmolone szczątki ciśnięte tam wichrem pożogi. Brzeg był grząski, rnułisty. Po jakimś czasie, gdy Bari stanął i rozejrzał się, nie mógł już dostrzec zielonej gęstwy pozostałej w tyle. Był sam wśród rozpaczliwej pustki. Cisza panowała śmiertelna. Ani ptak nie ćwierknął. Na miękkim popiele łapy nie sprawiały żadnego szelestu. Bari jednak się nie bał. Przeciwnie, tu właśnie czuł się bezpieczny.

Gdyby tylko mógł znaleźć coś do jedzenia!

Sprawa ta interesowała go najbardziej. Instynkt nie umiał mu jeszcze wyjaśnić, że wszystko, co widzi wkoło, znaczy: klęska głodu. Poczłapał



dalej, pełen dobrych myśli. Lecz w miarę upływu godzin zaczął tracić nadzieję. Słońce spływało na zachód i niebo traciło świetlaną modrość; głuchy wiatr przelatywał pośród szczytów martwych pni i od czasu do czasu z przeraźliwym trzaskiem waliło się nadwątlone drzewo.

Bari nie mógł już iść dalej. Na godzinę przed zmierzchem legł na otwartej przestrzeni, słaby i zgłodniały. Słońce znikło za lasem.

Księżyc wytoczył się od wschodu. Niebo lśniło gwiazdami. Bari przeleżał całą noc jak martwy. O brzasku zwłókł się nad strumyk, by łyknąć trochę wody, i resztką sił powędrował

dalej. Wilcza krew nagliła go do wysiłku; ka-zała mu walczyć do ostatniego tchnienia. To, co w sobie miał z psa, chciało paść byle gdzie i umrzeć. Przeważał jednak wilczy upór. I nagroda nastąpiła niebawem. Po upływie pół

mili Bari wszedł znów między zielone chaszczce.

W kniei, zarówno jak w wielkich miastach, fortuna bywa ślepa i kapryśna. Gdyby Bari przywłókł się! w gąszcz o pół godziny później, byłby niechybnie zginął. Osłabł bowiem tak dalece, że nie mógł już szukać raków ani schwytać najsłabszego ptaszka. Lecz trafił

właśnie na moment, gdy gronostaj Se-i kusiu, najbardziej krwiożerczy spośród łotrzyków północy, popełnił mord.

Działo się to o sto jardów od sosny, pod którą leżał niemal konający Bari. Sekusiu był znakomitym łowcą w swej rodzinie. Ciało miał

długie na, siedem cali, cienki ogonek zakończony czarną kitą i ważył około pięciu uncji. Dziecięca rączka objęłaby go z łatwością gdziekolwiek między czterema łapkami, a ; maleńki, ostro zakończony łepiek, z dwojgiem oczu jak szkarłatne paciorki mógł przejść przez dziurkę o calowej średnicy.

W ciągu paru wieków Sekusiu mocno ważył

na szali dziejów. On to bowiem, gdy jego futerko warte było sto dolarów w królewskim złocie, zwabił za morze pierwszych szlacheckich awanturników pod wodzą księcia Ruprechta; za jego przyczyną stworzone zostały wielkie handlowe kompanie i odkryta połowa ogromnego kontynentu. Trzy wieki niemal walczył o prawo istnienia z ćmą przebiegłych traperów. Obecnie zaś, jakkolwiek przestano go cenić dosłownie na wagę złota, był nadal najsprytniejszym, naj-dzikszym i najnielitościwszym spośród leśnych mieszkańców.

Podczas gdy Bari leżał pod drzewem, Sekusiu skradał się ku swej zdobyczy. Była to tłusta kuropatwa stojąca pod kapą czarnych porzeczek. Żadne żywe stworzenie, najczujniejsze nawet, nie zdołałoby usłyszeć ruchów gronostaja. Sprawiał się cicho niby cień; tu błysnął bielą, tu czernią, tu znów się ukrył za grudą ziemi wielkości pięści ludzkiej; tu się pojawił, tu znikł kompletnie, jakby w ogóle nigdy nie istniał. W ten sposób, oddalony początkowo o pięćdziesiąt stóp od kuropatwy, znalazł się w pewnej chwili tylko o trzy stopy od niej. Była to jego ulubiona odległość.

Nieomylnym susem dopadł sennego ptaka i poprzez pierze chwycił go zębami za gardło.

Sekusiu był najzupełniej przygotowany na to, co się teraz stanie. Ilekroć atakował

Nepenao, leśną kuropatwę, wypadki rozwijały się zawsze w jednaki sposób. Skrzydła miała potężne i przede wszystkim myślała o ucieczce. Ot i teraz wzbiła się w powietrze z donośnym łopotem. Sekusiu trzymał mocno, głęboko zatapiając zęby i drobnymi pazurkami czepiając się piersi ptaka. Krążyli razem to tu, to tam, aż wreszcie o sto jardów od miejsca śmiertelnej napaści Nepenao runęła na ziemię.

Było to zaledwie o dziesięć stóp od Bariego.

Szczeniak spoglądał chwilę na trzepoczącą masę piór, oszołomiony, nie bardzo jeszcze rozumiejąc, że nareszcie tuż obok ma upragnione jado. Nepenao konała już, ale wciąż jeszcze konwuljnie biła skrzydłami.

Bari wstał ostrożnie i po paru sekundach, zebrawszy resztę sił, skoczył. Zanurzył kły w piersi kuropatwy i wtenczas dopiero spostrzegł gronostaja.

Sekusiu rozluźniwszy żabki uniósł głowę i złośliwe

oczy wpił na mgnienie w ślepia Bariego.

Zrozumiawszy, iż tak wielkiemu stworzeniu nie poradzi, z gniewnym skrzekiem umknął.

Skrzydła kuropatwy opadły, I a chrapanie w jej gardle zamarło. Nie żyła. Ale Bari 1 trzymał mocno i dopiero gdy nabrał zupełnej pewności, rozpoczął ucztę.

Sekusiu płonął żądzą mordy, smyrgał w koło nie podchodząc jednak nigdy bliżej niż na sześć stóp. Oczy miał czerwieńsze niż kiedykolwiek. Od czasu do czasu wydawał

przenikliwy wrzask wściekłości. Nigdy dotąd nie był zły. Nikt jeszcze nie ośmielił się porwać mu sprzed nosa tak tłustej zdobyczy.

Miał ochotę skoczyć i wczepić zęby w tętnicę na szyi Bariego. Lecz był zbyt dobrym strategiem, by dobrowolnie szukać klęski.

Walczyłby z sową. Bodaj nawet wydałby, bitwę wielkiemu bratu i najgroźniejszemu zarazem wrogowi — kunie leśnej. Ale w Barim rozpoznał krew wilczą, toteż wyładowywał pasję na odległość. Po pewnym czasie zresztą odzyskał rozum i udał się na łowy w inną stronę.

Bari pożarł część kuropatwy, a pozostałe szczątki: ukrył starannie u stóp wielkiej sosny.

Potem pośpieszył do strumyka ugasić pragnienie. Miał teraz całkiem inny pogląd na świat. Ostatecznie, zdolność! odczucia szczęścia zależy w znacznej mierze od do-I znanych poprzednio cierpień. Powodzenie mierzy się częstokroć sumą przeżytych niepowodzeń. Tak było z Barim. Przed czterdziestu ósmiu godzinami pełny żołądek nie uradowałby go nawet w dziesiątej części i tak jak dziś. Wdwczas ponad wszystko inne tęsknił ! do matki. Teraz ponad wszystko inne pożywał jadła. Właściwie doznanie mąk głodowych wyszło mu raczej na dobre, gdyż przyśpieszyło jego samodzielność. Opieki matczynej miało mu jeszcze braknąć długi; czas, nigdy jednak tak silnie jak wczoraj i przedwczoraj.

Tegoż popołudnia Bari uciął długą drzemkę leżąc tuż obok swej spizarni.

Zbudziwszy się odgrzebał resztki kuropatwy i spożył kolację. Gdy nadeszła czwarta samotna noc, nie szukał już schronienia jak na trzy noce poprzednie. Był

pełen animuszu i energii. Przy świetle gwiazd i księżyca wyszedł na brzeg lasu i udał się na pogorzelsko. Z nowym zainteresowaniem nasłuchiwał dalekiego wycia polującej zgrai wilczej. Łowił bez trwogi ponure hukanie sów. Dźwięki i cisze nabierały dlań ważnego i głębszego znaczenia.

Jeszcze jeden dzień i jedną noc Bari przetrwał w bliskości swego schowka, lecz gdy ogryzł ostatnią kostkę, ruszył dalej.

Znalazł się obecnie w okolicy, w której zdobycie pożywienia przestało być dla niego problemem. Była to kraina rysy, a ryś przebywa tam, gdzie gęsto smyrgają króliki. Skoro liczba królików zmniejszy się, ryś szuka natychmiast innego terenu łowów. Ponieważ króliki mnożą się przez cały okres letni, Bari trafił do istnej ziemi obiecanej. Bez trudu chwycił i mordował

młode króliczeta. Cały tydzień powodzenie mu sprzyjało, toteż z dniem każdym rósł i tył.

Pchany wciąż duchem włóczęgostwa oraz tęsknotą do matki i domu, Bari szedł nadal na południow-schód.

Inaczej mówiąc dążył prosto ku terenom Metysa i Pierrota.

Nie dalej jak przed dwoma laty Pierrot Du Quesne miał się za najszczęśliwszego człowieka w kniei. Było to przed wybuchem czerwonej zarazy, czyli ospy. Pochodząc sam z na pół francuskiej rodziny, pojął za żonę córkę wodza z plemienia Cree i długie lata przeżył z nią szczęśliwie w drewnianej chacie nad Gray Loon.

Pierrot był dumny z trzech rzeczy. Przede wszystkim chlubił się swoją żoną, Wyolą; potem — córką; na ostatek własną sławą łowiecką. Zanim przyszła czerwona śmierć, niczego mu do szczęścia nie brakło.

Lecz właśnie przed dwoma laty ospa zabiła mu żonę! Mieszkał nadal w chacie nad Gray Loon, ale by to już inny człowiek. Serce miał

chore. Umarłby zapewne, gdyby nie córka, Nepeese.

Imię to, oznaczające Wierzbę, nadała jej matka. Nepeese wyrosła dzika niby wierzba, smukła jak trzcina, dziedzicząc całą piękność księżniczki indiańskiej uszlachetnioną kroplą krwi francuskiej. Miała lal szesnaście, ogromne, ciemne, piękne oczy i tak wspaniałe włosy, że raz pewien przejezdny agent *I* z Montrealu usiłował je kupić. W dwu lśniących warkoczach, grubych jak ręka mężczyzny, opadały niema] do kolan.

— Nie, panie! — odpowiedział Pierrot na propozycję agenta, a w źrenicach miał chłodne błyski. — To nie na sprzedaż!

Właśnie gdy Bari wkraczał w obręb myśliwskich terenów Pierrota, Metys, wrócił raz z lasu mocno zafrasowany.

— Jakiś zwierz morduje mi młode bobry —

tłumaczył córce po francusku. — Ryś albo wilk. Jutro więc... — i wzruszając znacząco chudymi ramionami, uśmiechnął się do niej.

— Idziemy na polowanie! — radośnie zawołała Nepeese w miękkim narzeczu Cree.

Wiedziała, iż jeśli Pierrot mówi: jutro — i uśmiecha się przy tym, śmiało może liczyć na wspólną wycieczkę.

Nazajutrz pod wieczór Bari przeszedł Gray Loon' po moście ze zwalonych drzew, uwikłanych w przybrzeżne korzenie. Skierował

się teraz ku północy. Tuż za improwizowanym pomostem leżała mała polanka. Bari przystanąwszy poddał się pieszczocie za-j chodzącego słońca. Gdy tak tkwił bez ruchu, natężywszy słuch, z nisko zwieszoną kitą i uszkami na sztorc, łowiąc spiczastym nosem ciekawe wonie, każdy z leśnych mieszkańców wzięłby go za młodego wilka.

Spoza oddalonej o sto jardów kępy młodych jodeł pierrot i Nepeese obserwowali jego przeprawę przez rzekę- Teraz nadeszła właściwa chwila i Pierrot uniósł fuzję. Dopiero wtedy Nepeese leciutko dotknęła jego ramienia. W podnieceniu, oddychając trochę szybciej, szepnęła:

— *Nootawe!!* Pozwól mi strzelić! Ja go zabiję!

Pierrot zachichotał wręczając jej broń. W jego oczach wilczek był jakby martwy. Z tej odległości Nepeese dziewięć razy na dziesięć trafiała w kwadrat o calowej średnicy. A dziewczyna, mierząc starannie, pewnym palcem nacisnęła spust.

## DWUNOGI POTWÓR

Skoro Nepeese nacisnęła spust fuzji, Bari dał

susa w powietrze. Uczuł siłę kuli, zanim jeszcze usłyszał huk. Podniosło go z ziemi, a potem potoczył

się koziołkując, zupełnie jakby dostał z boku mocny cios kijem. Przez mgnienie nie czuł nic. Później przeszył go ból ostry jak od rozpalonego żelaza, a jednocześnie pies wziął górę nad wilkiem i Bari, tocząc się i przewracając, zaskomlił przeraźliwie.

Pierrot i Nepeese wyszli spomiędzy jodeł; piękne oczy dziewczyny błyszczały dumą.

Strzał był celny! Lecz już w następnej chwili wstrzymała oddech, brunatne palce zacisnęły się na lufie fuzji. Pierrot, chichoczący z zadowoleniem, umilkł.

— *Uczimoo!* — zawołała Nepeese w narzeczu Cree.

A Pierrot, odbierając fuzję z jej rąk, powtórzył po francusku:

— Do diabła, pies, szczeniak!

Cwałem ruszył w stronę Bariego. Lecz stracili już parę chwil, a tymczasem Bari odzyskał przytomność.

Widział ich wyraźnie, biegnących polaną, nowy gatunek potworów leśnych. Z

zamierającym jękiem smyrgnął między drzewa, w gąszcz.

Zmierzch zapadał i Bari zmiatał między jodły nad wodą, gdzie leżał czarny mrok.

Dawniej dygotał *m* widok łosia i niedźwiedzia, teraz po raz pierwszy zrozumiał, co znaczy prawdziwe niebezpieczeństwo A było ono tuż.

Słyszał trzask gałęzi pod stopami ścigających go potworów; z dziwnym okrzykiem prawie mu następowali na pięty. I raptem, niespodzianie, Bari stoczył się w jakąś dziurę.

To, że ziemia się pod nim zapadła, było dla Barie-1 go prawdziwym wstrząsem. Jednak ani pisnął. WiM wziął znów górę nad psem. Krew wilcza kazała im! przykucnąć w jamie, wstrzymać oddech i trwać bej ruchu. Głosy huczały tuż ponad nim; nogi szukających prawie na niego włożyły. Unosząc wzrok widział jednego z nieprzyjaciół. Była to Nepeese.

Przystanęli właśnie i ostatnie blaski słońca ubarwiły jej policzki Bari nie spuszczał z niej oczu. Górząc nad bólem, rosło w szczeniaku nieznane uczucie. Patrzył jąła urzeczony.

Dziewczyna okoliła dłońmi wargi i głosem miękkim, żalonym, dziwnie krzepiącym dla strwożonego serduszka, poczęła wołać:

— *Uczimoo! Uczimoo! Uczimoo!*

Teraz zabrzmiał nowy dźwięk, również mniej straszny niż wiele innych leśnych głosów.

— Nie zdołamy go znaleźć, Nepeese —

mówił Pierrot. — Ukrył się gdzieś, by zdechnąć. Okropna szkoi

da! Chodź!

Na skraju polanki Pierrot przystanął

wskazując młodą brzoźkę równo ściętą strzałem dziewczyny Nepeese zozumiała.

Drzewko, grubości jej małego palca, skrzywiło lekko bieg kuli, przez co szczeniak uniknął natychmiastowej śmierci.

Nepeese odwróciła się znów, wołając:

— *Uczimoo! Uczimoo! Uczimoo!*

W oczach jej już nie było żądry mordy.

On tego nie zrozumie! — rzekł

Pierrot idąc

dalej. — To dzikie szczenię, urodzone z leśnego wilka. Może syn tej wielkiej suki trapera Koomo, co to zeszłej zimy uciekła w puszcze!

—I on zdechnie?

—Tak, zdechnie!

Ale Bari ani myślał zdychać. Zbyt dużo miał

sił żywotnych, by umrzeć od kuli, która mu tylko przebiła mięśnie przedniej łapy. Bo tak się właśnie stało. Mięśnie były rozdarte po kość, ale sama kość nienaruszona.

Wyczekawszy, aż zaświeci księżyc, Bari wygramolił się z jamy.

Łapa mu zeszywniała tymczasem; przestała już co prawda krwawić, za to ciało gryzł

dojmujący ból. Dwunastu Papajuczisiow, uczepionych mocno jego nosa i uszu, nie potrafiłoby mu sprawić większych cierpień. Za każdym ruchem bódl go ból, szedł jednak uparcie. Instynktownie zdawał sobie sprawę, iż oddalając się od jamy, tym samym oddala się od niebezpieczeństwa. I miał rację, gdyż nieco później zawieruszył się tu jeżozwierz — swoim zwyczajem dobrodusznie bełkocący coś pod nosem — i z mocnym plaśnięciem wpadł do jamy. Gdyby Bari w niej pozostał, byłby tak naszpikowany kolcami, że zdechłby niechybnie.

Ruch przydał się Bariemu i z innej jeszcze przyczyny; nie pozwolił ranie „zastygnąć”, jak by powiedział Pierrot, gdyż w rzeczywistości skaleczenie było nie tyle poważne, co bolesne.

Pierwsze sto jardów szczeniak kuszykał na trzech łapach, po czym doszedł do przekonania, że choć ostrożnie, ale może się także posługiwać czwartą. Pół mili wędrował

brzegiem rzeki. Ilekroć gałąź dotknęła rany, gniewnie kłapał ku niej pyskiem, a skoro przeszył go ból, to zamiast jęczeć, warczał

złośliwie.

Teraz, gdy już wylażł z jamy, wrzała w nim znowu krew wilcza. W duszy rosła mu nienawiść, bynajmniej nie do jakiejś jednej istoty, lecz do wszystkich. W czasie walki z Papajuczisiu nie doznawał nic podobnego. Ale dzisiejszej nocy w Barim wygasły wszystkie psie cechy. Zwalił się na niego ogrom niej szczęść i ta nędza, ten ból zbudziły wilczą bestię! dziką i mściwą.

Pierwszy raz podróżował nocą. Na razie nie ban się żadnych zjaw mogących nań wyleźć z mroku! Najczarniejsze cienie przestały go trwożyć. Walczyła ze sobą dwie natury: psia i wilcza; w walce tej wili wygrywał na całej linii.

Bari przystawał chwilami by polizać ranę, a liżąc warczał, jakby i do rany samej odnosił się wrogo. Gdyby Pierrot zobaczył go takim i usłyszał, zrozumiałby od razu i rzekł:

— Dajmy mu zdechnąć! Żaden kij nie wypędzi z niego diabła!

W godzinę później, wciąż w tyrn samym nastroju, Bari opuściwszy zwartą gęstwę porastającą brzeg strumyka, wyszedł na bardziej otwartą przestrzeń rozesłaną u stóp łańcucha wzgórz. Na tej łące właś< nie polował Uhumisiu.

Uhumisiu był wielką śnieżną sową, a zarazem patriarchą wszystkich sów tej okolicy.

Ze starość oślepił niemal zupełnie, toteż odprawiał łowy inacze niż jego współplemieńcy. Nie czaił się po czarnych wierzchołkach sosen i jodeł i ani krążył w powietrzu gotów spaść niby piorun na bezbronną zdobycz; Wzrok zawodził go tak dalece, że ze szczytu drzewa nie dojrzałby królika, a lisa mógł łatwo wziąć za mysz.

Toteż stary Uhumisiu, mądry

doświadczeniem, po lował z zasadzki.

Kucnąwszy w trawie, godzinam trwał bez ruchu i dźwięku, z bezgraniczną cierpliwością oczekując nadejścia czegoś jadalnego. Czasem popełniał omyłki. Dwukrotnie wziął rysia za królika przy czym za drugim razem postradał

w walce nogę tak że drzemiąc we dnie, trzymał się gałęzi tylkc jednym szponem.

Kaleka, niemal ślepy, i tak stary że dawno już pogubił kępki piór nad uszami, posiadał wciąż jeszcze siłę olbrzyma, a gdy w złości kłapnął

dziobem, dźwięk dawał się słyszeć o dwadzieścia jardów.

Pech prześladował go od trzech dni, a dzisiejszej nocy szczególnie mu się nie wiodło.

Uhumisiu

zaatakował

niespodziewanie dwa króliki, które przesmyr-eały tędy. Pierwszego chybił haniebnie; drugiemu wydarł kłęb turzycy i to była cała jego zdobycz. Głód mu doskwierał okropnie i właśnie przeżuwał jałową wściekłość, gdy usłyszał kroki Barięgo.

Nawet gdyby Bari mógł zawczasu zajrzeć pod ciemny krzak stojący przed nim

dostrzec zaczajonego Uhumisiu, wątpliwe, czy byłby zboczył z drogi. I w nim wrzała krew. I on także gotów był do bitwy.

Uhumisiu zobaczył go nareszcie, bardzo niewyraźnie, idącego przez małą polankę.

Kucnął niżej. Pióra mu napęczniały, że wyglądał jak piłka. Niemal ślepe oczy płonęły jak dwie błękitne kule. W odległości dziesięciu stóp Bari przystanął na chwilę i polizał ranę. Uhumisiu przezornie czekał. Bari ruszył znów, mijając krzak zaledwie o sześć stóp. Szalonym susem, potężnie bijąc skrzydłami, Uhumisiu wpadł na szczeniaka.

Tym razem Bari nie wydał najmniejszego dźwięku bólu czy przerażenia. Jak mówią Indianie, wilk jest *kipiczimao*. Żaden myśliwy nie słyszał nigdy, by pojmany wilk skomlił o litość czy to pod ciosami pałki, czy pod groźbą kuli. Kona, do ostatka szczerząc kły.

Tej nocy sowa napadła nie młodego psa, lecz wilcze szcenię. Pod jej impetem Bari od razu przewrócił się na grzbiet i na chwilę znikł pod rozpostartymi skrzydłami, podczas gdy Uhumisiu, przygważdżając go do ziemi, usiłował zatopić w jego ciele jedyny swój szpon, jednocześnie z pasją bijąc dziobem.

Jeden cios tego dzioba w głowę zabiłby królika na miejscu, lecz Uhumisiu spostrzegł

zaraz, że to, co ma pod sobą, nie jest bynajmniej

królikiem.

Uderzeniom

odpowiedziało wściekle warczenie i Uhumisiu przypomniał sobie rysia, straconą nogę i śmiertelne niebezpieczeństwo, z którego się ledwo wydostał. Stary bandyta może by i umknął chętnie, lecz Bari w niczym już nie był podobny do szczeniaka walczącego z młodym Papajuczisiu. Doświadczenie i trudy wzmocniły go i przydały mu energii; od liza nia-kości przeszedł szybko do kruszenia ich, więc z nim Uhumisiu zdołał się cofnąć, jeśli w ogóle miał ten zamiar, zęby Barięgo z gniewnym kłapnięciem chwyciły nogę sowy.

Ciszę nocy zamącił jeszcze gwałtowniejszy łopej skrzydeł i Bari przymknął na chwilę oczy, by ni



oślepnąć od silnych uderzeń. Nie puszczał

jedną! i łącząc kły przez nogę przeciwnika, warczał wyżej wając. Chwył ten zawdzięczał

szczęśliwemu przy padkowi i wiedział

doskonale, że zwycięstwo lxxi klęska zależy od tego, czy zdoła nogi nie puścić. Staj ra sowa już nie miała drugiego szponu, by go przv gwoździć; nie mogła również, trzymana w ten spd sób, bić szczeniaka dziobem. Więc trzepała tylko c sił mocnymi skrzydłami.

Skrzydła te — długości czterech stóp każde -

sprawiły wokół Bariego wielki gwałt, ale nie szkol dziły mu wcale. Zanurzył kły głębiej.

Poczuwszy wreszcie smak krwi wroga, warknął

jeszcze zajadlej Wrzała w nim coraz silniej chęć zamordowania pia rzastego potwora, jakby śmierć sowy miała zapłaci za wszystkie nędze i cierpienia doznane od czasi straty matki.

Uhumisiu nigdy dotąd nie bał się prawdziwie. W swoim czasie ryś ugryzł raz tylko i poszedł pozo stawiając go kaleką. To było przykre, ale ryś przjs najmniej nie warczał

w ten wilczy sposób i nie trzy mał tak zajadle.

W ciągu tysiąca i jednej nocy Uhu misiu nasłuchiwał wycia wilków. Instykt wytłuma czył mu znaczenie tej pieśni. Widywał stada szybki mknące w mroku, a ilekroć go mijały, pilnował naj! głębszych cieni. Dla niego, jak i dla wszystkich lea nych stworzeń, głos wilka a śmierć to było jedno Lecz aż do chwili, gdy kły Bariego wpiły się mj w nogę, nie doznał

prawdziwej grozy wilczej. Jegj tępą mózgownica całymi latami rozwijała właściw|

obraz trwogi, lecz dopiero teraz strach szarpnął

nim mocniej niż jakakolwiek znana mu dotychczas namiętność.

Uhumisiu raptem przestał walczyć i cisnął

się w górę. Jego potężne skrzydła biły powietrze niby olbrzymie wachlarze i Bari nagle uczył, że się odrywa 0d ziemi. Nie puszczał jednak i po chwili oboje, ptak j zwierzę, runęli w dół z łoskotem.

Uhumisiu spróbował powtórnie. Tym razem powiodło mu się lepiej i podleciał w powietrze na pełne sześć stóp. Opadli znowu. Stary zbój po raz trzeci usiłował się wyzwolić —

nadaremnie. Wtenczas, wyczerpany, legł

szeroko rozpościerając wielkie skrzydła, sycząc i kłapiąc dziobem.

Pod tymi skrzydłami morderczy instynkt Bariego pracował wytrwale. Raptem zmienił chwyt wbijając kły w podbrzusze sowy. Zęby ugrzęzły w głębokiej warstwie puchu.

Uhumisiu bez zwłoki wyzyskał sposobność.

Momentalnie uniósł się w górę. Szarpnięcie, trzask dartych piór i wilczek pozostał sam jeden na placu boju.

Bari nie zabił co prawda, lecz zwyciężył.

Nadszedł jego pierwszy wielki dzień, a raczej wielka noc. Świat pełen był niezmiernych obietnic. Po chwili, siadłszy w trawie, zaczął

szukać w powietrzu zapachu wroga. Potem, niby wzywając pierzastego potwora do powrotu i zakończenia walki, uniósł ku gwiazdom spiczastą mordkę i posłał kniei pierwszy, na pół dziecinny, zew wilczy.

BOBRY

Walka z sową była dla Bariego znakomitym lekarstwem. Nie tylko nabrał zaufania we własne siły, ale wyładował jednocześnie nagromadzoną złość. Idąc dalej, nie warczał

już na każdą trącającą go gałąź i nie szczyrzył

zębów o byle co.

Noc była przedziwnie piękna. Księżyc stał

tuż nad głową, a niebo srebrzyły tak liczne gwiazdy, że wśród otwartych przestrzeni panowała niemal dzienna jasność. Zapadła wielka cisza. Wiatr nie szeptał w szczytach drzew i Bari miał wrażenie, że jego wycii poniosło się nieskończenie daleko.

Od czasu do czasu Bari łowił jakiś dźwięk; wtenczas stawał pilnie nasłuchując. Z bardzo daleka nad leciał łagodny ryk klepy, z małej sadzawki strzeli donośny plusk. Raz podchwycił twardy łoskot rogów; to dwa jelenie, oddalone o ćwierć mili, załatwiały pewien drobny spór. Lecz ilekroć zabrzmiało wycie wilcze, Bari siadał i długo się wsłuchiwał podczas gdy serce kołatało mu szybko w niezrozumiałym podnieceniu. Był to zew rasy, rosnący wolno lecz uparcie. Bari był

wciąż jeszcze samotnym włóczęgą. Ów duch włóczęgostwa ogarnia niemal każda dzikie zwierzę, z chwilą gdy już potrafi dbać o siebie; prawdopodobnie przyroda chce w ten sposób uniemożliwić rodzinne związki i przeciwdziałać de generacji. Bari był

wzorem wilka szukającego nowych terenów łowieckich lub młodego lisa idącego w świat

— nie miał w tej wędrówce żadnych metod ani planów. Po prostu szedł. Pragnął czegoś, czego nie mógł znaleźć. Pieśń wilcza zbudziła w nim nieokreśloną tęsknotę.

Gwiazdy i księżyc potęgowały owo pragnienie. Dalekie głosy dały mu pojąć własną samotność.

Instynkt mówił mu, że znajdzie tylko wtedy, jeśli będzie szukał. Obecnie nie tyle mu brakło Kazana i Starej Wilczycy, matki i domu, ile w ogóle towarzystwa. Skoro wyładował wilczą pasję w utarczce z sową, pies przyszedł znów do głosu, ta pocziwa część psia, co to chce się tulić do jakiejś żywej i przyjaznej istoty, nieraz wszystko jedno do jakiej.

Ciągle jeszcze dolegała mu rana od kuli; dokuczały też skaleczenia nabyte w czasie bitwy, toteż brzasku legł pod kępą buków nad brzegiem małego jeziora i pozostał tam do południa. Potem zaczął węszyć wśród trzciny i szuwarów w poszukiwaniu<sup>TM</sup>

żywności. Znalazł martwego raka napoczętego przez kunę i dokończył go.

Tego popołudnia rana dokuczała mu znacznie mniej; o zmierzchu prawie jej już nie czuł. Od czasu spotkania z ludźmi kierował się stałe mniej więcej na północ, instynktownie pilnując biegu wody; ale była to na ogół

powolna wędrówka i gdy znowu zapadła noc,

od jamy, w której leżał po strzale, dzieliło go zaledwie osiem do dziesięciu mil.

Tej nocy również nie uszedł zbyt wiele.

Fakt, iż kula dosięgła go o zmierzchu, a walka z sową odbyła się nocą — nieufnie nastroił go do ciemności. Nie bał się co prawda, lecz na razie dosyć miał przygód, toteż zachowywał

czujną baczność. Wiedziony dziwnym instynktem, obrał sobie leże u szczytu stromej skały, na którą się z trudem wydostał.

Możliwe, iż miało to jakiś związek z gniazdem, które Kazan i Szara Wilczyca wymościли niegdyś na Słonecznej Skale.

Skała Barięgo stała nad rzeczulką, z trzech stron otoczona lasem. Barię czuwał dobre kilka godzin, baczny na wszystko, ruchliwymi uszkami łowiąc każdy dźwięk. Dzisiejszej nocy powodowała nim tylko ciekawość. Pod pewnym względem zakres jego wiadomości szybko się poszerzał. Wiedział już, że jest małą drobiną na tej rozległej ziemi, i mocno pragnął zawrzeć z nią bliższą znajomość bez dalszych walk i cierpień.

Dziś rozumiał, że ogromne cienie cicho wypływające z lasu na wygwieżdżoną łączkę

— to sowy, potwory z gatunku tego ptaka, z którym stoczył zaciekły bój. Słyszał trzask chrustu i chrzęst gałęzi, gdy ciężkie ciała przedzierały się przez gąszcz. Słyszał także ryk łosi. Dochodziły go również inne głosy, zupełnie obce: ostre ujadanie lisa, wrzask rysia, niosący się z odległości paru mil, i niski skwir nocnych jastrzębi. Wiatr gwarzył

dziwnie pośród szczytów drzew, a raz, w chwili zupełnej ciszy, tuż za skałą donośnie gwizdnął kozioł, by wnet zwietrzyć w powietrzu wilczy odór i dać szalonego susa w ciemność.

Dla Barięgo wszystkie te dźwięki zawierały nową treść. Szybko przyswajał sobie znajomość kniei. Oczył mu błyszcząły, krew wartko płynęła w żyłach. Zrzadka tylko wykonywał jakiś ruch. Lecz spośród!

rozlicznych głosów najpotężniej działał zew wilczy! Łowił go raz po raz. Czasem leciał z dala, z taki daleka, iż sprawiał wrażenie szeptu prawie zamierającego w drodze; to znów brzmiał donośnie, gorący! szaleństwem łowów, wabiąc na krwawy trop, nał dziką orgię broczącej posoki i dartego mięsa — i wzywał, wzywał, wzywał...

Bari słuchał i drżał. W gardle narastał mu skowyt! Zstąpił na krawędź skały. Miał

ochotę biec. Natura wilcza pchała go gwałtownie. Lecz zew kniei walczył z innym głosem, w Barim bowiem przemawiał także pies — całe pokolenie stworzeń o przytłumionym pierwotnie instynkcie — i psia natura kazał mu pozostać w ukryciu.

Następnego ranka Bari, brodząc wzdłuż strumyka znalazł wiele raków i poty łykał ich soczyste mięso aż mu się wydało, że już nigdy nie będzie głodny Nic mu też nie smakowało tak bardzo, od chwil gdy zrabował gronostajowi kuropatwę.

Po południu Bari natrafił na część lasu niezmiernie cichą i spokojną. Strumień był tu o wiele głębszy.

Miejscami brzegi jego rozbiegały się szeroko, tworząc coś na kształt małych stawów.

Dwukrotnie szczeniak musiał nałożyć drogi chcąc je wyminąć.

Od czasu owego nieszczęsnego ranka, kiedy porzuć rodzinny wykrot, nie czuł się jeszcze nigdy tak „siebie". Miał nareszcie wrażenie, że trafił w znajome strony, że znajdzie tu i dom, i przyjaźń. Być może przemawiał w nim cudowny instynkt, gdyż była to dziedzina Szczerbatego. Tu właśnie ojciec jego i matka polowali przed jego przyjściem na świat.

Niedaleko stąd Kazan i Szczerbaty stoczyli ów straszliwy podwodny pojedynek, z którego pies ledwo uszedł z życiem.

Bari nie miał się nigdy dowiedzieć o tych wypadkach. Nie miał nigdy zgadnąć, iż kroczy starym szlakiem. A jednak Coś doń przemawiało. Wciągał powietrze, jakby odnajdując znajome wonie.

Las gęstniał. Było cudownie. Znikły krzaki i chaszczce, więc szło się między pniami niby obszerną, tajemniczą jaskinią, przez której sklepienie przeszerało złagodzone światło dzienne, rozjaśnione tu i ówdzie złotą plamą słońca. Dobrą milę Bari spokojnie kroczył

lasem. Nie dostrzegł nic godnego uwagi prócz paru drobnych ptasząt. Później trafił na staw, większy niż jakikolwiek z poprzednich. Wkoło rósł zwarty zastęp wierzb i buków. Drzewa iglaste powoli rzedły pozostając w tyle. Bari zobaczył połysk słońca na wodzie, a wnet potem usłyszał odgłosy życia.

Od czasu walki z Kazanem i wydrą kolonia Szczerbatego nie uległa żadnym większym zmianom. Stary wódz postarzał się jeszcze bardziej. Utył. Sypiał dużo i stracił bodaj trochę dawnej

przezorności. Drzemał właśnie na wielkiej tamie z łoś i chrustu, której był

naczelnym budowniczym, gdy Bari pojawił się na wysokim brzegu o pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt stóp od patriarchy.

Bari zachowywał się tak bezgłośnie, że żaden z bobrów go nie zauważył. Rozpłaszczył

się na brzuchu i ukryty za kępą trawy ciekawie badał każdy ruch kolonii. Szczerbaty obudził

się. Chwilę stał na czterech krótkich łapach, a potem, wsparty na szerokim, płaskim ogonie, niby żołnierz na posteruku, gwizdnął ostro i z donośnym pluskiem dał nurka w wodę.

W następnej chwili Bari doznał wrażenia, że cały staw roi się od bobrów. Głowy i ciała pojawiały się i nikły, ku jego najgłębszemu zdumieniu, mknąc to tu, to tam. Była to wieczorna zabawa kolonii. Ogony biły wodę jak wiosła trzymane na płask. Dziwaczne gwizdy górowały ponad pluskiem, aż zabawa ustała równie nagle, jak się zaczęła.

Bobrów było około dwudziestu, nie licząc młodzi ży, a jednak na powtórny gwizd uciszyły się wszystkie jednocześnie.

Część dała nurka i znikła pod wodą, większość jednak wylazła na brzeg.

Teraz bez zwłoki bobry zabrały się do pracy, Bari obserwował je tak ostrożnie, że nie drgnęło nawet źdźbło trawy, w której był

ukryty. Usiłowa zrozumieć. Starał się znaleźć właściwe miejsce w swym światopoglądzie dla tych przyjemnie wyglądających stworzeń. Nie przerażały go: ich liczba i wzrost nie budziły w nim żadnego lęku. Toteż leżał cicha nie ze strachu bynajmniej, lecz raczej z chęci zawarcia bliższej znajomości z mieszkańcami stawu. Jua teras za ich sprawą wielki las wydawał mu się mnie; obcy. Ale oto, tuż przed sobą, nie dalej niż o dziesięć stóp, zobaczył coś takiego, że omal nie zaskomli głośno, przejęty szczenięcą tęsknotą do towarzystwa Dołem, po nagim skrawku wybrzeża, dreptał mały! tłusty Umisk w gronie trzech towarzyszy. Umisk by akurat w wieku Bariego, może o tydzień lub dwz

młodszy. Ważył tyle samo, przy czym posiadał

niema kwadratowy kształt. Przyroda nie zdoła stworzyć nici miłszego nad młodego bobra, chyba że jest to młody! niedźwiadek, a Umisk wzięłby pierwszą nagrodę na każdym konkursie piękności, Jego trzech przyjaciela byli nieco mniejsi. Cała czwórka wyszła spoza niskiej! wierzby podskakując wesoło, a płaskie ogony wlokła im się u pięt niby małe saneczki.

Byli tłusci, porośli] miękkim futrem i w oczach Bariego wyglądali ogromy nie przyjaźnie; toteż serce szczeniaka zabiło radośnie. Jednak Bari ani drgnął. Ledwo oddychał. Umisk skręcił ku jednemu z towarzyszy i przewrócił go na grzbiet.

Momentalnie dwa pozostałe bobry wpadły na Umiska i już cała czwórka tarzała się po ziemi, wierzgając krótkimi łapkami, chlapiąc ogonami i pokrzykując skrzekliwie a wesoło.

Bari wiedział doskonale, że to nie walka, lecz zabawa. Uniósł się wolno i stanął na nogach. Zapomniał, gdzie się znajduje obecnie, i zapomniał w ogóle

o wszystkim; widział jedynie owe rozigrane, miękkie kłębuszki. Na krótką chwilę surowa lekcja przyrody wywietrzała mu z głowy.

Przestał być zabijaką, myśliwym, poszukiwaczem żywności. Był jedynie szczeniakiem, ogarniętym pragnieniem silniejszym niż głód. Miał ogromną ochotę zejść na dół do Umiska i jego przyjaciół, przewracać się z nimi i baraszkować. Chciał im powiedzieć, gdyby się to okazało możliwe, że stracił dom i matkę, że jest mu bardzo ciężko i że chętnie by pozostał tu wraz z nimi, jeśli nie mają nic przeciwko temu.

W gardle wezbrał mu najcichszy skowyt. Był

tak niski, że Umisk i jego towarzysze nic nie usłyszeli. Zabawa pochłaniała ich całkowicie.

Z wolna Bari zrobił pierwszy krok w ich kierunku, potem drugi, i trzeci — i oto już stał

na samym brzegu, o sześć stóp zaledwie. Jego ostre uszki były pochylone ku przodowi; drżąc całym ciałem, machał ogonem jak najszybciej.

Właśnie w tej chwili Umisk go spostrzegł i jego tłuste ciało momentalnie zeszywniało.

„Dzień dobry!” — rzekł Bari wykręcając się całym ciałem i mówiąc ruchami tak wyraźnie, jakby używał słów. „Czy mogę się z wami pobawić?”

Umisk nie odpowiedział. Jego trzech towarzysze wlepili także oczy w Barięgo.

Żaden ani drgnął. Robili wrażenie ogłuszonych. Cztery pary nieruchomych, zdumionych ślepek badały przybysza.

Bari uczynił nowy wysiłek. Przypadł na przednie łapy, podczas gdy tylne i ogon wykręcały się przy-I jaźnie, i sapiąc ujął w zęby suchy patyk.

„No, dalej, przyjmijcie mnie!” — nalegał.

„Ja wiem, jak się trzeba bawić!” Na dowód podrzucił patyk w powietrze i szczeknął.

Umisk i jego koledzy sprawiali wrażenie posązków.

s Lecz wtem ktoś jeszcze dostrzegł- Barięgo.

Był to wielki bóbr, który płynął w dół stawu pchając przed sobą kawał drzewa do nowo budującej się tamy. Błyskawicznie zaprzestając roboty spojrzał ku brze-II gowi. I wnet jakby strzał karabinowy huknęło klasnięcie jego ogona po wodzie — bobrzy sygnał trwogi, cichą nocą rozlegający się o pół mili.

„Niebezpieczeństwo!” — ogłaszał.

„Niebezpieczeństwo! Niebezpieczeństwo!”

Ledwie ten dźwięk się ozwał, już liczne ogony były o wodę po całym stawie, w ukrytych kanałach na zalewiskach wśród buków i wierzb. Umisk i poJ zostali malcy rozumieli jego znaczenie:

„W nogi, jeśli wam życie miłe!”

Bari stał teraz sztywno i bez ruchu. Pełen zdął mienia, obserwował, jak cztery małe bobry dają nurlka w wodę i nikną. Słyszał

plusk; potem zapadła dziwna i niepokojąca cisza. Bari zaskomlił cichutko! a w głosie jego przebijał prawie płacz.

Dlaczego bobry uciekły? Co takiego uczynił, że nie chcą się z nim bawić? Ogarnęła go niezmierną samotność, większa bodaj niż pierwszej nocy po strajcie matki. Gdy tak stał, słońce zeszło nisko na zachód i znikło.

Ciemniejsze cienie wypełzły na zwierciadło stawu. Spojrzał w las, gdzie mrok już gęstniał i z nowym skowitem cofnął się między drzewa.

Nie znalazł przyjaźni. Nie znalazł

towarzystwa. Serca Bariego pełne było smutku.

## WAKAJO

W ciągu dwóch czy trzech następnych dni wyjście prawy Bariego coraz bardziej oddalały go od stawu. Lecz zawsze

wracał tu nad wieczorem i dopiero trzeciej doby, znalazłszy nową rzeczulką i Wakajaj sprzeniewierzył się tej zasadzie.

Rzeczulka leżała o pełne dwie mile w głąb lasu. Była

zupełnie inna niż strumień. Śpiewała wesoło]

Wskakując po żwirowym łożysku między stromymi ścianami splekanych skał. Tworzyła głębokie krynice! i wiry pienne, a gdy Bari trafił nad jej brzeg pierwszy, powietrze drżało dalekim grzotem wodospadu. Było tu znacznie raźniej niż nad ciemnym milczącym stawem bobrów. Nurt wrzał życiem, a jego pęd i gwar budziły w Barim nowe uczucia. Wolno i ostrożnie przeszedł się wzdłuż łożyska i dzięki właśnie tej ostrożności, niespodziewanie i nie zauważony zobaczył wielkiego czarnego niedźwiedzia Wakajaj, zajętego połowem ryb.

Wakajaj stał po kolana w krynicy poza piaszczystą tamą melizny i wiodło mu się bajecznie. Właśnie gdy Bari cofał się wytrzeszczając oczy na widok tego potwora oglądanego tylko raz przedtem, jedna

z wielkich łap niedźwiedzia wyrzuciła wysoko w górę fontannę wody i jednocześnie spora ryba opadła na przybrzeżny żwir. Niezbyt dawno łososię tysiącami płynęły w górę rzeczulki dla odbycia tarła' i na skutek przedwczesnych susz wiele spośród nich trafiło do takich właśnie pułapek. Tłusty spasiony wygląd niedźwiedzia najlepiej świadczył, jak dalece sprzyjająca była dlań ta okoliczność. Toteż, pomimo że najlepszy sezon myśliwski minął, futro Wakaja lśniło wspaniałą, gęstą czernią.

Bari przyglądał mu się dobry kwadrans, podczas gdy zwierz wyrzucał ryby na brzeg.

Gdy wreszcie dał temu pokój, wśród kamieni leżało ze dwadzieścia łososi; jedne były już martwe, inne jeszcze trzepoczące. Bari, spłaszczony pośród dwu skał, słyszał chrzęst mięsa i trzask ości; niedźwiedź posilał się gruntownie. Odgłosy obiadu brzmiały bardzo przyjemnie, a świeża woń ryby nęciła silniej niż raki, a nawet przepiórka.

Bez względu na tuszę i wzrost Wakajo nie był żarłokiem, toteż zjadłszy czwartą rybę, łapami zgarnął resztę na kupę, przykrył je częściowo, długimi pazurami narzuciwszy kamienie i piasek, a zakończył pracę łamiąc małą jedlinę i w ten sposób do reszty zabezpieczając swoją zdobycz. Potem oddalił się z wolna w kierunku grzmiącego wodospadu.

Nie minęło dwadzieścia sekund od chwili, gdy Wakajo znikł za zakrętem, a Bari był już pod złamaną jodełką. Wyciągnął

jedną rybę, jeszcze żywą, Zjadł całą i uznał, że smakuje wyśmienicie.

Bari doszedł teraz do przekonania, że Wakajo rozwiązał dla niego problem

aprowizacji. Tego dnia ani doby następnej nie wrócił nad staw bobrów. Wielki niedźwiedź

bezustannie polował to w górze, to w dole rzeczulki i Bari miał okres nieprzerwanych] uczt. Znalezienie spiżarni Wakaja nie przedstawiało! dlań żadnych trudności. Wystarczyło wolno kroczyć! z biegiem łożyska i węszyć starannie. Niektóre skrytki zawierały nazbyt starą zdobycz i zapach ich był dla Bariego stanowczo przykry. Te wymijał starannie. Za to natknąwszy się na świeżo złowione ryby z rozkoszą chrupał jedną lub dwie.

Cały dzień upływał mu bez trosk. Aż nadszedł wielki

przełom, równie gruntownie zmieniając bieg życia Bariego, jak w swoim czasie morderstwo ludzkiej bestii zmieniło bieg życia Kazana.

Stało się to w dniu, gdy Bari, truchcikiem okrążając wielką

skałę w pobliżu wodospadu, znalazł się]

twarzą w twarz z myśliwym Pierrotem i ciemnooką dziewczyną Nepeese.

Najpierw zobaczył Nepeese. Gdyby



mężczyzna nawinął

mu się pierwszy, Bari zwałby momentalnie.

Lecz stało się inaczej i w szczeniaku przemówiła krew psych przodków budząc niepojęty' dreszcz. W ten sposób zapewne Joanna patrzyła niegdyś na Kazana.

Bari stał bez ruchu. Nepeese znajdowała się odef najdalej o

dwadzieścia stóp. Siedząc na złomie skał<sup>^</sup> w pełnym świetle poranka, rozczesywała swoje piękne włosy. Wargi jej się rozchyliły. Oczy błyszczały *m* kształt gwiazd. Jedną rękę miała uniesioną ku górze Poznała go. Dostrzegła białą plamę na piersi i białe znamię na uchu.

Półgłosem szepnęła: — *Uczimoosis!*

Był to bowiem ten sam dziki psiak, którego

postrzeliła nad wodą i o którym myślała, że zginął.

Poprzedniego wieczora Pierrot i Nepeese.

sklecili szałas u stop wielkiej skały. Traper rozpalał właśnie ogień do śniadania, klęcząc na białej, piaszczystej wydmie, a dziewczyna plotła warkocz. Pierrot podnosząc głowę, by przemówić do córki, dostrzegł Barie-go. W

też chwili czar przysł. Bari zobaczył, że męż-

czynna wstaje. Niby pocisk runął do ucieczki.

Nepeese była niemal równie szybka jak on.

— Prędko, ojcze! — krzyknęła. — To nasz szczeniak! Prędko!

W chmurze rozwianych włosów pomknęła za Barim niby wiatr. Pierrot ruszył za nią, w biegu chwytając fuzję. Trudno mu było sprostać córce. Przypominała duszki leśne lekkością lotu; nogi, obute w mokasyny \ lekko muskały piasek czubkami .palców. Wyglądała dziwnie uroczo w tym szalonym pędzie, z rozwianym bujnym włosom, i Pierrot przypomniał sobie raptem Mac Taggarta, agenta z Lac Bain, oraz jego wczorajsze słowa.

Pierrot dumając o nich nie spał pół nocy i tylko zaciskał zęby; dzisiejszego zaś ranka, nim Bari się pojawił, baczniej niż kiedykolwiek obserwował córkę. Doprawdy była piękna.

Piękniejsza nawet niż jej matka, Wyola, córka królewska. Te włosy, na które mężczyźni patrzyli w oszołomieniu, jak gdyby własnym zmysłem nie wierząc. Te oczy niby stawy w świetle gwiazd. Smukła kibić, podobna kwiatowej łodydze. A Mac Taggart powiedział...

Doleciało go raptem podniecone wołanie:

— Prędej, *nootawe!* Skręcił w ślepy parów!

Już nam teraz nie umknie!

Dyszała mocno, gdy się z nią zrównał.

Francuska krew barwiła szkarłatem policzki i wargi. Zęby bieleły jak mleko.

— O, tu! —

wskazała ręką.

Poszli dalej.

A na przedzie Bari zmiatał co sił.

Instynktowni! czuł, że te dziwaczne, długonogie stworzenia są obi darzone niezmierną potęgą. I one właśnie ściagała go.-

Słyszał za sobą ich kroki. Nepeese biegła niemal równie wartko jak on sam. Raptem Bari skręcił •« szczelinę pomiędzy dwie wielkie skały. Dwadzieścia stóp — i nieprzebyty mur zastąpił mu drogę. Cofnął się pędem. Gdy wyskoczył ze szczeliny mknąc cwai łem w górę parowu, Nepeese była nie dalej niż o dwadzieścia jardów, a Pierrot prawie u jej boku Dziewczyna krzyknęła:

— *Mana, mana!* Jest tutaj!

Urwała, śpiesząc za Barim w gęstwie młodych jodełek. Rozpuszczone jej włosy zaplątały się w gałęziach niby wielka, zgmatwana sieć, więc przystał nęła, by je zebrać przez ramię, wołaniem zachęcaj! ojca do pościgu. Pierrot minął ją; po paru chwilach

zwłoki skoczyła za nim. Nagle Metys krzyknął

ostrze gawczo. Bari skręcił gwałtownie i już rwał wstecz po własnym śladzie, wprost na dziewczynę.. Nie za' uważył jej dość wcześnie, by stanąć lub skręcić w bok, i Nepeese rzuciła się na ziemię tuż przed szcze makiem.

Sekundę lub dwie leżeli razem. Bari poczu więzy jej włosów i uchwyt rąk. Potem wyrwał

si< i znów pomknął w górę ślepego parowu.

Nepeese skoczyła na równe nogi. Śmiała się oddy chając szybko. Pierrot wracał ku niej biegiem. Nepeese wskazała dłonią poza jego plecy.

— Miałam go i nie ugryzł mnie! — rzuciła w podnieceniu. — Miałam go i nie ugryzł

mnie, *nooiawe*

W tym się mieścił cały cud. Nie ugryzł jej, pomimo że go chwyciła gołą ręką.

Patrzała wciąż w twarz ojca. Uśmiech z wolna uciekał z jej warg. Bardzo miękko szepnęła:

—Bari! Bari! — co w mowie jej plemienia zna-j czyło: dziki pies, brat wilka.

—Chodź! — przemówił Pierrot. — Bo nam ucieknie!

Zresztą traper był pełen dobrych myśli.

Paróva

zweził się znacznie. Bari nie mógł ich wyminąć niepostrzeżenie.

Po upływie trzech minut Bari dobiegł do ślepego końca parowu — stromej skały, prostopadle biegnącej w górę. Dzięki obfitym ucztom rybnym oraz długim godzinom snu szczeniak przytył znacznie, toteż próżno szukając wyjścia, z trudem łowił oddech.

Znajdował się w głębi półokrągłej kotliny na nagiej platformie, gdy Nepeese i Pierrot dostrzegli go po raz wtóry. Dziewczyna ruszyła na szczeniaka prosto jak strzelec. Pierrot, przewidując, co Bari teraz uczyni, pośpieszył

na lewo pod prostym kątem do ściany parowu.

Bari miotał się pośród głazów, rozpaczliwie szukając wyjścia. Po chwili znalazł wyłom —

skalne wrota. Prowadziły one do prześlicznego zakątka, obszaru mniej więcej akra, ze wszech stron — z wyjątkiem bramy łączącej go z parowem — zamkniętego wysokimi skalnymi murami. W głębi wodospad skacząc ze skały na skałę tworzył lśniące kaskady. Gęstą, zieloną trawę przetykały barwne kwiaty. W tej pułapce Pierrot schwytał już niejedną cenną zdobycz. Jedyna droga ucieczki wiodła pod lufę jego fuzji. Traper, widząc, dokąd Bari biegnie, krzyknął na córkę i razem jęli się pięć pod górę.

Bari dotarł już niemal do skraju łączki tworzącej naturalne więzienie, gdy wtem stanął

tak nagle, że aż przysiadł na zadzie i serce skoczyło mu do gardła.

Na jego drodze tkwił Wakajo, wielki czarny niedźwiedź.

Z pół minuty Bari wahał się, ujęty między dwie groźby. Słyszał głosy Pierrota i Nepeese.

Łowił chrobot kamieni pod ich nogami. Był

pełen okropnego lęku. Spojrzał na niedźwiedzia. Wakajo stał jak wryty. On również nasłuchiwał. Lecz dla niego istniały rzeczy gorsze niż te, które mu słuch przynosił

— płynąca powietrzem woń człowieka.

Szczeniak po raz pierwszy w życiu spotkał

się z niedźwiedziem oko w oko. Obserwował

co prawda, jak Wakajo łowił ryby; karmił się jego zdobyczą: czuł jednak

przed nim zawsze silny respekt połączony z trwogą. Teraz lęk pierzchł ustępując miejsca dziwnej ufności. Wakajo, tak potężny i silny nie zemknie chyba przed długonogimi stworzeniami ścigającymi go. Gdyby tylko Bari zdołał niedźwie-i dzia wyminąć, byłby bezpieczny!

Bari skoczył pod ścianę parowu i pomknął

ki łączce. Wakajo ani drgnął, gdy szczeniak go mijał zupełnie jakby ten był ptakiem czy królikiem. Nadleciał właśnie nowy kłęb powietrza nasycony ludzką wonią. Wakajo momentalnie nabrał życia. Skrę: cił i ciężko człapiąc podążył w ślad za Barim. Bar obejrzawszy się dostrzegł niedźwiedzia i pomyślał że to pogoń. Nepeese i Pierrot wyszli na szczyt wy niosłości i jednocześnie zobaczyli szczeniaka i Wa kaja.

Na łące wśród gęstej trawy Bari ostro skręcił

A prawo. Leżał tu ogromny głaz, jednym końcem wro sły w ziemię. Całość sprawiała wrażenie znakomitej kryjówki; Bari wśliznął

się pod spód.

Wakajo natomiast biegł wciąż przed siebie.

Ze swego ukrycia Bari doskonale widział

wszystko. Zaledwie wczołgał się pod głaz, już Pierrot i Nepeese pojawili się w skalnych wrotach i stanęli. To, że stanęli, podnieciło Bariego. Naturalnie przestraszyli się niedźwiedzia! Wielki zwierz znajdował się mnie; więcej w połowie łączki. Słońce biło nań z góry i futro błyszczało niby kosztowny czarny atlas. Pierrot przyglądał mu się chwilę. Metys nie zabijał dla rozkoszy mord. Lecz tym razem spostrzegł, iż mimo spóźnionej pory skóra niedźwiedzia jest bardzo piękna. Toteż uniósł karabin do ramienia.

Bari zauważył ten ruch. Zauważył w sekundę później, jak coś wytryska z lufy.

Potem usłyszał ogłun szający łoskot, jak wtedy gdy kula Nepeese przebiła mu mięśnie. Szybko zwrócił oczy na Wakaja. Wielki niedźwiedź

potknął się i ukląkł. Wstał z trudem. Poczłapał

dalej.

Fuzja huknęła znowu i Wakajo przewrócił

się po raz wtóry. Z tej odległości Pierrot nie mógł chybić. Wakajo był wyśmienitym celem.

To był mord. Lecz dla trapera i jego córki to była przede wszystkim praca umożliwiająca egzystencję.

Bari trząśł się. Z podniecenia raczej niż z trwogi, gdyż wobec tyłu niespodzianek trwoga opuściła go zupełnie. Patrząc na niedźwiedzia, zaskomlił cicho. Niedźwiedź wstał właśnie i obrócił się frontem do nieprzyjaciół. Pysk miał

szeroko rozwarty i z wolna chwiał głową, podczas gdy nogi ugiwały się pod nim, a krew chlustała z przebitych płuc. Huknął strzał trzeci i ostatni. Wakajo runął. Wielki łeb opadł

między przednie łapy. Chrapliwy kaszel targnął

powietrzem. Potem nastąpiła cisza.

W chwilę później, tkwiąc nad trupem, Pierrot powiedział do córki:

— Piękna skóra, *sakahet* M W Lac Bain dadzą za nią dwieście dolarów jak nic!

Dobył z kieszeni noża i począł go ostrzyć na kamieniu, który zawsze nosił przy sobie. Bari mógłby teraz wyleźć spod głazu i uciec, gdyż na razie zapomniano o nim zupełnie. Potem Nepeese przypomniała sobie o istnieniu szczeniaka i przemówiła znów swym dziwnym, śpiewnym głosem:

— Bari!

Pierrot, klęczący właśnie, podniósł na nią oczy.

— Tak, *sakahet!* On się urodził w kniei! A teraz umknął nam..

Nepeese przecząco pokręciła głową.

— Nie, nie umknął! — rzekła i badawczo przesunęła wzrokiem po zalanej słońcem łączce.

## **ŚMIERĆ ZAGLĄDA W OCZY**

Podczas gdy Nepeese rozglądała się wkoło po ciasnej pułapce, do której zagnali Bariego i Wakaja,

Pierrot, unosząc głowę znad roboty, bąknął

sarn do siebie:

— Nie, to niemożliwe!

Przed dwoma laty pochowano matkę Nepeese pod wyniosłą jodłą w pobliżu chaty.

Tego dnia słońce i Pierrota zgasło raz na zawsze, a i w duszy Nepeese i zapanował

nieukojony smutek. Było ich wtenczas 1 troje nad świeżą mogiłą. Pierrot, ona i pies, potężny 1 husky 1 z białą gwiazdą na piersi i białym znamię-1 niem na czubku ucha. Od małości był ulubień-1 cem Wyoli i sam nie odstępował

jej na krok. Gdy konowała, siedział przy łóżku z łbem na skraju kołdry. I tej nocy właśnie, wnet po pogrzebie, pies znikł. 1 Przepadł równie cicho i całkowicie jak jego pani. 1 Nikt go już nigdy nie widział. To było dziwne. Dla 1 Pierrota graniczyło to z cudem. W głębi serca pia- stował przekonanie, że husky towarzyszył

jego umiłowanej Wyoli tam, dokąd odeszła.

Lecz Nepeese spędziła trzy lata w szkole misyjnej w Nelson House. Nauczono ją tam wielu rze-;jB czy o białych ludziach, wiedziała więc, że to, o czym 1 ;myśli Pierrot, jest niemożliwe. Przypuszczała, że 1 pies jej matki zdechł albo przystał do wilków. Było 1 więcej niż możliwe, że to szczenię pochodziło z krwi 1 ulubieńca Wyoli. Biała gwiazda na piersi, białe zna- 1 mię na uchu, fakt, że jej nie ugryzł, choć mógł to 1 łatwo uczynić! Nabrała niemal zupełnego przeko- 1 nania, że się nie myli, i podczas gdy Pierrot opra- 1 wiał niedźwiedzia, Nepeese zaczęła polować na Ba- 1 fliego.

Bari ani się ruszył spod swej skały. Leżał

jakby i ogłuszony, z oczami wlepionymi w tragiczny obraz 1 na łące. Widział coś, czego nigdy nie miał zapo- 1 mnieć, tak jak nigdy nie zapomniał Kazana, Szarej 1 Wilczycy i starego wykrotu. Był świadkiem śmierci! istoty, którą miał za wszechpotężną. A przecie Wa-; 1 kajo wcale nie stoczył walki! Pierrot i Nepeese zabili go nie| d o t y k a j ą c n a w e t ! Teraz mężczyzna obrabiał niedźwiedzia czymś błyszczącym, a Wakajo ani drgnął. Bari zadygotał i cofnął się jeszcze o cal głębiej, choć i tak był wciśnięty w sam kąt.

Mógł obserwować Nepeese. Dziewczyna cofnęła się do skalnego przesmyku i stała teraz za ledwie o dwadzieścia stóp od Bariego.

Pewna, że jej szczeniak nie umknie, poczęła splatać lśniący włos w dwa grube warkocze.

Bari, zapominając o mężczyźnie, śledził ją ciekawie. Już się wcale nie bał. Przeciwnie, miał ochotę wypełznąć z kryjówki i zbliżyć się do tej nadzwyczajnej istoty o oczach jak gwiazdy.

Doznał wrażenia, że niewidzialna nić szarpie go za serce. To nie Szara Wilczyca, lecz Kazan przemawiał doń głosem krwi. Natomiast Szara Wilczyca ciągnęła wstecz. Wilcza krew kazała Bariemu leżeć w milczeniu i bez ruchu.

Nepeese rozglądała się wkoło z uśmiechem.

Gdy na chwilę odwróciła się do Bariego twarzą, zobaczył błyszczące oczy oraz białe lśnienie zębów.

Raptem uklękła i zajrzała pod skałę.

Oczy ich się spotkały. Dobre pół minuty oboje ani drgnęli. Nepeese zachowywała się tak cicho, że

Bari nawet jej oddechu nie słyszał.

Potem przemówiła szeptem niemal:

— Bari! Bari! *Upi* Bari!

Bari po raz pierwszy słyszał swe imię. W

ustach dziewczyny brzmiało niezmiernie łagodnie i kojąco, toteż pies odpowiedział

niskim skowytem. Nepeese z wolna wyciągnęła ramię. Było nagie, delikatne i okrągłe. Bari mógł je łatwo schwycić zębami, lecz coś go wstrzymywało. Wiedział, że to nie wróg; wiedział, że ciemne oczy, patrzące nań tak promiennie, nie tają w sobie groźby. A głos powtarzał wciąż:

— Bari! Bari! *Upi* Bari!

Nepeese, przemawiając bez ustanku, usiłowała! jeszcze odrobinę wczułgać się pod skałę. Nie mogła szczeniaka dostać. Między jej palcami a Barim pozostawało z ćwierć metra.

Naraz spostrzegła, że z drugiej strony jest małe wgłębienie, w którym leży kamień. Pomyślała, że jeśli potrafi go usunąć, będzie się mogła tamtędy wcisnąć.

Cofnęła się i wyprostowała w słońcu. Była ogrom-; nie podniecona. Pierrot pracował z zapalem przy ściąganiu skóry; postanowiła go nie wołać. Poradzi sobie sama. Usiłowała wyjąć kamień wciśnięty pod skałę, ale siedział

mocno. Zaczęła dłubać kijem. Gdyby Pierrot stał obok, byłby wnet zrozumiał znaczenie tego kamienia, mniej więcej rozmiaru wiadra. Leżał

tu być może od stuleci zapewniając skale równowagę.

Upłynęło pięć minut i Nepeese mogła już kamień poruszyć. Pociągnęła go ku sobie. Cał za całem wywlokła go z wgłębienia. Znów spojrzała na Pier-rot. Był ciągle jeszcze zajęty. Nepeese parsknęła wesołym śmiechem, zdejmując, z ramion wielką, czerwono-białą chustkę. Złowi w nią szczeniaka. Upadłszy najpierw na kolana, rozplaszczyła się na ziemi, a potem wpełzła pod skałę.

Bari poruszył się niespokojnie. Mając tył

głowy oparty o skałę, usłyszał coś, czego Nepeese nie ułowiła wcale; uczył też nieznaczny, lecz wciąż rosnący nacisk i przed tym naciskiem cofnął się wolno. Skała, pozbawiona oparcia, osiadła niżej. Nepeese nic nie podejrzewała. Wołała jeszcze tkliwiej i łagodniej:

— Bari! Bari! Bari!

Głowę, plecy i obie ręce miała już teraz pod skałą. Oczy jej lśniły tuż obok Bariego. Bari zaskomlił. Czuł bliskie i wielkie niebezpieczeństwo. Raptem...

W tej chwili Nepeese uczuła na ramionach ciężar głazu i w oczach jej pojawiło się przerażenie. Potem z gardła dziewczyny dobył

się przesywający, okropny krzyk, pełen rozpaczliwej trwogi. Pierrot puścił ten pierwszy krzyk mimo uszu, natomiast ułowił drugi i trzeci, podczas gdy skała miażdżyła z wolna szczupłe ciało dziewczyny. Skoczył na ratunek jak wiatr: Krzyki słabły, zamierały w jęku.

Zobaczył Bariego, jak wypelza z kryjówki i rwie co sił w stronę parowu, a potem dostrzegł skrawek sukni Nepeese i jej nogi obute w mokasyny. Resztę przygniatał głaz.

Pierrot począł rozkopywać ziemię z furią szaleńca. Gdy po upływie paru chwil wydobył

córkę spod skały, Nepeese zwisała mu w ramionach bezwładnie, z twarzą białą jak płótno. Oczy miała zamknięte. Wyglądała jak trup i Pierrot uczył, jak serce w nim zamiera.

Lecz wiedział, jak należy walczyć o życie.

Rozpiąwszy suknię stwierdził z ulgą, że żebra są całe. Pomknął po wodę. Gdy wrócił, Nepeese miała oczy otwarte i z trudem łowiła oddech.

Nepeese! Moja Nepeese! — jęknął Pierrot padając przy niej na kolana.

Uśmiechnęła się do ojca, a Pierrot przygarnął ją ku sobie.

Później nieco, zaglądając pod skałę, Pierrot zbladł gwałtownie i rzekł:

— Mój Boże, Nepeese, gdyby nie to małe wgłębienie...!

Urwał i wzdrygnął się, ale Nepeese, szczęśliwa, że ratunek przyszedł w porę, zrobiła dłońmi wymowny ruch.

— Byłabym o tak, zupełnie płaska! —

rzekła wesoło i parsknęła śmiechem.

## MAD WODĄ

Przerażony dzikim krzykiem Nepeese oraz widokiem Pierrota lecącego córce na ratunek, Bari gnał niby wiatr i zwolnił dopiero wtedy, gdy mu zupełnie zabrakło tchu. Znajdował się już daleko od parowu, na drodze ku osadzie bobrów. Od tygodnia prawie nie zaglądał w te strony. Nie zapomniał bynajmniej Szczerbatego, Umiska i reszty mieszkańców żeremi, lecz Wakajo oraz codzienne porcje świeżej ryby, zdobywane bez żadnej fadygi, stanowiły zbyt wielką pokusę.

Teraz Wakajo przepadł. Bari czuł, że wielki czarny niedźwiedź nigdy już nie będzie chwycił łososi w modrych stawach i po lśniących łachach i że tam, gdzie w ciągu wielu dni panowały cisza i



obfitość, obecnie króluje groźba. Toteż podobnie jak niegdyś zmykałby w stronę rodzinnego wykrotu, tak teraz uciekał

co prędzej do bobrowych żeremi.

Trudno było ściśle orzec, czego się właściwie bał; w każdym razie nie Nepeese.

Dziewczyna ścigała go uparcie. Usiłowała go schwytać. Pamiętał dotyk jej rąk i muśnięcie włosów, a jednak jej właśnie nie bał się wcale. Jeśli przystawał czasem w ucieczce, by spojrzeć wstecz, to po prostu, aby zobaczyć, czy go przypadkiem nie goni.

Od niej samej nie zmykałby zbyt spieszenie.

Oczy jej, głos i ręce po- j ruszyły w nim dziwne struny; czuł samotność, głębszą niż kiedykolwiek, i wielką tęsknotę.

Wyszukał sobie legowisko pod korzeniem sosny,

niedaleko bobrowych żeremi, i całą noc prześladowały go niespokojne sny. Widział

Kazana, Szarą Wilczycę, stary wykrot, Umiska i Nepeese. Raz, gdy się zbudził, wydało mu się, że korzeń sosny to Szara Wilczyca; a gdy się przekonał, że matki nie ma w pobliżu, skowyczał długo i żałośnie. We śnie przeżywał

po raz wtóry tragedię minionego dnia. Widział, jak Wakajo umyka po łączce; oglądał jego konanie. Potem oczy Nepeese błyszczały tuż u jego ślepek i słyszał znowu jej rozdzierające krzyki.

Był rad, gdy świt wreszcie nadszedł. Nie szukał jada;

skierował się jednak ku brzegom stawu. W

ruchach Bariego było teraz mało ufności.

Pamiętał dobrze, że Urnisk i jego towarzysze w sposób najbardziej wyraźny odrzucili ofiarowaną przyjaźń. Jednak sama ich obecność częściowo zmniejszała

wielkie osamotnienie. Było to nawet więcej niż osamotnienie. Na razie wygasła w Barim iskra wilcza. Pies panował niepodzielnie. A w takich chwilach przygniatało go instynktowne i coraz bardziej rosnące poczucie, że nie należy do tej dziczy, że jest tu intruzem, któremu zewsząd grożą dziwaczne niebezpieczeństwa.

W głębi północnych borów bór bawi się i pracuje nie tylko nocą. Przeciwnie nawet, woli dzień dla rozrywki i roboty, toteż większość ludu Szczerbatego wstała już, gdy Bari począł

melancholijnie zwiedzać brzegi stawu. Młode bobry w towarzystwie matek nadal znajdowały się w wielkich domach z chrustu i łu, niby kopce siana sterczących nad powierzchnią.

Budowli było trzy; jedna miała najmniej dwadzieścia stóp średnicy. Bari krocząc tą stroną stawu doznawał pewnych trudności. Skoro wszedł między wierzby, buki i brzozy, tuziny drobnych kanałów przecięły mu drogę we wszystkich kierunkach. Część ich była szeroka na stopę, inne na metr i więcej, a wszystkie pełne wody. Żaden kraj na świecie nie posiadał

lepszych linii komunikacyjnych niż ten skrawek ziemi, po którym z głębi lasu spławiano żywność i materiał budowlany.

Na jednym z szerszych kanałów Bari wpadł

na wielkiego bobra, holującego czterostopowy pień brzozy grubości nogi ludzkiej — pół

tuzina śniadań, obiadów i kolacji w jednym ładunku. Cztery lub pięć wewnętrznych kór brzozy stanowią dla bobrów jakby chleb, masło i kartofle, gdy wyżej cenione kory wierzb i młodych buków zajmują miejsce mięsa i de-seru.

Skoro bóbr porzucił swój ładunek w panicznej ucieczce, Bari obwąchał go starannie i poszedł dalej. Nie usiłował się już kryć i przynajmniej z pół tuzina bobrów mogło go swobodnie obejrzeć, nim dotarł do miejsca, w którym staw zwężał się, znowu tworząc normalną strugę mniej więcej o pół mili od tamy. Potem szczeniak zawrócił. Przez cały dzień wałęsał się wokół żeremi, bynajmniej nie tając swej obecności.

W wielkich fortach z ładu i chrustu bobry odbyły naradę wojenną. Były wyraźnie zdumione. Istniało czterech wrogów groźnych nad wszystko inne. Wydra, niszcząca tamy zimową porą, co powodowało obniżenie poziomu wody uniemożliwiająca dostawę żywności; ryś, morderca starych i młodych, bez różnicy; na ostatek lis i wilk czatujące godzinami, by porwać z zasadki jakiegoś bobra mniej więcej w wieku Umiska.

Gdyby Bari był jednym z tych i czterech nieprzyjaciół, stary Szczerbaty i jego familia wiedzieliby, co zrobić. Lecz Bari stanowczo nie przypominał wydry, a jeśli nawet był

wilkiem, ry- ! siem lub lisem, zachowywał się co najmniej dziwnie, f Z pół tuzina razy miał

okazję skoczyć na zdobycz, j jeśli w ogóle szukał zdobyczy. Nigdy jednak nie wykazał chęci czynienia im zła.

Być może bobry przedyskutowały ten temat między sobą. Być może Umisk i jego koledzy opowiedzieli rodzicom o swej przygodzie: o tym, że Bari ich nie skrzywdził, choć mógł to łatwo uczynić. Nie jest to bynajmniej wykluczone, gdyż jeśli bobry potrafią wznosić logicznie pomyślane budowle, dające się potem zburzyć jedynie za pomocą dynamitu, rozsądek pozwala przypuścić, że mają też sposoby porozumiewania się między sobą.

Tak czy inaczej, odważny staruszek Szczerbaty postanowił położyć kres niepewności.

Tego dnia po południu Bari po raz trzeci czy czwarty wkroczył na tamę. Jej grzbiet miał pełne dwieście stóp długości, lecz woda nigdzie nie przechodziła górą, znajdując skąpy odpływ przez tu i ówdzie rozmieszczone szczeliny. Przed tygodniem lub dwoma jeszcze Bari mógłby łatwo przejść

tamą na drugi brzeg, ale teraz w samym jej końcu bobry stawiały sporą dobudówkę i dla łatwiejszego wykonywania pracy nawodniły około pięćdziesięciu jardów nisko położonego gruntu.

Główna tama wywierała na Barięgo wpływ magnetyczny. Pachniała silnie wonią bobrów.

Grzebień jej był wysoki i suchy, usiany tuzinami gładkich wgłębień, kędy bobry brały kąpiele słoneczne. Bari ułożył się w jednej takiej jamce nie odrywając oczu od stawu.

Najmniejszy dźwięk nie naruszał sennej ciszy.

Można było sądzić, że bobry śpią lub pomarły.

Jednak cała kolonia wiedziała, że Bari jest na tamie.

Bari leżał na samej spiekocie słonecznej tak wygodnie, że po chwili oczy poczęły mu się kleić i nie mógł już obserwować toni.

Ostatecznie popadł w drzemkę.

Trudno wiedzieć, w jaki sposób Szczerbaty odgadł ten fakt. Po upływie pięciu minut, cicho, bez plusku, wynurzył się o pięćdziesiąt jardów za Barim. Przez chwilę utrzymywał się na wodzie prawie bez ruchu. Potem bardzo wolno popłynął równoległe do tamy. Po drugiej stronie wygramolił się na brzeg i dobrą minutę trwał niby kamień, wlepiwszy oczy w szczeniaka. Żaden inny bóbr nie pojawiał się na powierzchni i wkrótce stało się widoczne, że staruszek Szczerbaty chce tylko poddać Barięgo bliższej obserwacji. Skoro znowu wszedł do wody, popłynął raz jeszcze wzdłuż tamy, ale o wiele bliżej. O dziesięć stóp za Barim począł się wspinać na tamę. Czynił to niezmiernie powoli i ostrożnie. Wreszcie stanął

na grzędzie.

W odległości paru jardów Bari był niemal całkiem ukryty w swej jamce i tylko czarny grzbiet wyzierał nieco z wgłębienia. Chcąc psa lepiej obejrzeć, Szczerbaty rozłożył za sobą płaski ogon i uniósł się do pozycji siedzącej, wzorem wiewiórek trzymając obie przednie łapy skrzyżowane na piersi. W tej postawie mierzył pełne trzy stopy. Ważył zapewne około czterdziestu funtów i do pewnego stopnia przypominał jednego z tych tłustych, dobroduszych, głupawych kundli o niezmiernie rozwiniętym brzuchu. Jednak umysł jego pracował zadziwiająco sprawnie.

Nagle mocno klasnął ogonem po grzędzie tamy i i Bari od razu siadł. Momentalnie zobaczył

Szczerbatego i wytrzeszczył oczy. Szczerbaty również patrzył uparcie. Dobre pół minuty żaden ani drgnął. I Potem Bari wstał i machnął

ogonem.

To wystarczyło w zupełności. Szczerbaty, opadłszy leniwie na przednie łapy, bez pośpiechu zeszedł - nafl krawędź tamy i skoczył

w wodę. Ani się śpieszyła teraz, ani zachowywał zbytnią ostrożność. Silnie kotłując toń począł pływać to tu, to tam, w pobliżu Barięgo. Powtórzywszy parokrotnie ten manewr skierował się wprost ku domkom i znikł w największym z nich. Po upływie pięciu minut relacja z wyprawy wodza obiegła całą kolonię.

Obcy — Bari — nie był rysięm! Nie był

lisem! Nie był wilkiem! Ponadto 1 jest bardzo młody i nieszkodliwy. Można na nowo podjąć pracę. Nie ma niebezpieczeństwa. Taki wyroki wydał senior rodu.

Jeśli by kto krzyknął te słowa przez megafon, jeszcze by się nie rozeszły prędzej po kolonii.

Barięmu, który nadal tkwił na brzegu tany, wydało się naraz. B iż staw zaroił się od bobrów.

Nigdy dotąd nie wi-dział jednocześnie takiej ich liczby. Wynurzały się. jł zewsząd; niektóre przepływając o parę metrów ogłą- I dały szczeniaka ciekawie i bez pośpiechu.

Okołofl pięciu minut w ruchach ich nie zaznaczała się żadna I celowość. Potem sam Szczerbaty ruszył wprost ku brzegowi i wylazł na ląd. Reszta naśladowała go. I Pół

tuzina robotników znikło w kanałach. Dwukrot-i nie większa liczba poczłapała między buki i wierzBari raźnie szukał wzrokiem Umiska i jego małych kolegów. Dostrzegł ich wreszcie wypływających f z jednego z mniejszych domków. Wygramolili się I na swój plac zabaw

— gładką wydnę powyżej frędzli błot. Bari zamachał ogonem tak gwałtownie, aż j całe ciało jego się zatrzęsło, i pośpieszył na spotkanie. Gdy trafił na owo pasmo wybrzeża, Umisk znajdował się

tam sam jeden i spożywał kolację ogryzając młodą, świeżo uciętą wierzbę. Reszta małych bobrów rozproszyła się wśród bukowego zagajnika.

Tym razem Umisk nie zemknął. Podniósł

głowę znad wierzby. Bari rozplaszczyl się na ziemi drząc i wykręcając się całym ciałem w najprzyjaźniejszy sposób. Umisk obserwował

go chwilę.

Potem bardzo chłodno zabrał się do przerwanego posiłku.

# UMISK

Zarówno jak w życiu każdego człowieka istnieje jakiś ważny czynnik, kierujący losy jego na dobre lub złe tory, tak w życiu Barięgo staw bobrów grał rolę dominującą. Dokąd szczeniak mógłby pójść, gdyby nie żeremia, co jeszcze mogłoby mu się przytrafić —

pozostanie zagadką. Natomiast nie da się za-przeczyć, że osada bobrów utrzymywała go wciąż w jednej okolicy. Z wolna zastąpiła mu rodzinny wykrot, a same bobry zajęły pod pewnym względem miejsce Szarej Wilczycy i Kazana.

Z upływem każdego dnia stare bobry coraz bardziej przyzwyczajały się do widoku Barięgo. Po dwóch tygodniach, gdyby Bari się oddalił, kolonia odczułaby jego brak, nie w tym stopniu jednak, w jakim sam Bari tęskniłby do bobrów. Z ich strony była to swego rodzaju dobroduszna tolerancja. Ze strony szczeniaka zupełnie co innego. Bari był wciąż jeszcze *uskahis* — jak by powiedziała Nepeese —

potrzebował matczynej pieśczoćy i opieki; nie wyrósł dotąd ze szczenięcych pragnień. Gdy zapadała noc — jeśli mamy te pragnienia przedstawić obrazowo — miał ochotę udać się wraz z Umiskiem i resztą malców do chaty bobrowej i tam, w gromadzie, zasnąć.

W ciągu dwóch pierwszych tygodni po zawarciu przymierza Bari jadał posiłki o milę w górę strumyka, gdzie była moc rak. Ale domem był staw.

Spędzał tu zawsze całe noce i przeważną część dnia! Sypiał w zaroślach u krańca tamy, a czasem, w razie wyjątkowych, jasnych nocy, na samej tamie. Bobry traktowały go niby zażyłego gościa. Pracowały w jego obecności jakby nigdy nic.

Bari był oczarowany tą robotą. Mógł ją obserwować bez końca. Oszołamiała go i napawała zdumie-  
niem. Dzień po dniu widział, jak się spławia wodą drzewo i chrust potrzebne do budowy nowej tamy! Widział, jak tama rośnie. Któregoś dnia leżał o kilkanaście stóp od starego bobra ścinającego drzewo o sześciocalowej średnicy. Gdy pień miał runąć, bóbr cofnął się; Bari cofnął się również. Potem wrócił! i obwąchał ścięcie nie mogąc pojąć, co to ma zafl sens i dlaczego wuj, dziadek czy tam ciotka Umiska zadają sobie tyle trudu.

Wciąż jeszcze nie mógł namówić Umiska i reszty bębnów, by zechciały się z nim bawić, i po upływie! tygodnia zaniechał w tym kierunku wszelkich *usiłowań*. Zresztą igraszki młodych bobrów zdumiewały go przynajmniej w takiej samej mierze co usilna praca starych. Umisk na przykład lubił się babrać! w błocku na samym brzegu stawu. Przypominał małego chłopaka.

Podczas gdy dorośli spławiali pieńki o średnicy od trzech cali do całej stopy, Umisk gromadził patyki i gałązki grubości zwykłego ołówka i o własnych siłach klecił imitację tamy.

Umisk potrafił ślęczeć godzinę nad swoją tamą taki pracowicie, jak jego ojciec i matka nad rzeczywistą budowlą, a Bari, leżąc płasko na brzuchu w odległości paru stóp, obserwował

go pełen potężnego zdumienia. W tym na pół

wyschłym błocku Umisk prze-' kopy wał

również miniaturowe kanały, tak jak chłopak ze zwykłego strumienia tworzy wielką Missisipi lub oceany pełne fregat korsarskich.

Ostrymi sieka-' czarni ścinał potężny budulec

— pędy wierzb o calowej najwyżej średnicy

— a skoro taki metrowy. pręt upadał, bez wątpienia czuł równie głęboką satysfakcję jak Szczerbaty walący z trzaskiem brzozę na siedemdziesiąt stóp wysoką.

Bari wcale nie mógł pojąć, na czym polega ta zabawa. Widział jeszcze jakiś sens w gryzieniu gałęzi — sam lubił ostrzyć zęby w ten sposób — ale ani rusz nie potrafił

zrozumieć, po co Umisk z takim trudem odziera gałązki z kory i tę korę połyka.

Inny rodzaj gry jeszcze bardziej chłodził

dobrze chęci Bariego. Opodal miejsca, w którym Bari po raz pierwszy zobaczył Umiska, stromy brzeg górował o dziesięć do dwunastu stóp nad wodą i tu właśnie młode bobry używały sportu saneczkowania. Pochyły spad był mocno wygładzony i ubity. Umisk gramolił

się na górę w łagodniejszym miejscu. U szczytu toru rozplaszczał poza sobą ogon, odpychał

się silnie i sunął w dół, z wielkim pluskiem osiadając w wodzie. Czasami sześć do dziesięciu młodych bobrów zabawiało się tym sportem, a nieraz ktoś z dorosłych wyłaził na brzeg, by się przejechać wraz z młodzieżą.

Pewnego popołudnia, gdy tor był wyjątkowo mokry i śliski od niedawnego użytku, Bari przywędrował w jego pobliże, by zbadać, co to jest. Woń bobrów nigdzie nie była tak silna jak właśnie tutaj. Węsząc pilnie Bari zapędził się zbyt daleko. Raptem łapy spod niego umknęły i wydając jeden dziki wrzask strzelił w dół. Po raz drugi w życiu znalazł się w wodzie i gdy po chwili wysiłku wygramolił się na brzeg poprzez gęste błoto, miał mocno ugruntowaną opinię o zabawie bobrów.

Być może Umisk go dojrzał. Być może historia tej przygody obiegła całą kolonię.

Gdyż skoro tego wieczora Bari znalazł Umiska jedzącego kolację z buczyny, Umisk nie cofnął

się ani o cal i po raz pierwszy oba stworzonka powąchały sobie noski. W każdym razie Bari sapał głośno, a tłusty Umisk siedział bez ruchu jak skulony mały sfinks. Ze strony Bariego było to ostatecznym scementowaniem przyjaźni. Toteż w ciągu paru chwil wyczyniał

wkoło dziwaczne susy, opowiadając Umiskowi, jak bardzo go lu-fl bi i że będą wielkimi

przyjaciółmi. Umisk nie odzywał się

się wcale. Nie ruszył się też, nim nie dokończył kolacji. Miał jednak pomimo to ogromnie towarzyski wygląd i Bari był

szczęśliwy jak nigdy jeszcze od dnia, gdy stracił rodziców.

Przyjaźń ta, jakkolwiek na pozór jednostronna była stanowczo bardzo szczęśliwa dla Umiska. Bari włączając się w pobliżu stawu, usiłował zawsze, o ile możliwości, nie spuszczać z oczu przyjaciela.

Pewnego dnia leżał w kępie trawy drzemiąc, podczas gdy Umisk, oddalony o parę stóp zaledwie, pracował wśród gęstwy młodej buczyny. Bariego zbudził nagły trzask —

ostrzegawcze chłaśnięcie ogona po wodzie; z pierwszym sygnałem poszły inne niby strzały z pistoletu. Bari porwał się na nogi.

Bobry śpieszyły zewsząd w stronę stawu.

W tej chwili właśnie Umisk wypadł spośród buków, biegnąc ku wodzie tak prędko, jak go tylko tłuste łapki mogły unieść. Dosięgnął już niemal błotnistego brzegu, gdy przed oczyma szczeniaka mignęła ruda błyskawica i w następnym mgnieniu niebawem — lis samiec — wpił ostre zęby w gardło Umiska.

Bari słyszał okropny krzyk małego przyjaciela;

ułowil gwałtowny łoskot bijących wodę ogółków — i raptem krew w nim zawrzała podnieceniem i wściekłością.

Równie szybko jak sam lis, Bari skoczył

na ratunek. Wzrostem i wagą dorównywał

rudemu łopięcy, a uderzywszy na Nepekesiu wydał dzikiej warknięcie. Zęby, ostre jak sztylety, wbił w bark lisa. Lis pochodził z rodu leśnych łotrzyków

mordujących z tyłu i zniecka. Gdy dochodziło do walki, tracił wszelką wartość i bronił się chyba tylko będąc w sytuacji bez wyjścia. Atak Bariego był tak! nagły i pełen impetu, że Nepekesiu skręcił do ucieczki i ki równie szybkiej jak napaść.

Bari nie ścigał go, lecz podszedł do Umiska, który leżał na pół w błocie, piszcząc i sapiąc dziwnie.

Bari mordką łagodnie upieścił przyjaciela, a po upływie minuty lub dwu Umisk stanął

niepewnie na chwiejnych łapkach, podczas gdy około trzydziestu bobrów czyniło w pobliżu brzegu straszliwy gwałt.

Po tym zdarzeniu staw bobrów więcej niż kiedykolwiek był domem Bariego.

## CZŁOWIEK-DIABEŁ

Podczas gdy śliczna Nepeese wzdrygała się jeszcze na myśl o okropnej przygodzie, Pierrot dziękował Bogu za ratunek córki, a Bari zdomawiał się coraz bardziej nad stawem bobrów, Bush Mac Taggart udoskonalał

pewien własny pomysł w swej niezależnej faktorii, której był częściowo właścicielem, a którą nazwał Post Lac Bain.

Mac Taggart rządził w Lac Bain od lat siedmiu. W sferach kupieckich uchodził za uzdolnionego handlowca. Wydatki w jego faktorii były poniżej normalnego poziomu; liczba i jakość skór dostarczanych przechodziła zwykłą normę. Głos publiczny twierdził, że Mac Taggart wydobyl więcej z dolara niż jakikolwiek inny człowiek na północ od Bożego Jeziora.

Indianie wiedzieli, że tak jest w istocie.

Przezwalili go też „Napao Wetikoo”, co znaczy Człowiek-Diabeł. Mówiono o nim w ten sposób ponurym szeptem zatajając oddech przy świetle ogniska w *tepee* i to tylko wtedy, gdy nawet wiatr nie mógł donieść słów do uszu Mac Taggarta. Bali się i nienawidzili go. Marli z głodu i chorób, a im silniej agent zaciskał

żelazną pięść, tym pokorniej, jak mu się zdawało, przyjmowali jego rządy.

Była to podła dusza w zwierzęcym ciele, znajdująca rozkosz w despotycznej władzy.

W tych stronach brakło inspektorów mogących przeprowadzić śledztwo i zdławić okrucieństwa. Mac Taggart nie! odpowiadał

przed nikim, a że jego państwo otaczała głuchą dzicz, rządził niby król, stanowiąc własne prawa. Nie mieszkał tu ani nie przejeżdżał tędy żaden biały człowiek mogący zdradzić, jakim cudem Bush Mac Taggart wysyłał na południe futra, któ-f rych mu zazdrościli inni agenci.

Mógł o tym jedynie donieść Gregson, inny łotra o czarnym sercu. Gregson był

niezawisłym handlarzem skór oraz głównym właścicielem Lac Bain! Mac Taggarta odwiedzał raz do roku. Ten mógł powiedzieć, że Indianie zwą Mac Taggarta „Napao Wetikoo”, gdyż płaci im za skóry jedynie połowę wyznaczonej ceny; że całą zimę trzyma traperów na granicy śmierci głodowej; że jak rok długi mą w swym domu kobietę lub dziewczynę, Indiankę] czy Metyskę. Lecz Gregson zbyt lubił jazdy do LaC| Bain. Mógł

zawsze liczyć na dwa tygodnie ordynarnych rozrywek; ponadto z każdej podróży przy-

woził kosztowne prezenty w postaci cennych futer ( dla żony i córek.

Pewnego wieczora, w tydzień po przygodzie Ne-. peese i Bariego pod skałą, Mac Taggart siedział]



w swym składzie przy świetle lampy wypełnionej tłuszczem. Subiekta -^ drobną figurkę o wiecznie; przerażonej, żółtej twarzy —

wysłał na spoczynek i był sam. Od sześciu tygodni czuł silne podniecenie. Przed sześciu tygodniami właśnie Pierrot Du Quesne przyprowadził ze sobą do Lac Bain Nepeese, po raz pierwszy od kiedy Mac Taggart tu się osiedlił. Widok jej podziałał na handlarza piorunująco. Odtąd nie mógł myśleć o niczym innym tylko o niej. W ciągu tego półtora miesiąca dwukrotnie odwiedził chatę Metysa. O

Marie, szczupłą dziewczynę Cree, mieszkającą w jego domu, przestał się troszczyć, tak jak nie dbał już o tuzin jej poprzedniczek. Teraz była Nepeese. Nigdy nie widział tak pięknej istoty jak córka Pierrota.

Zaklął głośno pod adresem trapera, spoglądając na leżący na stole arkusz; od przeszło godziny robił wyciągi z zakurzonej i brudnej księgi. Pierrot właśnie stał mu na drodze. Ojciec Pierrota, zgodnie z

dokumentami, był rodowitym Francuzem. Stąd sam Pierrot był Francuzem półkrwi, a Nepeese miała czwartą część krwi białej, jakkolwiek uroda jej ujawniała zaledwie minimalną domieszkę rasy indiańskiej. Gdyby oboje należeli całkowicie do ezer-wonoskórych: Czipewejów, Cree, Odzibuejów, Psich Żeber, słowem do któregośkolwiek z plemion miejs-cowych, sprawa poszłaby gładko. Mac Taggart nagiąłby ich do swej woli jak tylu innych.

Nepeese już by dawno zamieszkała w jego domu. Ale krew francuska psuła szyki. Chociaż co prawda...

Uśmiechnął się złowieszczo i mocniej zacisnął pięści. Ostatecznie, czyż nie posiadał

wystarczającej władzy? Czyż Pierrot poważy mu się sprzeciwić? Wystarczy dać do zrozumienia zausznikom, iż należy wygryźć Metysa z tych stron, uniemożliwić mu uprawianie łowiectwa na odziedziczonych po ojciec terenach, a Pierrot stanie się bezdomnym włóczęgą jak tylu innych ludzi przed nim, nie uznających władzy Mac Taggarta. Sama perspektywa podobnej katastrofy uczyni Metysa miękkim jak wosk.

Zazwyczaj, by nagiąć kogoś do swej woli, starczyło mu odmówić kupna futer. Ale Pierrot, obdarzony przeklętą inicjatywą białej rasy, zdolny byłby przedsięwziąć dalszą wyprawę do odleglejszych faktorii. Lecz by zastawić sidła, musi mimo wszystko wrócić do własnego rewiru. A jaki człowiek, choćby nawet Francuz, poważy się odprawiać łowy, skoro każdy krzak może kryć mordercę? Śmierć agenta, znanego handlarza futer, wywołuje zazwyczaj śledztwo; natomiast któż zechce badać przyczynę skonu zwykłego półkrwi trapera.

Mae Taggart raz jeszcze przejrzał arkusz notatek. Rewir Pierrota, jego własność, według powszechnie przyjętych praw dziczy, był

wielkiej wartości. W ciągu ubiegłych siedmiu lat Metys za zdobyte futra otrzymywał

przeciętnie tysiąc dolarów na rok, gdyż; Mac Taggart nie potrafił go tak kompletnie wyzyskać jak prostych czerwonoskórych. Tysiąc dolarów rocznie! Pierrot namyślił się dwa razy, nim wypuści

podobny kasek!

Mac Taggart zachichotał mnąc w ręku papier. Po krótko przyciętym kosmatym zarostem jego ceglani twarz płonęła. Była to wstrętna gęba, pozbawiona; jakichkolwiek cech ludzkich, usprawiedliwiająca vs zupełności miano Człowieka-Diabła. Oczy zbrodniarza błysnęły ostro, gdy silnym dmuchnięciem zga-sił lampę.

Zachichotał znowu, kierując się ku drzwiom. Ne<sup>^</sup> peese już właściwie do niego należy. Będzie ją mia choćby za cenę życia Pierrota. Bo i dlaczegóż *by* nie? Wszystko to nie przedstawiało większych trudności. Strzał

na odludnej linii sideł, jedno pchnie-cie noża

— i któż się dowie? Kto zgadnie, gdzie się Metys podział? A Pierrot sam sobie będzie wi nien. Przecież za ostatnim widzeniem zrobił

mu ucz ciwą propozycję. Poślubi Nepeese!

Tak, poślubi A ojcu jej, jako swemu teściowi, będzie płacił zj futra podwójną cenę.

Bush Mac Taggart mówił, a Pierrot

przyglądał mi się milcząc, na wpół

przytomnym wzrokiem, niby człowiek ogłuszony maczugą. Nie dał żadnej odpowiedzi, agent postanowił jutro wyruszyć znowu do « chaty Metysa. A pojutrze Pierrot będzie musi a dać odpowiedź. Mac Taggart kładąc się do łóżka wciąż jeszcze chichotał.

Tymczasem Pierrot zwlekał do ostatniej chwila nie chcąc powiedzieć córce o propozycji agenta. Gdy zaś powtórzył jej wreszcie słowa Mac Taggarta, doB dał na zakończenie:

— To istne zwierzę! To diabeł! Wolałbym cię wuj dzieć tam, razem z nią, martwą!

I wskazał wysoką jodłę, pod którą spała księżniczka matka.

Nepeese nie wymówiła ani słowa. Tylko oczy jej stały się większe i ciemniejsze, a na policzki wybiegł silny rumieniec. Gdy ojciec skończył mówić, wstała, a Pierrot doznał

wrażenia, że nagle wyrosła. Nigdy nie wydała mu się tak bardzo kobieca jak w tej chwili, toteż Metys poczuł, że troska dławi mu serce, podczas gdy Nepeese uparcie spoglądała na północ-zachód, ku Lac Bain.

Wreszcie odwróciła się i podszedłszy do ojca u-siadła mu u nóg.

— Ma przyjść jutro, kochanie! — rzekł

Pierrot. — Cóż mu odpowiem?

Wargi Nepeese były pąsowe, oczy błyszczące. Unikała wzroku ojca.

— Nic, *nootawe!* Tyle tylko, że do mnie musi się zwrócić, by dostać, czego chce.

Pierrot pochylił się nad nią i spostrzegł, że się uśmiecha. Słońce zachodziło właśnie. Metys doznał wrażenia, iż zamiast serca ma w piersi kawał ołowiu.

Szlak łączący Lac Bain z chatą Pierrota mijał

bobrowe żeremia w odległości pół mili. Z tego miejsca do chaty Metysa było jeszcze dwanaście mil. Tu właśnie, u skrzyżunku rzeczki, nad łąką, gdzie Wakajo łowił ryby dla Bariego, Bush Mac Taggart rozbił na noc obóz.

Z całej drogi tylko dwadzieścia mil można było zrobić czółnem, Mac Taggart zaś ostatnią jej część przebył pieszo, rozbięcie obozu nie przedstawiało większych trudności. Parę uciętych jodeł, lekki koc, drobny ogieniek.

Odkładając na później przyrządzenie kolacji, agent dobył z plecaka większą liczbę sideł z miedzianego drutu i stracił pół godziny rozmieszczając je na ścieżkach króliczych. Ten sposób zdobywania mięsa był o wiele mniej męczący niż dzwiganie w upał karabinu, a rezultat pewny. Sześć pętli dostarczało najmniej trzy króliki, z tej trójki zaś jeden zawsze nadawał się na pieczone.

Założywszy wnyki Mac Taggart umieścił nad ogniem plaster wędzonki i zagotował kawę.

Spośród wszystkich woni obozowych zapach smażonej wędzonki sięga najdalej w las. Wiatr jest tu zbyt cichy. Niosą go własne skrzydła. W

cichą noc lis zwietrzy go o milę, a nawet dwie.

Bari, leżąc w swej jamce na grzbiecie tamy, poczuł raptem nęcącą woń.

Od czasu przygody w parowie i śmierci Wakajs Bari nie odżywiał się zbyt dobrze.

Ostrożność trzymała go w pobliżu stawu i jadał

przeważnie raki. Ten nowy zapach, lecący z mocnym wiatrem, zbudził w nim głód. Lecz woń była dziwnie zwiewna! to czuł ją wyraźnie, to znów ginęła mu całkowicie!

Porzuciwszy tamę zaczął w lesie szukać jej źródła! aż po pewnym czasie stracił ją zupełnie.

Mac Taggart skończywszy smażyć wędzonkę posilał się już.

Zapadła cudowna noc. Być może Bari przespałby ją w swym gnieździe u szczytu tamy, gdyby nie głód zbudzony zapachem wędzonki. Od dnia przy-1 gody z ludźmi głębszy bór napawał go trwogą, szcze-i gołnie w ciemności. Lecz noc dzisiejsza przypomina-

ła błądy, złotawy dzień. Księżyc brakło co prawda! natomiast gwiazdy błyszczały niby miliony

odległych! lamp i świat tonął w mlecznej, migotliwej poświa! cie.

Łagodny szept wiatru budził wśród szczytów drzew przyjemne dźwięki. Poza tym jednak panowała! ogromna cisza, był to bowiem *puskowepesim*, miesiąc! linienia. Czworonogi traciły sierść, a ptaki pióra. Wilj ki zaprzestały łowów; sowom odebrało głos; lisjl smyrgały milczkiem jak cienie; nawet bobry porzucały pracę. Rogi łosi, jeleni i karibu krył miękka mech; poruszały się niewiele i zupełnie dały spokój zwadom. Był to koniec lipca, miesiąc linienia pol dług Indian Cree, miesiąc milczenia podług CzipeJ wejów.

W tej ciszy. Bari rozpoczął łowy. Spłoszył stadka młodych kuropatw, ale mu umknęły.

Pogonił za króllikiem szybszym niż on sam.

Całą godzinę nie miał szczęścia. Potem usłyszał dźwięk, który wzburzył w nim każdą kroplę krwi. Znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie obozowiska Mac Taggarta i to, co ułowił, było odgłosem szamotań królika w jednym z sideł. Bari wyszedł na małą polankę zalaną światłem gwiazd i zobaczył królika wykonującego najdziwniejszą w świecie pantomimę. Na razie zdziwił się tak, że znieruchomiał.

Królik, Wapoos, wetknął kosmaty łeppek w pętlę i jego pierwszy przerażony skok poderwał

sosenkę, do której zostało przytwierdzone sidło, tak że Wapoos wisiał obecnie w powietrzu, jedynie tylnymi nogami muskając ziemię. Tańczył więc niby epileptyk, podczas gdy druciany stryczek z wolna dławił go na śmierć.

Bari wydał krótkie, zdumione szczeknięcie.

Nie mógł wcale pojąć, jaki udział biorą drut i drzewko w tej zajmującej grze. Widział

jedynie, że Wapoos skacze i tańczy wkoło na tylnych łapach, modą wcale nie króliczą, i wyobraził sobie, że to swego rodzaju zabawa.

Lecz tym razem nie .patrzył na Wapoosa tak jak ongiś na Umiska. Wiedział, że Wapoos daje wyborne jadlo, toteż po chwili wahania skoczył

na zdobycz.

Wapoos, już i tak półmartwy, nie bronił się wcale. Bari zdusił go do reszty i posilał się potem dobre pół godziny.

Mac Taggart nic nie słyszał, te wnyki bowiem były najdalej założone. Siedział

naprzeciw tłących węgla dogasającego ogniska, plecami wsparty o drzewo, i chciwie marzył.

Tymczasem Bari ruszył w dalszą drogę.

Właściwie łowy już go nie nęciły. Zbyt się nażarł. Lecz węszył tu i tam, w mroku gąszczy, na wygwieżdżonych polankach, radując się niezmiernie ciszą i złotym lśnieniem nocy.

Tropił właśnie ślad królika, gdy znalazł się w miejscu, gdzie dwa zwalone pnie pozostawiały przejście nie szersze niż jego ciało. Prześliznął

się tędy. Coś zacisnęło mu się na karku; zabrzmiał trzask i świst, : gdy sosenka zeskoczyła z „cyngla”, i Bariego poderwało w górę tak nagle, że ani się obejrzał.

Szczeknięcie zamarło mu w gardle przechodząc w niski charkot i już w następnej chwili Bari naśladował pantomimę Wapoosa.

Nawet za cenę życia nie potrafił zaprzestać szalonych szusów, podczas gdy drut dławił mu szyję coraz ciaśniej. Gdy rzucając na ziemię cały ciężar ciała sięgał do stryczka zębami, drzewko zginało się w łuk, by później, w odskoku, unieść go na chwilę z ziemi. Walczył

ogarnięty wściekłością. Cudem jakimś cienki drut nie' pękł dotąd. Zresztą byłby się wnet urwał, lecz Mac Taggart usłyszał już szamotanie. Porwawszy z ziemi derę i ciężki kij pośpieszył w stronę wnyków. Wiedział, że to nie królik sprawia podobny gwałt. Może skunks albo ryś? Może lis albo młody wilk?

Ujrzawszy Bariego w pętli pomyślał

najpierw, że ma przed sobą wilka. Cisnął derę i uniósł w górę kij. Gdyby niebo zaciągały chmury lub gwiazdy płonęły nie tak jaskrawię, Bari zginałby tak samo, jak przed godziną zginał Wapoos. Mac Taggart, z kijem za-wieszonym nad głową, w porę jeszcze dostrzegł białe znamię na piersi, biało piętnowane ucho i czarne niby smoła futerko.

Szybkim ruchem zamienił kij na derkę.

Gdyby Mac Taggart mógł w tej chwili wzrokiem ogarnąć przyszłość, na pewno użyłby kija. Gdyby zdołał przeczuć wielką tragedię, w której Bari miał odegrać jedną z głównych ról, zatłukłby go bez wahania. A i Bari, gdyby mu dane było zgadnąć, co zajdzie między tym długonogim potworem a najśłod-szą z istot leśnych, walczyłby jeszcze zazarciej, nimby się poddał wreszcie, obezwładniony ciężką derą.

# W NIEWOLI

W pół godziny później ognisko Mac Taggarta płonęło znów jaskrawię. W kręgu światła leżał Bari, związany ciasno niby indiański pakunek, i tylko głowa jego wystawała na zewnątrz przez otwór, który Bush Mac Taggart wyciął w tym celu w swojej derce. Był beznadziejnie obezwładniony; nie mógł poruszyć żadnym mięśniem. W

odległości paru stóp agent kąpał zakrwawioną dłoń w naczyniu z wodą. Na bawolim karku miał ponadto krwawą pręgę.

— Ty mały diable! — warknął człowiek pod adresem Bariego. — Ty mały diable!

Wyciągnął raptem pięść i złośliwie zdzielił

psa po głowie.

— Należałoby ci łeb rozwalić! I bodaj, że tak uczynię!

Bari obserwował go, jak podnosi z ziemi kawał kija — osmaloną głównię. Pierrot gonił

go kiedyś, ale po raz pierwszy znajdował się dość blisko człowieka, by widzieć czerwony błysk jego oczu. Nie przypominały w niczym źrenic cudownej istoty, która oplatała go swym włosem i starała się go pojmać pod skałą. To były oczy potwora. Napełniły go trwogą; widząc wzniesiony kij usiłował cofnąć głowę w głąb derki. Jednocześnie warknął. Błysnął

białymi kłami w świetle ognia. Stulił uszy.

Miał ochotę zatopić zęby w czerwonym karku, tam gdzie już raz rozdarł skórę do krwi.

Kij opadł. Opadł raz, drugi i trzeci. Gdy wreszcie Mac Taggart skończył, Bari leżał na pół omdlały, mając oczy przymknięte spuchlizną i pysk pełen krwi.

— W ten sposób właśnie wypędzamy diabła z dzikiego psa! — syknął Mac Taggart. —

Zgaduję, że nie będziesz już więcej usiłował

gryźć, hę, młodzieńcze? Do pioruna! Aleś mi się prawie dostał do kości!

Ponownie jął przemywać skaleczoną dłoń.

Zęby Bariego wniknęły głęboko, toteż na twarzy agenta

malował się silny niepokój. Był lipiec, zły miesiąc na kłusane rany. Z plecaka dobył małą buteleczkę whisky i chlusnął nieco płynu na rozdarcie, klnąc psa, podczas gdy wódka paliła mu ranę.

Bari nie spuszczał z niego szparek oczu.

Zrozumiał już, że spotkał wreszcie śmiertelnego wroga. Nie bał się jednak. Kij w dłoni Mac Taggarta nie zabił w szczeniaku ducha. Przeciwnie, zabił trwogę. Zbudził

nienawiść o nie znanym dotychczas natężeniu, gwałtowniejszą niż w czasie walki z Uhumisiu, jednonogą sową. Płonął cały mściwą pasją wilka oraz dziką odwagą psa.

Nie kulił się, gdy Mac Taggart ponownie doń podszedł. Natomiast próbował wstać, by skoczyć na ludzką bestię. Ale ciasno spowity w derkę, tylko potoczył się na bok, śmieszny i bezradny.

Ten widok wzbudził wesołość w duszy agenta, który parsknął śmiechem. Po czym, siadłszy ponownie, plecami wsparty o drzewo, nabił fajkę świeżym tytoniem.

Podczas gdy Mac Taggart palił, Bari nie spuszczał z niego oczu. Obserwował

człowieka i wtenczas, gdy ten ułożywszy się na nagim gruncie usnął. Później słuchał

wstrętnego chrapania potwora. W ciągu długiej nocy bezustannie usiłował odzyskać wolność.

Tych godzin nie miał nigdy zapomnieć. Były straszne. W gęstych, gorących zwojach dery ciało jego i członki stężyły tak, że krew przestała prawie krążyć. Jednak ani pisał.

Ruszyli w drogę przed wschodem słońca, gdyż rozpętane namiętności nie pozwoliły agentowi na dłuższy spoczynek. Krocząc szparko przez las, z Bariml pod pachą, układał ostateczne plany. Bez zwłoki!

pośle Pierrota po ojca Grotin do misji odległej o siedemdziesiąt mil. Pojmie Nepeese za żonę, tak, poj- j mie ją. To starego przyjemnie polechce. A podczas nieobecności ojca zostanie z córką sam na sam.

Nie zastanawiał się wcale nad tym, co powie Nepeese. O jej duszę nie szło mu ani trochę.

Parsknął i natomiast chrypliwym śmiechem na myśl, że Pier-rot może się sprzeciwić. Ba, cóż!

Nie pierwszy raz zabije człowieka i nie ostatni!

Roześmiał się znów i przyspieszył kroku.

Był absolutnie pewien wygranej. Nie mógł

przegrać! On, Bush Mac Taggart, był władcą tej dziczy, panem swego ludu, twórcą ich losu.

Był prawem i władzą!

Słońce wisiało już wysoko, gdy Pierrot, stojąc przed chatą przy boku Nepeese, wskazał

niewielki pagórek oddalony o trzysta czy czterysta jardów, na którym pojawiła się właśnie sylwetka Mac Taggarta.

— Nadchodzi — rzekł.

Zwrócił ku córce twarz dziwnie postarzałą od wczoraj. Dostrzegł ponownie w jej oczach niepojęte ogniki, głębszą czerwień na wargach i lek ścisnął mu serce. Czy może być, że...

Spojrzała nań.

— Pamiętaj, *nootawe* — rzekła głosem lekko drżącym — że musisz go przysłać po odpowiedź do mnie!

Skoczyła do chaty i znikła, a Pierrot, z twarzą szarą i chłodną, czekał przybycia Mac Taggarta.

ODPOW2EDŹ NEPEESE

Spoza szyby, zakryta firanką, Nepeese patrzyła, co się dzieje na zewnątrz.

Nie uśmiechała się już. Oddychała szybko.

Ciało miała sztywne. Bush Mac Taggart przystanął mniej niż o dwadzieścia kroków od okna, by powitać jej ojca. Podali sobie ręce.

Słyszała szorstki głos agenta, a potem spostrzegła, jak pokazuje pakunek niesiony pod pachą. Wyraźnie usłyszała relację o tym, jak schwytał zwierzę w sidła królicze.

Rozwinął derę. Nepeese krzyknęła zdumiona.

Momentalnie znalazła się przed chatą obok mężczyzn. Nie spojrzała nawet na czerwoną twarz Mac Taggarta, promie-'; niejąca zadowoleniem.

— To Bari! — krzyknęła. Wyrwała mu z rąk zawiniątko i zwróciła się do ojca. —

Powiedz mu, *nootawe*, że Bari należy do mnie!

Pośpieszyła do chaty. Mac Taggart patrzył w ślad : za nią, oszołomiony i zdziwiony zarazem.

Potem spójrzał na Pierrota. Nawet półślepy człowiek byłby spostrzegł, że Pierrot jest równie zdumiony jak on sam. Nepeese nie odezwała się wcale do gościa, agenta z Lac Bain! Nie s p o j r z a ł a nawet na niego!

Wyjęła mu psa z rąk równie

bezceremonialnie, jakby był drewnianą figurą, a nie mężczyzną. Na twarzy Mac Taggarta gęstniał rumieniec. Przenosił wzrok z Metysa na drzwi, które Nepeese wszedłszy do chaty zamknęła za sobą.

Tymczasem Nepeese klęcząc kończyła rozplątywać! derę. Nie bała się Bariego.

Zapomniała o istnieniu Mac Taggarta do chwili, gdy Bari jak martwy przedmiot wytoczył się na



podłogę; wtedy dostrzegła pół-

przymknięte ślepią i krew na szczękach szczeniaka. Twarz jej ściemniała w jednej chwili.

— Bari! — zawołała miękko. — Bari!

Uniosła go oburącz. Łeb Barięgo chwiał się.

Ciałoj miał tak sztywne, że nie zdołał się ruszyć. Stracił czucie w łapach. Ledwo widział. Lecz słyszał jej głos. Ten sam głos, który tak słodko przemawiał pod skałą.

Ów głos go podniecił. Ożywił krew zakrzepłą w żyłach. Toteż szerzej otwarł

ślepkę i dostrzegł znów nad sobą cudne gwiazdy widziane w dniu śmierci, Wakaja.

Jeden z długich warkoczy dziewczyny opadł

jej przez ramię i Bari ponownie uczuł słodki zapach] włosów, podczas gdy miękka dłoń pieściła go, a łal-godny głos przemawiał czule.

Gdy raptem wstała! i odeszła, bez ruchu oczekiwał, aż wróci. Wróciła zresztą natychmiast z miską wody i ręcznikiem.

Ostrożnie obmyła mu krew z oczu i szczęk.

Nie ruszał się i teraz. Ledwo oddychał. Lecz Nepeese spostrzegła, że za każdym dotknięciem ciała Barięgo przebiega dreszcz jak wstrząs elektryczny.

— Bił ciebie kijem! — mówiła zbliżając swoje ciemne źrenice tuż do jego oczu. — Bił ciebie ten potwór!

Przerwano im. Drzwi się otwarły i stanął w nich „potwór” spoglądając w dół ze złośliwym uśmiechem na czerwonej twarzy. Bari momentalnie dowiedział, że jeszcze żyje.

Skoczył wstecz spod ręki Nepeese i szczerząc kły obserwował Mac Taggart. Włos na grzbiecie zjeżył mu się jak szczotka, zęby lśniły groźnie, oczy płonęły.

— Ma w sobie diabła! ;— oświadczył Mac Taggart. — Jest dziki, urodzony z wilka.

Musisz uważać, bo ci rękę urwie, *ka sakahet!*

Po raz pierwszy nadał jej tę pieszczotliwą nazwę, w języku Cree znaczącą tyle co

„kochanie”. Serce Nepeese zabiło mocno. Na chwilę schyliła głowę, a Mac Taggart obserwując to, co wzięł za zakłopotanie, pieszczotliwie oparł dłoń na jej włosach.

Stojąc u drzwi Pierrot słyszał te słowa, a teraz zobaczył pieszczotę i podniósł rękę do oczu, jakby je

chciał zasłonić przed widokiem świętokradztwa.

W następnej chwili krzyknął głośno ze zdumienia, gdy jednocześnie Mac Taggart wydał niespodziany ryk bólu. Bari przeleciał

po podłodze niby błyskawica i wczepił zęby w nogę agenta. Ugryzł silnie, nim Mac Taggart zdołał się go pozbyć gwałtownym wierzgnięciem. Klnąc wyrwał z pochwy rewolwer. Nepeese uprzedziła go. Z cichym okrzykiem podskoczywszy do Bariego porwała go w ramiona. Skoro podniosła oczy na Mac Taggarta, jej delikatna, naga szyja znajdowała się zaledwie o parę cali od wyszczerzonych kłów szczeniaka. Źrenice jej gorzały.

—Pan go bił! — krzyknęła. — On pana nienawidzi! Nienawidzi!

—Puść tego psa! — wrzasnął Pierrot półprzytomny z trwogi. — Mój Boże, puść go, mówię, albo cię rozszarpie!

—On pana nienawidzi! Nienawidzi! —

powtarzała Nepeese prosto w zdumione oblicze Mac Taggarta. Po czym raptem zwróciła się do ojca. — Nie, on mnie nie rozszarpie! — krzyknęła. — Patrz, to Bari!

Czyż ci nie mówiłam, że to Bari! Przecie on mnie bronił!

—Bronił? Przede mną?! — syknął Mac Taggart, a twarz mu ściemniała.

Pierrot postąpił bliżej kładąc dłoń na ramieniu agenta. Uśmiechał się.

— Niechże sobie sami radzą, proszę pana!

— rzekł. — To stworzone z prochu i siarki i w ich sąsiedztwie nie jesteśmy bezpieczni. Jeśli pies ją ugryzie, cóż, trudno...

Wzruszył szczupłymi ramionami. Miał

wrażenie, że; zdjęto mu z pleców ogromny ciężar. Głos jego brzmiał miękko i przekonywająco. Jednocześnie z twarzy Nepeese znikł wyraz gniewu. Zalotnie spojrzała na Mac Taggarta i patrzyła nań wciąż, choć się zwracała do ojca.

— Odnajdę was wkrótce, ciebie, ojczy, i pana agenta z Lac Bain.

Mac Taggart pomyślał, że z jej oczu śmieje się' doń przekorny diablik. Złagodniał

od razu. Potulnie wyszedł z chaty w ślad za gospodarzem. Pełen radości, nie czuł nawet bólu skaleczonej nogi.

— Pokażę panu nowe sanki, które zmajstrowałem. na zimę! — rzekł Pierrot, gdy drzwi się za nimi zamknęły.

W pół godziny później Nepeese wyszła z chaty. Od razu spostrzegła, że Pierrot i agent mówili o czymś, co dla jej ojca nie było przyjemne. Pierrot miał napiętą rysę. W jego oczach pochwyciła zarzewie tajonego ognia, jakby kto próżno usiłował zgnieść płomień derą. Mac Taggart zaciskał szczęki, lecz oczy błysły mu radośnie, gdy ją zobaczył.

Rozumiała dobrze, o co chodzi. Agent z Lac Bain zażądał ostatecznej odpowiedzi, na co Pierrot odparł, że musi się z tym zwrócić bezpośrednio do niej samej.

I Mac Taggart postanowił uczynić to bez zwłoki. Ledwie Nepeese z mocno bijącym sercem skręciła w leśną drożynę, już usłyszała za sobą jego kroki. Przez ramię rzuciła mu krótki uśmiech. Ale zęby miała mocno zwarte.

Paznokcie zaciśniętych rąk raniły dłonie.

Pierrot stał bez ruchu. Obserwował ich, jak ginęli u skraju gęstwy; Nepeese wciąż jeszcze wyprzedzająca mężczyznę o parę kroków.

Odetchnął głęboko, jakby mu powietrza brakło.

— Do tysiąca rogatych diabłów! — zaklął

półgłosem. — Czy być może, żeby ona się szczerze uśmiechała do tej bestii? Nie, to wykluczone! Ale jeśli...

Jedna z jego ciemnych rąk zwarła się kurczowo na rękojeści noża za pasem i wolno ruszył za nimi.

Mac Taggart nie śpieszył doścignąć Nepeese.

Dziewczyna dążyła wąską ścieżką wiodącą w głąb lasu, czemu agent niezmiernie był rad.

Zostaną sami, daleko od Pierrota. Znajdował

się o dziesięć kroków w tyle i Nepeese ponownie rzuciła mu uśmiech przez ramię.

Poruszała się szybko, wężowymi ruchami.

Utrzymywała między sobą a mężczyzną wciąż jednakową odległość, lecz ten ani przypuszczał, że dlatego właśnie ogląda się raz po raz.

Gdy skręciła z wyraźnej ścieżki na boczną drożynę, ledwo przetartą w chaszczach, serce załomotało w nim radośnie. Krew nabiegła mu do twarzy. Nie mówił nic w obawie, że stanie.

Na przedzie usłyszał łoskot wody. To struga przedzierała się przez wąwóz skalny.

Nepeese szła prosto w kierunku wody. W

pewnej chwili ze śmiechem porwała się do biegu i skoro stanęła na skraju parowu, agent był prawie

o pięćdziesiąt jardów w tyle. O

dwadzieścia stóp w prostopadłej głębi leżało małe jeziorko, bezdenne zda się i ciemne niby błękitny atrament. Nepeese odwróciła się by spojrzeć na Mac Taggarta. Nigdy tak dalece nie przypominał jej rudego zwierzęcia.

Dotychczas nie bała się go wcale. Lecz obecnie przeraził ją. Nim zdołała powiedzieć to, co dawno miała ułożone, dopadł tuż i ujął głowę dziewczyny w obie wielkie dłonie, nurzając szorstkie palce w jedwabistej przędzy jej włosów.

— *Ka sakahet!* — wykrzyknął gorąco. —

Pierrot mówił, że masz dla mnie odpowiedź.

Nie potrzebuję, już odpowiedzi! Moja jesteś, moja!

Krzyknęła. Był to zdławiony, urywany krzyk.

Obejmował ją oburącz niby żelazną obręczą, zapierając oddech w piersi, odbierając niemal przytomność. Nie mogła już ani krzyżeć, ani się bronić. Lecz raptem' uścisk agenta osłabł i dziewczyna chciwie wciągnęła] powietrze w zgniecione płuca. Pierrot stojąc u skrzyżowania ścieżek nawoływał córkę.

Gorąca dłoń Mac Taggarta legła jej na ustach.

— Nie odpowiadaj! — syknął.

Zawrzała gniewem i nienawiścią. Z pasją odbiła rękę. Wyraz jej oczu unieruchomił mężczyznę.

— *Betę noire!* — dyszała odskakując wstecz. — Zwierzę, wstrętne zwierzę! — głos jej dygotał, a twarz płonęła. — Patrz, przyszedłam ci pokazać moją wodę, a ty, ty...

Patrz, no patrzże w dół, to moje jezioro!

Obmyśliła to sobie inaczej. Miała się w tej chwili uśmiechać, nawet śmiać, ale Mac Taggart zepsuł plan ułożony z góry. Lecz gdy wskazała ręką agent spoj-i rżał przez krawędź

skalną. Wtedy parsknęła śmiechem i niespodzianie pchnęła go w plecy.

— Oto moja odpowiedź, panie agencie z Lac Bain! — rzuciła drwiąco, podczas gdy spadając w dół dawał nurka głową naprzód między ciemne skały.

## **SZAŁAS W LESIE**

Ze skraju polanki Pierrot widział zajście i omal nie krzyknął ze zdumienia. Szybko cofnął się między

jedliną. Zrozumiał, iż w chwili obecnej nie należy się pokazywać. Podczas gdy serce biło mu jak młotem, twarz miał pełną radości.

Nepeese, przechylona, zaglądała przez krawędź. Bush Mac Taggart znikł. Poszedł na dno jak kłoda; woda jej jeziora zamknęła się nad nim z głuchym pluskiem, przypominającym drwiący chichot. Teraz znów się pojawił bijąc toń rękami i nogami, by się utrzymać na powierzchni, podczas gdy dziewczyna z góry nawoływała kpiąco:

— Zwierzę! Zwierzę! Wstrętne zwierzę!

Ciskała weń drobnymi gałązkami i kępkami trawy, Mac Taggart zaś spoglądając w górę, zauważył, że nachyla się nad krawędzią tak silnie, jakby lada chwila miała spaść. Jej długie włosy zwisały po skale migocząc w słońcu, oczy pełne były rozbawionych skier, białe zęby błyszcząły.

— Zwierzę! Zwierzę!

Zaczął płynąć nie spuszczając z niej oczu.

Około stu stóp dzieliło go od kamienistej wydmy, gdzie mógł się wydostać na brzeg.

Połowę tej drogi dziewczyna towarzyszyła mu drwiąc donośnie, miotając patyki i grudki ziemi. Zauważył, że żaden z pocisków nie był

dość duży, by go zranić. Skoro wreszcie stopami dotknął gruntu, dziewczyna znikła.

Nepeese szybko biegnąc drożyną omal nie wpadła na ojca. Stała na chwilę, zdyszana i śmiejąca.

— Dałam mu odpowiedź, *nootawe!* Jest w jeziorze.

Frunęła w jedlinę niby ptak. Pierrot nie usiłował

jej zatrzymać ani nie próbował dogonić.

— Do pioruna! — zachichotał i ruszył przez las na przelaj.

Nepeese dopadła chaty niemal bez tchu. Bari, uwiązany do-nogi stołu skrawkiem rzemienia, usłyszał ją, na chwilę przystającą pode drzwiami. Weszła wreszcie kierując się wprost ku niemu. W czasie jej półgodzinnej nieobecności szczeniak ledwo się ruszył.

Te pół godziny oraz poprzedzające parę minut wywarły na nim silny wpływ. Natura, dziedziczność! i instynkt pracowały wspólnie, burząc i budując na nowo, tworząc nowy rodzaj inteligencji, dając początek nowym zrozumieniom.

Szybki i dziki impuls kazał mu skoczyć na Mac Taggarta, gdy agent oparł dłoń na głowie Nepeese. 3 To nie był czyn przemyślany. To był nawrót psieja natury do owego dawno minionego dnia, kiedy Kazan, i ojciec jego, zamordował człowieka pod namiotem za j podobną zbrodnią.

Teraz Bari drżał, gdy Nepeese uklękła przy nim, | lecz nie ze strachu bynajmniej ani z gniewu. Z gło- i  
wą płasko złożoną na podłodze, zaskomlił cicho i ma- | chnął

ogonem.

Nepeese wydała radosny okrzyk.

— Bari! — szepnęła ujmując jego łeb w obie dłonie. — Bari!

To dotknięcie wstrząsnęło nim do głębi.

Ciało prze- | biegła fala lekkich dreszczy.

Nepeese wyczuła wzruszenie psa i źrenice jej nabrały cieplejszego blasku. Łagodnie poklepywała  
mu głowę i kark. Bari prawie przestał oddychać. Pod pieszczotą ręki kobiecej | przymknął oczy. Lecz  
w następnej chwili Nepeese przemówiła i momentalnie Bari spojrzał na nią.

— On tu przyjdzie, ten potwór, i zabije nas!

— opowiadała dziewczyna. — Zabije ciebie, Bari, bo go ugryzł. Chciałabym, żebyś był

większy i mocniejszy i żebyś mu łeb urwał.

Odwiązywała rzemień od stołu i raptem parsknęła j półgłośnym śmiechem. Nie bała się wcale. To  
była J nadzwyczajna przygoda.

Rozpierała ją duma, że na swój sposób dała radę bestii. Widziała go po prostu ( w tej chwili, jak się  
trzepece w wodzie niby wielka j ryba. Obecnie musiał się gramolić na brzeg, cały mo- j kry, i  
chichocząc Nepeese chwyciła Bariego pod pachę.

— Och, ależ ty jesteś ciężki! — krzyknęła.

— A jednak muszę ciebie nieść, bo teraz pobiegniemy.

Pośpiesznie wyszła z chaty. Pierrot jeszcze się nie pojawił, toteż dziewczyna skoczyła co prędej w  
gęstwą chojarów za domem, mając Bariego pod pachą niby worek wypełniony z obu boków i  
przewiązany przez środek. Bari właśnie odniósł takie wrażenie. Jednak nie wiercił się, by odzyskać  
wolność. Nepeese biegła poty, aż ją ramię rozboleło. Potem stanęła i złożyła swój ciężar na ziemi,  
trzymając w dłoni koniec rzemiennej smyczy opasującej szyję psa. Była gotowa udaremnić wszelkie  
próby ucieczki. Oczekiwała jakichkolwiek w tym kierunku usiłowań i w ciągu paru chwil  
obserwowała go bacznie, podczas gdy Bari, czując wreszcie pod stopami twardy grunt, rozglądał się  
wokoło.

Dziewczyna przemówiła miękko:

— Nie uciekniesz, Bari, prawda? Zostaniesz ze mną, a jeśli ten potwór poważy się raz jeszcze mnie  
objąć, zabijemy go!

Odrzuciła w tył rozpuszczone włosy kryjąc zarumienioną twarzyczkę i myśląc o tych paru chwilach na skalnej krawędzi, gdy na mgnienie zapomniała nawet o Barim. Spojrzawszy nań znowu, zauważyła, że pies przygląda się jej uważnie.

— Nie, nie uciekniesz! — szepnęła miękko.

— Pójdiesz ze mną, chodź!

Nagliła go, by szedł, i Bari uczył, że mu się rzemień zaciska wokół szyi jak nowe sidła królicze; toteż wsparł się na wyprężonych przednich łapkach i lekko obnażył kły. Nepeese nie szarpnęła smyczą. Nieulekła, ponownie oparła mu rękę na głowie. Od chaty rozbrzmiało wołanie; na ten dźwięk dziewczyna raz jeszcze chwyciła psa pod pachę.

— *Betę noire!* Wstrętny potwór! —

wykrzyknęła drwiąco, tak jednak miarkując głos, by leciał nie dalej jak o parę jardów. —

Wracaj do Lac Bain, dzikie zwierzę!

Szybko ruszyła przez las. Znikł wszelki ślad ścieżki; bór gęstniał i czerniał. W ciągu najbliższej pół godziny przystawała trzykrotnie, by postawić Bariego na ziemię i odpocząć. Za każdym razem wabiła I psa usiłując namówić, by szedł sam. Przy drugim I i trzecim odpoczynku Bari machał ogonem i wykręcał się cały na dowód, jak bardzo aprobejuje bieg wypadków, ale iść nie chciał za nic. Zaledwie rzemień zaciskał mu się wokół

szyi, już prężył sztywno przednie łapy lub gniewnie chwycił zębami linkę; raz nawet warknął. Więc Nepeese musiała go nieść w dalszym ciągu. Wyszli wreszcie na polanę.

Była to mała łączka w sercu kniei, zaledwie trzy lub czterokrotnie większa od chaty Pierrota; trawa rosła tu zielona i bujna, gęsto przetykana kwieciami. Środkiem płynął wąski strumień. Nepeese przesadziła go lekko, wciąż z Barim pod pachą. Na brzegu stał niewielki wigwam sklecony ze świeżo uciętej jedliny i łapek cedrowych. Nepeese wsunęła głowę do swego miniaturowego *mekewap*, by stwierdzić, czy wszystko jest tak, jak to pozostawiła wczoraj. Potem z westchnieniem ulgi ułożyła na ziemi swój czworonogi ciężar i uwiązała koniec rzemienia do jednego z kołków 'szałas.

Bari cofnął się natychmiast ku ścianie wigwamu i z głową czujnie uniesioną, a oczyma szeroko otwartymi obserwował

uważnie, co się działo dalej. Nie stracił

jednego ruchu Nepeese. Dziewczyna promieniała weselem. Słyszając śmiech jej, słodki i beztroski niby świergot ptasi, Bari czuł, jak mu mocno bije serce pragnieniem wspólnej zabawy.

Zdawało się, że Nepeese na chwilę zapomniała o Barim. Jej burzliwa krew wrzała radością tryumfu nad znenawidzonym drabem.

Miała go w oczach, jak się nurza w wodzie, i wyobrażała sobie, jak obecnie, wściekły i zmoczony, wypytuje w chacie ojca, gdzie się ona podziała. A ojciec, wzruszając ramionami, odpowiada, że nie wie, że zapewne, uciekła do lasu. Do głowy jej nie przyszło, że drwiąc w ten sposób z Mac Taggarta igra z dynamitem.

Ani przypuszczała, że agent z Lac Bain jest w tej chwili groźniejszy, niż kiedykolwiek.

Wiedziała, że jest zły. Ale czegoż się miała bać? Ojciec też byłby zły, gdyby mu wyznała, co zaszło nad jeziorem. Lecz nie powie. Gotów zbić potwora z Lac Bain. Agent to ważna osoba. Ale ojciec, jej — jeszcze ważniejsza. Tę niezachwianą wiarę wzięła po matce. Być może, w chwili obecnej Pierrot odsyła Mac Taggarta do domu mówiąc, że tu nie ma nic do roboty. Jednak Nepeese nie wróci do chaty. Po-czeka tutaj. Wiedziała, że ojciec zrozumie, gdzie ma jej szukać po odejściu bestii. Tylko że byłoby strasznie zabawnie odprowadzić niefortunego konkurenta ciskając z dala patyki.

Po krótkiej chwili Nepeese wróciła do Bariego. Przyniosła mu wody i dała kawał

surowej ryby. Spędzili potem sami długie godziny, a z każdą chwilą rosła w Barim chęć towarzyszenia dziewczynie wszędzie, gdziekolwiek się ruszyła, tulenia się do niej, gdy siedziała na murawie, dotykania jej sukni i ręki, słuchania jej głosu. Lecz nie zdradzał tych swoich pragnień. Był nadal małym leśnym dzikusem, czworonogim barbarzyńcą, pół

wilkiem, pół psem — toteż leżał cicho. Z

Umiskiem byłby się bawił. Z Uhumisiu —

walczył. Na Mac Taggarta wyszczerzyłby kły i przy okazji zanurzyłby je w mięśnie. Z Nepeese było zu-. pełnie inaczej. 'Wzorem dawnego Kazana Bari poczynął uwielbiać kobietę.

Gdyby Nepeese zwróciła mu wolność, Bari już by nie umknął. Gdyby odeszła, możliwe, że podążysłby za nią — w oddaleniu. Nie spuszczał z niej oczu. Obserwował, jak roznieciwszy skromny ogień gotowała płat ryby. Obserwował, jak spożywała obiad.

Wieczór zapadał, gdy zbliżyła się i siadła tuż obok mając pełen podolek kwiecia, które zaczęła wnet wplatać w warkocze. Jedną z tych długich lśniących kos lekko uderzyła psa. Bari cofnął się pod gradem wesołych ciosów, aż dziewczyna, z perlistym uśmiechem, przyciągnęła jego łeb do swych kolan między rozsypane kwiaty.

Przemawiała do niego. Dłonią klepała ciemną głowę.

Potem ręka jej znieruchomiła tak blisko, że Bari zapragnął naraz wysunąć ciepły czerwony język i liznąć smukłe palce. Lecz tylko wciągał

ich woń przesyconą kwieciem i leżał niby martwy. Była to niezwykła chwila. Nepeese, patrząc z góry, nie umiałaby powiedzieć, czy pies dyszy jeszcze.

Przerwano im. Trzasnęła sucha gałąź. Pierrot wyszedł z głębi lasu czając się jak kot. A gdy podnieśli oczy, stał na skraju łączki. Bari wiedział, że to nie Mac Taggart. Był to jednak dwunogi potwór. Pies



natychmiast zeszywniał

cały pod dłonią dziewczyny. Bardzo wolno i ostrożnie wycofał się spod jej ręki, a gdy Pierrot postąpił bliżej, Bari warknął. W następnej chwili Nepeese wstała i podbiegła do ojca. Wyraz jego twarzy przeraził ją.<sup>1</sup>

— Co takiego? Mów! —

krzyknęła.

Pierrot wzruszył

ramionam.

— Nic, moja Nepeese, tyle tylko, żeś zbudziła ty siące diabłów w duszy agenta z Lac Bain. I że...

Urwał na widok Bariego i wskazał go palcem.

— Zeszłej nocy ten pies ugryzł agenta w rękę. Ręka spuchła do podwójnej objętości i widzę już, jak mu krew czernieje. To *pechipoo!*

— *Pechipoo!* — wykrzyknęła Nepeese.

Spojrzała w oczy Pierrota; były zachmurzone i pełne ponurych błysków. Pomyślała, że to płomień mściwej rozkoszy.

— Tak, to gangrena! — ciągnął Pierrot.

Chytry uśmiech przeleciał mu po twarzy, gdy rzucając krótkie spojrzenie przez ramię, kończył: — Schowałem lekarstwo i powiedziałem mu, że bez zwłoki winien śpieszyć do Lac Bain. Boi się, ten czort! Czeka na mnie. Z tą czerniejącą ręką nie chce sam wyruszyć będę musiał mu towarzyszyć. I posłuchaj, moja Nepeese, o zachodzie słońca już nas tu nie będzie, a przed odejściem chciałbym ci coś rzec.

Bari widział ich, jak stoją dłuższy czas blisko siebie w cieniu rzucanym przez wyniosłe sosny.

Słyszał niski szmer głosu, przeważnie głosu Pierrota. Zobaczył potem, że Nepeese zarzuca ramiona na szyję ojca i po chwili ten odchodzi.

Miał wrażenie, jże; dziewczyna nigdy już nie odwróci się doń twarzą. Trwała bez ruchu, spoglądając w kierunku, w którym Pierrot się oddalił. Gdy zaś po pewnym czasie zbliżyła się do szalasu, nie przypominała w niczym Nepeese wplatającej kwiaty w warkocze. Uśmiech znikł z jej oczu i twarzy. Uklękła ofcfok Bariego i krzyknęła w nagłym porywie zawziętości:

— Bari! To *pechipoo!* I to ty, ty wlałeś mi w żyły truciznę! Mam nadzieję, że umrze! Boję się go, boję!

Zadygotała nerwowo.

Prawdopodobnie w tej chwili Bari pojął

nareszcie, że nie istnieje dla niego na ziemi nic prócz tej dziewczyny, której ręka spoczywa właśnie na jego głowie. Zaskomlił cicho i cal za calem podpełzł bliżej, aż oparł ciemny pysk na jej kolanach.

# BURZA

Długi czas po odejściu Pierrota Nepeese siedziała na ziemi obok Bariego bez ruchu.

Wreszcie gęstniejący mrok i głuchy łoskot nad głową zbudziły ją z trwożnego zamyślenia.

Gdy spojrzała w górę, brunatne chmury gromadziły się z wolna na skrawku nieba między szczytami drzew. Zapadała ciemność.

Szept wiatru i nadchodząca czerń wieściły bliskość burzy. Brakło dziś barwnego zachodu słońca. Nie zanosilo się też na pogodną godzinę zmierzchu, sposobną do podróży, i jeśli. Pierrot wraz z agentem nie znajdowali się już na szlaku, należało sądzić, że nie ruszą z chaty wobec gęstego mroku, jaki wkrótce spowinie ziemię.

Nepeese zadrzała i uniosła się z trawy. Po raz pierwszy Bari wstał również tkwiąc tuż u jej boku. Ponad nimi jaskrawa błyskawica przecięła chmury niby nóż ogniasty, a nawet potem zaryczał przeraźliwy grzmot. Bari przysiadł i cofnął się jak uderzony kijem. Byłby zapadł między jedlinę, stanowiącą bok wigwamu, lecz spojrzawszy na Nepeese nabrał

otuchy. Grom huknął znowu. Ale pies już się nie cofał. Oczy wlepił w dziewczynę.

Stała prosta i smukła w tej ciemni rozdieranej lśnieniem błyskawic, z piękną głową odrzuconą wstecz, z rozchylonymi wargami, z oczyma, w których jaśniało niemal radosne oczekiwanie — rzeźbiona boginka leśna nieulekła wobec siły przyrody. Nie bała się burzy; być może dlatego, iż sama przyszła]

na świat w burzliwą noc. Niejednokrotnie rodzice, opowiadali, jak w godzinie jej narodzin ryk piorunów i ognie błyskawic rozpętały na ziemi istne piekło; jak potoki wyszły z brzegów, jak tysiące drzew pękły na pół lub legły wydarte z korzeniami, a łoskot ulewy na dachu zagłuszył

jęk matki i pierwszy płacz noworodka.

Być może, iż tej nocy Duch Burzy zamieszkał w sercu Nepeese. Lubiła na nią patrzeć; obserwując wspaniałe szaleństwo przyrody zapominała o wszystkim. Jej półdzika natura drżała z rozkoszy wobec gromów i ognia; częstokroć, wyciągnąwszy przed siebie obnażone ręce, śmiała się czując, jak deszcz ją zmywa. I teraz nawet gotowa była czekać, aż luną chłodne strugi, gdyby nie zbudził jej z ekstazy skowyt Bariego. Skoro więc pierwsze ciężkie krople zaczęły uderzać z dźwiękiem ołowianych kul, weszła wraz z psem do namiotu.

Bari przeżył już poprzednio jedną noc straszliwej burzy, tę właśnie, gdy ukryty pod korzeniem widział, jak wali się drzewo rozłupane gromem. Lecz teraz miał

towarzystwo, a ciepłe muśnięcia dłoni Nepeese na głowie i karku znakomicie dodawały mu odwagi. Leciutko warczał na trzask piorunów.

Miał ochotę chwytać zębami migocące błyskawice. Nepeese czuła, jak ciało psa pręży się pod jej

ręką, a w chwili niesamowitej ciszy słyszała ostry, nerwowy szcęk jego kłów.

Potem lunął deszcz. Wcale nie był podobny do deszczu, jaki Bari już widywał. Przypominał

raczej potop. Po upływie pięciu minut wewnątrz namiotu można było porównać z prysznicem, a po półgodzinnej ulewie Nepeese przemokła do kości. Woda leciała cienkimi strugami wzdłuż jej pleców i piersi, obficie ciekła z warkoczy, kroplami spływała z długich rzęs. Dera pod nią nasiąkała niby gąbka. Dla Bariego było to niemal równie przykre jak kąpiel w rzeczulce po bójce z Papajuczisium, toteż garnął się coraz ciałniej pod opiekuńcze ramię Nepeese. Miał

wrażenie, że trwało to bardzo długo, nim wreszcie grzmot przetoczył się na zachód, a błyskawice skonały w przestrzeni, coraz bledsze i rzadsze. Lecz deszcz lał jeszcze całą godzinę. Potem ustał równie nagle, jak się zaczął.

Z krótkim śmiechem Nepeese porwała się na nogi. Woda chlupała w jej mokasynach, gdy szła na środek polany. Nie zwracała uwagi na Bariego, lecz on śpieszył za nią. Wiatr zmiatał

znad głowy resztki chmur. Błysła jedna gwiazda, potem druga; Nepeese obserwowała, jak się zapalają w górze, aż było ich tyle, że już nie mogła zliczyć. Ciemność pierzchła. Po mroku burzy jasne światło gwiazd zalało łączkę.

Wtedy spojrzała w dół i dostrzegła Bariego.

Poprzednio odwiązała mu ramię z szyi, stał

więc zupełnie swobodny mając zewsząd wolną przestrzeń.—Mimo to nie uciekał. Czekał, mokry niby szczur, nie zdejmując z niej badawczego spojrzenia. Nepeese uczyniła w jego stronę lekki ruch i'zawahała się.

— Nie, nie uciekniesz, Bari! Nie będę cię wiązać! A teraz musimy mieć ogień!

Ogień! Każdy z wyjątkiem Pierrota mógłby ją posądzić o obłąd. W lesie nie było jednej gałązki lub patyka nie ociekającego wodą.

Zewsząd dochodził bełkot płynących strużek.

— Musimy mieć ogień! — powtórzyła Nepeese. — Szukajmy *wuskwi*, Bari!

W mokrej sukni, ciasno przylegającej do ciała, niby smukły cień przebiegła grząską łączkę i znikła w leśnej gęstwinie. Bari dreptał tuż za nią. Odnalazła natychmiast wielką brzozę, którą zauważyła już poprzednio, i poczęła drzeć luźną korę. Pełne jej naręcze zniosła przed wigwam, po czym spiętrzyła po wierzchu stos mokrych gałęzi. Z butelki, ukrytej w szalasiu, wyjęła suchą zapałkę i za pierwszym dotknięciem drobnego płomienia brzozowa kora zajęła się momentalnie niby naoliwiony' papier.

W pół godziny później ogień Nepeese, gdyby nie mur lasu stojący wokół, mógłby być widziany bodaj o milę. Dopiero gdy płomienie biły o dwadzieścia stóp wzwyż, dziewczyna zaprzestała dorzucania nowych gałęzi. Potem w miękkim gruncie wetknęła parę kołków i rozpięła na nich derkę do wysuszenia.

Wreszcie zaczęła się rozbierać.

Deszcz odświeżył powietrze i jego aromatyczny dech, przesycony zapachem balsamicznych sosen, rozplómił krew dziewczyny. Zapomniała, o przykrościach ulewy; zapomniała o agencji z Lac Bain i o słowach ojca. Ostatecznie była ptaszyną leśną, dzikim kwiatem; toteż podczas cudownych godzin, jakie nastąpiły po burzy, nie myślała o groźbie wiszącej nad, nią i ojcem, nie czuła trwogi przed niczym. Tańczyła wokół Bariego powiewając w powietrzu falą ciemnych włosów, błyskając oczyma i śmiejąc się wesoło. Stała wreszcie przed nim i krzyknęła wyciągając ręce:

— Bari, gdybyś ty mógł tak łatwo zrzucić skórę jak ja swoje suknie!

Odetchnęła głęboko i na dnie jej źrenic błysnęła raptowna myśl. Z wolna usta jej przybrały kształt szkarłatnego kółeczka i chyląc się niżej nad psem szepnęła:

— Nocy dzisiejszej będzie głębokie i miękkie! Tak, pójdziemy!

Wsunęła stopy w mokre skórznie i wołając Bariego ruszyła ścieżką przez las. O sto jardów od polany wyszła na brzeg jeziora. Było tej nocy głębokie i pełne, dwakroć większe niż przed ulewą. Dawał się słyszeć bełkot lecącej wody. Gwiazdy lśniły na sfałdowanej powierzchni. Dziewczyna stała chwilę na skale mając chłodną głębię o sześć stóp poniżej.

Potem, odrzucając włosy wstecz, niby smukły biały pocisk strzeliła przez wygwieżdżony mrok. Bari widział jej skok. Słyszał, jak nurkuje. Dobre pół godziny leżał splaszczony i bez ruchu, tuż na krawędzi skał, obserwując ją bacznie. Nieraz znajdowała się tuż przy nim, bezgłośnie unosząc się na wodzie, a włosy tworzyły jej wezglowie ciemniejsze niż toń; to znów płynęła niemal równie szybko jak wydry, które oglądał niegdyś. Czasem ginęła pod powierzchnią, a Bari czekając czuł, jak mu serce bije coraz gwałtowniej. Raz nie ukazywała się długo. Zaskomlił. Wiedział, że nie jest z gatunku wydr i bobrów, toteż gdy wynurzyła się wreszcie, doznał niezmiernej ulgi. Tak minęła ich pierwsza noc. Burza, wielkie ognisko, głęboka toń jeziora. Później, gdy dera i suknia dziewczyny wyschły — parę godzin snu. O brzasku wrócili do chaty. Był to ostrożny powrót. Z komina jednak nie bił dym.

Drzwi zastali zamknięte. Pierrot i Bush Mac Taggart już odeszli.

Był początek sierpnia, czyli Lecącego w Górę Księżycy, gdy Pierrot wrócił z Lac Bain.

Za trzy dni Nepeese miała skończyć siedemnaście lat. Ojciec przywiózł jej moc prezentów: wstążki do włosów, prawdziwe trzewiki, jak te, które nosiły dwie Angielki z Nelson House, oraz cud nad cudy, śliczny czerwony materiał na suknię. Podczas trzech zim spędzonych w misji tamtejsze siostry uczyniły dla Nepeese bardzo wiele: nauczyły ją nie tylko modlić się i czytać, ale także szyć.

Dziewczyna, pełna podziwu dla swych mentorek<sup>1</sup>, nieraz nawet miała ochotę pójść w ich ślady.

Więc w ciągu trzech dni Nepeese pracowicie ślęczała nad nową suknią, a gdy w dniu urodzin stanęła przed ojcem, Metysowi aż dech zaparło. Dziewczyna spiętrzyła włosy na głowie w wielkich lśniących falach i lokach, a w ich bogatą czerń wpięła jaskrawy!

„płomyk leśny”. Poniżej tej ozdoby oraz błyszczących! oczu, pąsowych warg i kremowych policzków

— szła] wspaniała czerwona suknia ciasno oblegająca szczu-j płą kibić, jak to przed dwoma laty było modna w Nelson. A poniżej sukni, sięgającej tylko za ko-j lana — Nepeese zupełnie zapomniała o właściwej długości czy też materii jej zabrakło

— była najważniejsza część jej toalety: prawdziwe pończochy: i trzewiki na wysokich obcasach.

Całość stanowiła widok, wobec którego serce mogło przestać

bić nawet w piersi bóstw leśnych Pierrot obrócił się na piętach raz i drugi, bez słowa lecz z uśmiechem; natomiast gdy odeszła z Barim kulejąc w nieco przyciasnym obuwiu, uśmiech znikł z jego twarzy pozostawiając ją chłodną i skupioną!

— *Mon Dieu!* — szepnął sam do siebie i serca przeszył mu ostry ból. — Nie ma nic z matki, nic a nic! Tak, to biała Francuzka!

Od chwili powrotu zaszła w nim wyraźna zmiana! W ciągu

trzydniowego szycia sukni Nepeese była zbyt zajęta, by zauważyć cokolwiek, a i ojciec starał

się przed nią taić troskę. Nieobecność jego w związku z podróżą do Lac Bain trwała półtora tygodnia. Przywiózł stamtąd wieść radosną, że Mac Taggart jesi obłożnie chory na *pechipoo*, czyli zatrucie krwi, co usłyszawszy Nepeese klasnęła w dłonie, wybuchając radosnym śmiechem. Lecz Pierrot wiedział, że ageni przyjdzie do zdrowia i że odwiedzi znów ich chatę nad Gray Loon. A skoro się zjawi...

Ilekoć o tym myślał, twarz mu się kurczyła! a oczy płonęły. W dniu jej urodzin również dumał nad tą sprawą, podczas gdy śmiech Nepeese dźwięczał niby pieśń. Pomimo siedemnastu lat była dziewczynką, dzieckiem!

Nie mogła odgadnąć jego straszliwych przeczuć. A lęk zbudzenia jej z dziewczęcych marzeń powstrzymywał go od wyjawienia całej prawdy. Nie, tego nie będzie! Kochał ją tkliwie i głęboko. Postanowił stać na straży. A ona niech się śmieje, niech się bawi!

Tego dnia przybył z południa Mac Donald, rządowy rysownik map. Był szpakowaty, śmiał się szczerze i donośnie, a serce miał czyste.

Zabawił u Pierrota dwa dni. Opowiadał

dziewczynie o swoich dwóch córach i o ich matce, którą wielbił ponad wszystko. Nim ruszył dalej, sfotografował Nepeese taką, jak ją po raz pierwszy zobaczył w dniu urodzin: z upiętymi lśniącymi lokami, w czerwonej sukience i w bucikach z wysokimi obcasami.

Kliszę zabrał ze sobą obiecując Pierrotowi, że w ten czy inny sposób dostarczy mu zdjęcia.

Oto jak drobne i na pozór niewinne zdarzenia tworzą zaczątek dramatów.

Nad Gray Loon dni i tygodnie płynęły teraz w spokoju i ciszy. Były to dla Bariego cudne dni. Na razie odnosił się do Pierrota nieufnie.

Po pewnym czasie zaczął go tolerować, a wreszcie pogodził się z nim jako z częścią składową chaty i Nepeese. Stał się cieniem dziewczyny. Pierrot z najgłębszym zadowoleniem stwierdzał przywiązanie psa.

— Ach, jeśli za parę miesięcy skoczy do gardła agenta... — mruknął kiedyś pod nosem.

We wrześniu, mając pół roku, Bari wzrostem dorównywał niemal Szarej Wilczycy; miał grube kości, długie kły, szeroką pierś i szczęki, które już kruszyły gnaty niby suchą gałąź. Nie odstępował Nepeese, gdziekolwiek i kiedykolwiek szła. Pływali razem w obu jeziorach, tym leśnym i tym pośród skał.

Początkowo Bariego ogarniała panika, gdy widział, jak Nepeese daje nurka z głazu, z którego niegdyś strąciła Mac Taggarta. Lecz po upływie miesiąca nauczyła go również skakać przez te dwadzieścia stóp przestrzeni.

Sierpień miał się ku końcowi, gdy Bari zobaczyli pierwsze zwierzę własnego gatunku poza Szarą Wil-B czycą i Kazanem. W ciągu lata Pierrot trzymał swej psy na swobodzie, na małej wysepce pośród jeziora i o parę mil oddalonego od chaty, i dwa razy w ty-1 godniu łowił dla nich ryby niewodem. W czasie jed-1

nej z takich wypraw Nepeese towarzyszyła ojcu wzięwszy ze sobą Bariego. Pierrot miał w pogotowiu długi bicz z jelit karibu. Spodziewał

się walki. NicJ podobnego nie zaszło. Bari przyłączył się do sfory, H gdy psy rzuciły się na ryby, i jadł razem z nimi. To ucieszyło Metysa bardziej niż wszystko inne.

— Będzie z niego świetny pies pociągowy

— zachichotał. — Lepiej zostawmy go na tydzień wraz ze sforą, moja Nepeese!

Nepeese przystała niechętnie. Podczas gdy psy posilały się jeszcze, ruszyli w powrotną drogę. Odje-1 chali już spory kawał, nim Bari spostrzegł, co się I dzieje. Momentalnie skoczył do wody i doścignął ichl wpław, po czym Nepeese pomogła mu wleźć doi czółna.

Na początku września znajomy Indianin przyniósł!

traperowi wieść od Mac Taggarta. Agent przeszedł! ciężką chorobę. Omal nie umarł na zatrucie krwi,! lecz teraz wydobrzał w zupełności. Toteż wraz z rzeźwym tchnieniem jesieni nowy lęk ścisnął serce' Pierrota. Na razie jednak nie podzielił się myślami\* z córką.

Nepeese zapomniała prawie o istnieniu! agenta z Lac Bain. Gdb3rwała z ojcem długie wycieczki pomagając mu oczyszczać nowe linie sideł,? które miały być użyte przy pierwszym śniegu. Barii towarzyszył jej stale.

Większość wolnych godzin spędzała na przyuczaniu go

do upręży i sań. Zaczęła od skrawka rzemienia i gałęzi. Zmitrężyła cały dzień, nim Bari się zgodził wlec za sobą tę gałąź nie obracając się co krok, by ją chwycić zębami lub warknąć na nią. Potem opasała go nowym kawałkiem rzemienia i kazała ciągnąć dwa kijki. W ten sposób powoli wdroyła Bariego do noszenia upręży, aż po upływie dwóch tygodni bohaterko ciągnął każdy przedmiot, jaki tylko chciała doń uczepić. Pierrot przywiódł do domu dwa spomiędzy psów przebywających na wyspie i Bari przeszedł z nimi wspólną szkołę wlokąc puste sanie. Nepeese nie posiadała się z radości. Gdy spadł pierwszy śnieg, klaszcząc w ręce krzyknęła:

— Ojczy, do połowy zimy Bari będzie najlepszym psem z całej sfory!

Teraz nadszedł dla Pierrota czas wyjawienia swych myśli. Uśmiechnął się. Do diaska! Czyż się ten potwór, agent, nie wścieknie, gdy spostrzeże, jak z niego zadrwiono? Ale jednak...

Usiłował nadać głosowi spokojne i niedbałe brzmienie:

— Poślę cię do szkoły do Nelson House tej zimy jeszcze, kochanie! — rzekł. — O

pierwszej dobrej sannie Bari pomoże cię wieźć.

Nepeese wiązała właśnie węzeł u rzemieni Bariego. Teraz wstała wolno i prostując się spojrzała na ojca. Oczy miała duże, ciemne i nieugięte.

— Nie pojedę, mój ojczy!

Po raz pierwszy odzywała się w podobny sposób. Pierrot drgnął radośnie. Z trudem wytrzymał jej wzrok. Nie umiał kłamać.

Dostrzegła wyraz jego twarzy; miał wrażenie, że czyta jego myśli. Wyrosła jakby. Oddychała szybciej. Widział, jak jej pierś unosi się i opada. Nie dała mu przyjść do słowa.

— Nie pojedę! — powtórzyła jeszcze bardziej

sta

nowczo i znów pochyliła się nad Barim.

Pierrot, obserwując ją, wzruszył ramionami.

Ostatecznie, czyż nie był rad? Czy nie zabolaloby go serce, gdyby dziewczyna okazała radość na myśl o porzuceniu go? Zbliżył się i bardzo serdecznie oparł dłoń na jej lśniących włosach. Nepeese uśmiechnęła się do ojca.

Pomiędzy nimi Bari, kładąc pysk njj ręku dziewczyny, szczęknął klami.

Po raz pierwszy od paru tygodni świat PierrotJ nabrał słonecznych barw. Wracając do chaty wysokli



niósł głowę. Nepeese go nie porzuci! Roześmiał się cicho i zatarł ręce. Lęk przed agentem z Lac BaiiJ pierzchł. Stojąc w progu obejrzał się na córkę i psa.i

— Niech Bogu będą dzięki! — szepnął. —

Pierrot! Du Quesne wie już teraz, co ma robie!

# ZEW WILCZEGO STADA

W końcu września przybył do Lac Bain Mac

> Do-! nald, rysownik map. Od dziesięciu dni Gregson, głów-i ny wspólnik, był gościem Mac Taggarta w faktorii! i w ciągu tego czasu Maria dwukrotnie miała ochotę podkraść się do niego nocą i przebić go nożem. Sama agent mało na nią teraz zwracał uwagi, co napeł-ł niałoby ją radością, gdyby nie Gregson. Ten ostatni! był

zachwycony dziką urodą dziewczyny Cree, a Maci Taggart bez cienia zazdrości popychał go ku niej. I Maria obrzydła mu do reszty.

Bush Mac Taggart szczerze przedstawił

wspólnikowi

sytuację. Miał ochotę pozbyć się Marii i jeśli on, Gregson, zechce ją ze sobą zabrać, wyświadczył mu wielką przysługę.

Wytłumaczył dlaczego. Niecfl później, skoro nastaną głębsze śniegi, sprowadzi do faktorii córkę Pierrota Du Quesne. Jak złoczyńca złoczyńcy, opowiadał o swych odwiedzinach w chacie nad Gray Loon i o tym, jak go przyjęto.

Pomimo!

wszystko — twierdził — córka Pierrota zamieszka

wkrótce w Lac Bain. Mac Donald przybył

właśnie tego dnia. Zabawi!

tylko przez noc i ani podejrzewając, że dorzucą

chrustu do ognia i tak już płonącego niebezpiecznie!

wręczył agentowi fotografię Nepeese. Było to prze!

śliczne zdjęcie.

- Jeśli dostarczy pan to kiedy tej dziewczynie!

będę mocno zobowiązany! — rzekł do Mac Taggarta. — Obiecałem jej jedną odbitkę.

Ojciec jej nazywa się Du Quesne, Pierrot Du Quesne. Pan zapewne go zna? Co do dziewczyny...

Gorąco jął wychwalać, jak była tego dnia piękna w swej czerwonej sukience. Ani podejrzewał, że krew Mac Taggarta jest bliska stanu wrzenia...

Nazajutrz Mac Donald wyruszył do Norway House. Bush Mac Taggart nie pokazał

fotografii Gregsonowi. Zachował ją dla siebie i nocami przy świetle lampy przyglądał się jej, coraz to bardziej umacniając się w swych zamiarach. Istniała tylko jedna droga. Ogólny plan powziął od dawna; widok fotografii wpłynął na niego decydująco. Nawet współnikowi nie śmiał powierzyć tajemnicy.

Ale sposób był jeden. Dziewczynę będzie miał.

Musi tylko doczekać kopnych śniegów, zasp zimowych. Te głęboko kryją ślady tragedii.

Mac Taggart był rad, gdy Gregson ruszył do Norway House w ślad za Mac Donaldem, Przez grzeczność odprowadził go dzień drogi.

Skoro wrócił do domu, nie zastał Marii —

znikła. Ucieszył się. Pchnął gońca do jej plemienia z saniami darów i poselstwem: „Nie bijcie jej! Zatrzymajcie ją! Jest wolna!” Wraz z gwarem i zamętem rozpoczynającego się sezonu łowów Mac Taggart jął urządzać dom na przyjęcie Nepeese. Znał jej upodobania.

Kazał na biało pomalować ściany izb farbą olejną używaną do czółen. Zarządził zerwanie paru przepierzeń i wstawienie nowych.

Indianka, żona pewnego poganiacza psów, uszyła franki do okien, a Mac Taggart zwędził

mały fonograf, zakupiony właściwie do Lac La Biche. Był pewien swego i liczył dni, w miarę jak mijały.

Nad Gray Loon Pierrot i Nepeese krzatali się pilnie. Byli tak zajęci, że Metys chwilami zapominał o trwodze, a z myśli dziewczyny wywietrzały w ogóle wszelkie troski. Nadszedł

Czerwony Księżyc, więc serca drżały oczekiwaniem zimowych łowów. Nepeese starannie nurzała siatkę sideł we wrzącym ; tłuszczu karibu zmieszanym z sadłem bobrów, podczas gdy Pierrot sprawiał

nowe wnyki. Jeśli się od-? dałał z chaty dłużej niż na dzień, córka towarzyszyła mu zawsze.

Lecz i w domu pracy było zatrzęsienie, gdyż Pierrot, wzorem wszystkich mieszkańców Dalekiej Północy, dopiero wtenczas brał się do roboty, gdy już ostry dech jesieni wisiał w powietrzu. Należało przepleść świeżym rzemieniem rakiety śnieżne \* oraz porąbać drzewo na okres zamieci. Trzeba było uszczelnić mchem szpary w ścianach, powiązać nowe uprze-j że, naostrzyć noże do odzierania skór, uszyć zapasowej mokasyny, słowem, wykonać sto i jedną czynność — jak na przykład wzmocnić rusztowanie w tyle chaty,! gdzie od początku do końca chłodów miały wisieć!

combry renów, jeleni i łosi, przeznaczone na pokarmi dla ludzi, a w razie braku ryby na racje dla psów..!

W tym zamieszaniu Nepeese z konieczności mogła poświęcić Bariemu mniej uwagi.

Bawili się rzadziej, nie kąpali wcale, rankiem bowiem na ziemi leżał! gęsty szron, a woda była lodowato zimna. Nie od-ł bywali też długich wędrówek po lesie w poszukiwa-ju niu kwiatów i jagód. Bari legiwał teraz godzinami!

u nóg dziewczyny, obserwując, jak jej szczupłe palce! szybko tworzą plecionkę rakiet. Od czasu do czasu Nepeese pochylała się nieco, by oprzeć dłoń na głó-1 wie psa i przemówić do niego to w miękim narzeczu! Cree, to w rodowitym języku ojca, to znów pol angielsku.

Zresztą Bari nauczył się rozumieć odcień jej głosu, ruch warg, gesty i zmienny wyraz twarzy. Wiedział, co oznacza jej uśmiech; gdy wybuchała śmiechem, skakał nieraz wokół

niej uczestnicząc w tej radości. Szczęście jej było jego szczęściem; surowy ton bolał!

bardziej niż cios. Pierrot uderzył go dwukrotnie i dwukrotnie Bari skoczył wstecz, obnażając kły i warcząc wściekle, podczas gdy włos na karku mu się jeżył. Gdyby który z innych psów na to się poważył, Pierrot ukarałby go jak najostrzej. Byłby to bowiem otwarty bunt, a człowiek musi panować nad sforą. Lecz Bariemu uchodziło wszystko płazem. Dotknięcie ręki Nepeese, jedno słowo z jej ust — i włos Bariego opadał z wolna, a warknięcie zamierało w gardle. Pierrot był rad.

— Ani myślę batem uczyć go pokory! —

mówił sam do siebie. — To dzikie zwierzę i niewolnik Nepeese. Dla niej gotów zabić!

Toteż z woli Metysa, choć nie podawał

przyczyn, Bariego ominęła rola psa pociągowego. Pozostawiono mu zupełną swobodę i nie wiązano nigdy jak resztę sfory.

Nepeese była rada, ale nie odgadła, do czego dąży jej ojciec. Pierrot uśmiechał się ukradkiem. Córka nie miała się dowiedzieć, w jakim celu Metys podsycą w Barim podejrzliwość względem siebie, doprowadzając go niemal do nienawiści. Wymagało to znacznej dozy sprytu. Ale Pierrot, mając na myśli przyszłość córki, rozumował. Jeśli mnie znenawidzi, znenawidzi wszystkich ludzi! To dobrze!

Lecz dni pełne ożywczego tchnienia i mroźne noce zrodziły w Barim wielką zmianę. To było nieuniknione. Pierrot wiedział, iż to przyjdzie, i pierwszej nocy, gdy Bari siadłszy na zadzie zawył w twarz Czerwonego Księżyca, Metys przygotował córkę.

— On jest dzikim psem, Nepeese! — rzekł

do niej. — Jest półwilkiem i zew przemówił w nim mocno. Pójdzie w las. Będzie nieraz przepadał. Ale nie należy go wiązać! Wróci!

Wróci na pewno!

Zew zawitał do Bariego niby złodziej, wolno i ostrożnie skradając się do bronionego miejsca. Bari

nie rozumiał go na razie.

Wskutek tego stał się niespokojny i nerwowy, tak nerwowy, że Nepeese często słyszała, jak skomlił przez sen. Oczekiwał czegoś.

Ale czego? Pierrot wiedział i uśmiechał się zagadkowo.

Lecz oto — przyszło! Była noc, cudowna noc, pełn na księżycu i gwiazd, nad ziemią wysrebrzoną szroł nem, gdy usłyszeli pierwszy łowiecki zew wilczy Latem niekiedy rozbrzmiewało samotne wycie włóczęgów leśnych, ale to był głos stada. W miarę jak płynął poprzez głęboką ciszę i pustkę nocy —

dni pieśń rodząca się od wieków wraz z nowiem Czerwonego Miesiąca — Pierrot pojmował, że to, na cł Bari oczekiwał, nadeszło.

Bari zrozumiał to momentalnie. Mięśnie mu stęzały jak napięte postronki, gdy tak tkwił w księżycowym blasku, łbem zwrócony do tajemnicy dźwięk Słyszeli, jak skomli cicho, a Pierrot schyliwszy sil dostrzegł, że pies drży.

— To jest *mee-kool* — szepnęła córce.

Był to istotnie zew krwi, gwałtownie tętniące! w żyłach Bariego, wołanie przodków, od Kazana i Szarej Wilczycy począwszy, a kończąc na niezliczej nych zamierzchłych pokoleniach. Był to głos jegj rodu. Nepeese czekała w natężeniu. Wygrana luj przegrana —

dla niej znaczyła najwięcej. Wiedział o tym.

Nie wydała żadnego dźwięku, nie odpowiała na szept ojca, lecz wstrzymując oddech obsefl wowała Bariego, jak z wolna, krok za krokiem, gin| w cieniu. Po upływie paru chwil znikł. Wtedy wjł prostowała się, odrzuciła w tył

głowę i blaskiem ocJ rywalizując ze światłem gwiazd:

— Bari! — zawołała — Bari! Bari!

Musiał być już na skraju boru, zdążyła bowiem dwukrotnie głęboko odetchnąć, nim się znów pojawił. Lecz wrócił prosto jak strzała i zaskomlił podnosząc łeb do jej twarzy.

Nepeese oparła mu rękę na głowie j

— Masz rację, ojcze! — rzekła. — On pójdzie do wilków, ale wróci! Nigdy nie opuści mnie na długj!

Z jedną dłonią wciąż na głowie Bariego, drugi wskazała czarną głąb lasu.

— Idź do nich, Bari! — szepnęła. — Ale musisz wrócić! Musisz!

Weszła do chaty wraz z ojcem; drzwi się za nimi zamknęły, a Bari został sam. Zapadła długa cisza. W tej ciszy łowił stłumione dźwięki: szcęk łańcuchów sfory, niespokojny ruch psych ciała, trzepot czyichś miękkich skrzydeł i przede wszystkim oddech samej nocy. Gdyż dla Bariego noc drgała życiem własnym. Raz jeszcze zanurzył się w niej i tuż u krawędzi lasu przystanął nasłuchując. Wiatr skręcił niosąc znów przeciągłe, przenikliwe wycie stada. Daleko na zachodzie samotny wilk zwrócił pysk ku niebu i odpowiedział na apel towarzyszy. A potem ze wschodu nadleciał głos tak odległy, że przypominał raczej echo.

W gardle Bariego jakaś nuta drgnęła i zamarła. Odrzucił łeb w tył. Tuż nad nim stał

Czerwony Miesiąc wzywając do poznania dreszczy i tajemnic świata. Nuta narosła mu w gardle, coraz głośniejsza, coraz bardziej mocna, aż dosięgła gwiazd. W chacie Pierrot i Nepeese usłyszeli ją. Pierrot wzruszył ramionami.

—Poszedł! — rzekł.

—Tak, ojcze, poszedł! — odparła Nepeese wyglądając oknem.

## SZALONE ŁOWY

Mrok lasu nie trwożył już Bariego jak za dawno minionych dni. Tej nocy jego zew łowiecki uderzył w księżyc i gwiazdy, a w tym krzyku po raz pierwszy posłał wyzwanie ciemności i przestrzeni; przestrogę — dziczy, słowo przyjaźni — braciom.

Z własnego głosu i otrzymanej odpowiedzi zaczerpnął nową moc, poznanie, że kniei i zamieszkujących ją istot nie ma się czego bać; przeciwnie, to one drżą przed nim.

Poza ścianą chaty i wpływem Nepeese znajdowało

się to wszystko, co jego wilcza natura uznała otaecnieB za cenne: stworzenia własnego gatunku, urok przygód, czerwona, słodka krew łowów i wreszcie — towarzyska życia. Prawdę mówiąc, to ostatnie wał biło go najsilniej, choć najmniej je rozumiał.

Pomknął w mrok, prosto na północo-zachód, nisko przypadając do ziemi pod gałęziami krzaków, ze zwieszoną kitą, na wpół

uniesionymi uszami stał wilk. Stado skręciło ku północy i poruszało się szybciej niż on. Toteż po upływie pół godziny już nie umiał

pochwyć wycia gromady. Lecz z zachodu samotny zew wilczy był coraz bliższy i Bari odpowiedział nań trzykrotnie.

Minęła godzina. Bari znów ułowił głos stada skręcającego tym razem na południe. Pierrot z łatwością pojąłby ten manewr. Ścigana zwierzyna znalazła *hezM* pieczne schronienie w jeziorze lub też przepłynęła i stado wpadło na nowy trop. W tym czasie najwyżej ćwierć mili zagajnika dzieliło Bariego od samotnego wilka, lecz samotnik ten był zarazem starym wygął toteż z nieomylnością długoletniego doświadczenia skręcił w kierunku łowów tak miarkując, że dążył do miejsca

położonego o trzy ćwierci do pół mili przea czołem stada.

Był to sprytny manewr szarych włóczęgów, którego Bari musiał się dopiero nauczyć.

Obecnie przez swą nieświadomość i brak doświadczenia w ciągu najbliższej godziny dwukrotnie znalazł się tuż obok stada i mimo to nie zdołał go dognać. Potem nastąpiła długa cisza. Stado zbiło zwierzynę z nóg i ucztowało w milczeniu.

Resztę nocy, a w każdym razie niemal do zachodu księżyca, Bari włóczył się sam jeden. Znajdował się daleko od chaty, a szlak jego był powikłany i kręty, mimo to jednak nie doznawał przykrego wrażenia że się zgubił. Ostatnie dwa czy trzy miesiące rozwinęły w nim zmysł orientacji, ten „szósty zmysł” który nieomylnie prowadzi gołębia do gniazda i najprostszą drogą kieruje niedźwiedzia do zeszłorocznego zimowego legowiska.

Bari nie zapomniał Nepeese. Niejednokrotnie odwracał głowę wstecz i skomlił, a zawsze wiedział doskonale, któredy należałoby iść chcąc z danego miejsca najprędzej trafić do chaty. Nie wracał jednak. W miarę jak upływały godziny nocy, coraz pilniej szukał

tego czegoś, za czym tęsknił i czego nie mógł

znaleźć. Skoro księżyc zbladł i szary brzask zawitał, począł mu doskwierać głód, nie dość jednak silny, by go zachęcić do łowów.

Było zimno, a stało się jeszcze zimniej, gdy zgasł księżyc i gwiazdy. Pod łapami, szczególnie na otwartych przestrzeniach, leżał

gęsty, biały szron, na którym Bari chwilami pozostawiał wyraźne odbicie pazurów i palców. Wędrował uparcie, godzinami, przebył

wiele mil i o świcie był silnie zmęczony. Aż nadszedł moment, gdy raptem, z nagłym, ostrym kłapnięciem szczęk, stanął w miejscu jak wryty.

Wreszcie nadeszło spotkanie, którego pragnął.

Działo się to na słabo oświetlonej sinym brzaskiem, kolistej, amfiteatralnie wzniesionej polance, u szczytu wzgórza, którego stok opadał ku wschodowi. Zwrócona ku niemu łbem, czekając aż się wynurzy z cienia, wrażliwym nosem chłonąc mocny jego zapach, stała młoda wilczyca Mahigun.

Bari nie zwęszył jej zawczasu, zobaczył

natomiast wychodząc spośród opasujących'

polanę jodłowych zarośli. Wtedy stanął i przez minutę żadne z nich ani drgnęło. Zdawali się prawie nie oddychać.

Nie dzieliła ich nawet dwutygodniowa różnica wieku, Mahigun była jednak znacznie mniejsza. Ciało miała również długie, lecz bardziej drobne; nogi szczupłe, podobne do łap lisich, i grzbiet nieco w

łuk wygięty, oznaka niezwykłej szybkości. Gotowała się do ucieczki, gdy Bari zrobił w jej stronę pierwszy krok, po czym, bardzo wolno, ciało jej traciło sztywność i w miarę jak pies się przybliżał, uszy wilczycy, nastroszone nieufnie, zaczęły opadać, aż miękko zwisły na boki.

Bari zaskomlił. Uszy miał postawione na sztorc, łeb czujnie uniesiony, ogon wolno puszczone i puszysty. Spryt, jeśli nie strategia, nadawały mu wyższość męską. Znajdował się o pięć stóp od Mahigun, gdy niby przypadkiem odwrócił się od niej łbem ku wschodowi, gdzie słaba smuga o barwie purpury i złota wieściła nadejście dnia. W ciągu paru chwil; sapał, rozglądał się wokoło i z wielką powagą szukał wiatru, jak gdyby podkreślając wobec smukłej nie-1 znajomej — jak to czyniło przed nim tyle dwunogich; istot — swoje wielkie znaczenie w świecie.

Mahigun była należycie przejęta. Podstęp Bariego podziałał równie dobrze jak niejeden podstęp ludzki. Wciągał powietrze z tak wzruszającą gorliwością, że uszy Mahigun strzeliły ku przodowi i poczęła wę-ij szyć z nim wespół. Obracał łeb to tu, to tam, tak nerwowo i czujnie, że ciekawość lub może lęk skłoniły wilczycę do wykonywania podobnych ruchów.; A gdy Bari zaskomlił, jak gdyby ułowiwszy w powietrzu tajemnicę, której samka nie mogła pojąć,! w gardle jej wezbrała odpowiedź, zdławiona jednak i niska, jakby nie była pewna, czy wolno jej prze-j rwać zadumę pana i władcy. Na ten dźwięk Bari skreślił ku Mahigun krokiem lekkim i tanecznymi i już w następnej chwili obwąchiwali sobie nosy.

Skoro słońce weszło w pół godziny później, znalazło ich jeszcze na małej polance u szczytu wzgórza! z głęboką smugą boru poniżej i rozesłaną u stóg równiną porośłą splotem chaszczki, które lśniące bielą szronu robiły upiorne wrażenie. Sponad tej płaszczy-! zny trysł pierwszy, szkarłatny blask, zalewając po-1 lane falą ciepła coraz rozkoszniejszą, w miarę jaa słońce pięło się wyżej.

Na razie zarówno Bari, jak i Mahigun nie mieli ochoty się ruszać, toteż godzinę czy dwie wylegiwali się w kotlinie u wierzchołka stoku, spoglądając w dół

bacznymi i szeroko otwartymi oczyma na zalesioną równinę podobną do wielkiego morza.

Mahigun również szukała łowieckiego stada i tak jak Bari nie zdołała go doścignąć. Byli zmęczeni, nieco zniechęceni chwilowo i głodni, mimo to przejęci dreszczem oczekiwania, wrażliwi na nowe i tajemnicze uczucie przyjaźni. Z pół tuzina razy Bari wstawał i węszył wokół Mahigun, gdy leżała w słońcu, skomlać łagodnie i muskając pyskiem jej miękką sierść, lecz samka długi czas nie zwracała na niego uwagi. Wreszcie jednak zdecydowała się iść za nim. Cały dzień wędrowali i odpoczywali wspólnie. Raz jeszcze zapadła noc.

Brakło gwiazd i księżyca. Z północo-wschodu żeglowały ogromne zwały chmur i z nadejściem nocy nieznaczny powiew wiatru nie budził nawet szmeru w wierzchołkach drzew. O zmierzchu zaczął padać śnieg, ciężki, milczący. Nie było wcale zimno, lecz głucho; tak głucho, że Bari i Mahigun po ujściu za ledwie paru jardów przystawali nasłuchując. W

ten sposób wędrowali dziś wszyscy nocni.włóczędzy, jeśli w ogóle porzucili legowisko. Był to bowiem pierwszy Wielki Śnieg.

Dla mięsożernych stworzeń leśnych, skrzydlatych i czworonożnych, Wielki Śnieg dawał początek



zimowym zapustom, morderstwu i obżarstwu, dzikiej przygodzie długich nocy, bezlitosnej pogoni po zamarzłym szlaku. Dni troski o potomstwo, spokojne dni wiosny i lata — minęły; niebo syjąc śniegiem dawało zew: na łowy!

Podnieceni i nieufni, mieszkańcy kniei poruszali się rzadko i ostrożnie. Dla Bariego i Mahigun z racji ich młodości wszystko to było nowe. Krew w żyłach krążyła szybciej, łapy stapały miękcej, uszy chwyciły najłżejszy dźwięk.

Wraz z pierwszym Wielkim Śniegiem uczyli podniecający dreszcz nowego bytu. 'Wabił ich i nęcił. Mamił, by zechcieli się zapuścić w białą tajemnicę milczącej zamieci. Pchani niepokojem młodości i spletem pragnień, szli.

Śnieg pod łapami gęstniał. Na otwartych przestrzeniach grzęźli po kolana, a jeszcze prószył nadał, sy- I piąc z nieba jak olbrzymia biała mgławica. Docho-I dziła północ, gdy przestało padać. Chmury się roz-IB biegiły, błysły gwiazdy i księżyc; Bari i Mahigun! długi czas trwali bez ruchu, spoglądając ze szczytu!

nagiego wzniesienia na roztaczający się cudowny świat.

Nigdy wzrok ich nie biegł tak daleko, chyba tylko! dniem. Pod sobą mieli równinę. Widzieli porastające! ją lasy, samotne drzewa, sterczące w zaspach jakł duchy, potok jeszcze nie skuty lodem, błyskający! niby rżnięte szkło. Bari skierował kroki ku tej wo-1 dzie. Nie myślał już o Nepeese i przystanąwszy wpół zbocza, zaskomlił radośnie, łbem zwrócony do Manigun. Miał ochotę tarzać się w śniegu i igrać z towarzyszką; miał ochotę ujadać lub zarzuciwszy łeb wysoko wyć do księżycy.

Coś powstrzymało go od wykonania tych demonstracji być może zachowanie Mahigun.

Sztywno! przyjmowała jego zabiegi. Raz czy dwa zdradziła! niemal lęk; parokrotnie Bari usłyszał ostry szczęk jej kłów. Poprzedniej nocy i w ciągu całej zamieci! zażyłość ich rosła, lecz teraz ze strony samki zaznaczyło się tajemnicze niedowierzenie.

Pierrot byłby to wyjaśnił w paru słowach. Na bia-1 łym śniegu w jaskrawym świetle księżycy i gwiazd! Bari podległ przemianie, której nawet blask dzienny! nie zdołałby tak podkreślić. Futro jego lśniło, nibyl polerowany dżet. Każdy włos na nim był czarny.i C z a r n y ! W tym sęk. Przyroda usiłowała powia-j domić Mahigun, że spośród wszystkich stworzeń! znenawidzonych przez jej plemię, to, którego nienawidzili najsilniej i bali się zarazem, było właśnie czarne. W braku doświadczenia instynkt donosił wilzczy o wiekowym krwawym sporze pomiędzy bu-1 rym wilkiem a czarnym niedźwiedziem. A futro Bariego przy księżycu i na śnieżnej pościeli była czarniejsze niż kiedykolwiek kudły Wakajanawe!

W maju, utuczony obfitym pokarmem rybnym, żaden miś nie mógł się poszczycić tak krucą barwą.

Zanim trafili na otwarte przestrzenie łąk, młoda wilczyca szła za Barirn bez wahania.

Obecnie jednak w jej zachowaniu rosło dziwne niezdecydowanie i niepokój. Przystawała dwukrotnie, gotowa bodaj puścić psa samego.

Po upływie godziny, odkąd wyszli z lasu, usłyszeli raptem lecący z zachodu łowiecki zew stada. Nie był zbyt oddalony. Płynął zapewne spod stóp wzgórza, z odległości mili, a ostre, nerwowe ujadanie, idące w ślad za pierwszym głosem, dowodziło niezbicie, że myśliwi o długich kłach spłoszyli zwierzynę z bliska i depcą jej po piętach.

Na głos swych braci Mahigun położyła uszy po sobie i skoczyła z miejsca niby strzała puszczona z cięciwy. Uczyniła to tak niespodzianie i mknęła tak szybko, że w wyścigu przez równinę Bari pozostał daleko w tyle. Gnała ślepo, na los szczęścia. W ciągu mniej więcej pięciu minut gromada była tak bliska łupu, że biegła w milczeniu, przy czym zwierzyna i myśliwi zatoczywszy łuk szli wprost na Mahigun i Bariego. Ten ostatni począł już dopędzać towarzyszkę i znajdował

się od niej zaledwie o pół tuzina długości, gdy trzask chaszczy tuż na przedzie osadził ich w miejscu tak raptownie, że zaryli się w śnieg, sztywno prężąc przednie łapy i nisko osiadając na zadach. W dziesięć sekund później młody byk karibu wypadł z gąszczu i mignął przez polanę, zaledwie w odległości dwudziestu jardów od nich. Słyszeli jego szybki oddech, gdy im ginął z oczu. Potem nadleciało stado.

Na widok tych śmigłych burych ciał serce skoczyło Bariemu do gardła. Zapomniał o Mahigun i o tym, że go odbiegła. Księżyc i gwiazdy przestały dlań istnieć. Nie czuł chłodu śniegu pod łapami. Był wilkiem, tylko wilkiem.

Z ciepłą wonią karibu w nozdrzach, z namiętnością mordy we krwi — skoczył za stadem.

Lecz i teraz Mahigun wyprzedzała go cokolwiek. Było mu to obojętne. Podniecony pierwszymi w życiu łowami, nie czuł

potrzeby jej bliskości. Wkrótce! znalazł się u boku jednej z siwych bestii — członka! stada.

W pół minuty później nowy myśliwiec wypadł!

z krzaków, za nim drugi, trzeci. Bari mknął

ramięj w ramię z nowymi towarzyszami; słyszał w ich gar-! dłach nerwowe skowyty, to znów kłapnięcia paszcz w biegu, a na przodzie, w złotym świetle księżyca, I grzmiał karibu sadząc przez zwarte krzewy, zwalone! pnie i wykroty, w wyścigu o życie.

Można było odnieść wrażenie, że Bari zawsze należał do stada. Przyłączył się w najnaturalniejszy! sposób, jak inne zbłąkane wilki nadbiegłe z głębi I boru, bez ostentacji, bez powitań takich jak przy I zawarciu znajomości z Mahigun i bez wrogich obja-1

wów. Należał do tych lekkonogich leśnych włóczę-1 gów i wraz z nimi kłapał paszczą, a krew płonęła I w nim goręcej, w miarę jak woń karibu uderzała ] silniej, a trzask gałęzi brzmiał

bliżej.

Zdawało mu się, że już prawie dosięgają zwierzyny, gdy wypadli na otwartą łąkę, nagie pasmo I gruntu bez jednego drzewa czy krzaku, połyskujące! w świetle księżyca i gwiazd.

Poprzez nieskalany 1 dywan śniegu karibu rwał

co sił o sto jardów przed zgrają. Dwaj naczelnicy łowcy nie trzymali się już! niewolniczo szlaku, lecz skręcili pod kątem, jeden I w prawo, drugi w lewo tropu, i niby dobrze wyćwi- i czone wojsko, gromada rozpadła się w tyralierkę na 1

kształt wachlarza, gotowa do decydującej szarży.

Dwa końce łuku płynęły prędkiej, coraz się za-; cieśniając, aż prowadzące wilki mknęły niemal na jednej linii z karibu, oddalone odeń o pięćdziesiąt do sześćdziesięciu stóp. W ten sposób, zręcznie i szybko, ze śmiertelną precyzją, rozwinięte w podkowę łyskającą bielą kłów, stado pozostawiło zwierzynie j jedną tylko drogę ucieczki — wprost przed siebie. Skręcić o pół stopnia w prawo lub lewo znaczyło — zginąć. Do obowiązku przodowników należało teraz

zamknąć pętlę, dopaść tak blisko ofiary, by jeden lub drugi — czy też obaj razem — mogli wykonać skok do ścięgna tylnej nogi. Dalszy ciąg byłby już prosty. Stado zalałoby zdobycz jak fala powodzi.

Bari obrał sobie miejsce w głębi podkowy, toteż znajdował się w tyle, gdy nadszedł finał.

Równina wklęsa nagle. Wprost na przedzie migotała woda, lśniąca miękko w świetle księżyca i gwiazd. Ten widok wlał nową moc w serce karibu, pękające już z wysiłku. Trwało to jeszcze czterdzieści sekund, czterdzieści sekund pełnych szalonych zmaganiań w obronie życia. Bari odczuł dziki dreszcz, toteż gnał co sił nie psując jednak szyku, podczas gdy jeden z wodzów dał raptownego susa. Mierzył w ścięgno prawej tylnej nogi. Spudłował

haniebnie. Drugi wilk skoczył. Chybił również.

Inne wilki nie zdążyły już wysunąć się na czoło. Z załamanej głębi podkowy Bari usłyszał ciężki plusk; karibu runął w wodę.

Gdy Bari dopadł stada — oszalałej, spienionej, warczącej zgrai — Nepe-mus, młody byk, znajdował się niemal w połowie rzeki i płynął

uparcie ku przeciwległej stronie.

Teraz właśnie Bari znalazł się u boku Mahigun. Dyszała ciężko; czerwony język zwisał spośród rozwartych szczęk; lecz na widok psa zamknęła paszczę z ostrym trzaskiem, cofając się w gęstwinę ziajaney hordy. Wilki były wściekłe, ale Bari tego nie odczuł. Nepeese oswoiła go z wodą, toteż nie mógł pojąć, dlaczego wąskie pasmo rzeki zatrzymało łowy. Zbiegł nad wodę i zanurzony w niej po brzuch spojrział na oszalałe bestie, zdziwiony, że nie idą za nim. Był przy tym czarny, c z a r n y ! Potem wrócił znów w gęstwę stada i wtenczas zauważono go.

Wilki przestały się miotać nad brzegiem, pochłonięte w zupełności nową sprawą. Śmigłe cielska raptem zeszywniały. Paszcze zamknęły się z trzaskiem. Nieco na uboczu Bari dostrzegł

Mahigun w towarzystwie wielkiego, burego zwierza. Zbliżył się do niej znowu. Tym razem dotrzymała placu, aż począł obwąchiwać jej kark. Wtenczas ze złośliwym warknięciem uderzyła go

kłami. Zęby jej wniknęły głęboko w delikatne mięśnie ramienia i wobec niespodziewanego bólu Bari zaskomlił

przeraźliwie. W następnej chwili ogromny bury wilk wpadł na niego. Bari i znów zaatakowany niespodziewanie, wywrócił się, podczas gdy wilk trzymał go za gardło. Lecz Bari miał w sobie krew Kazana, jego mięśnie kości, ścięgną, toteż — choć po raz pierwszy w życiu —

walczył tak, jak ongiś walczył Kazan podczas straszliwego i spotkania na Słonecznej Skale. Był młody, musiał! się dopiero uczyć podstępów i strategii starych zabijaków, ale szczęki miał niby stalowe sidła, których j Pierrot używał na niedźwiedzie, a w sercu raptownie zbudzoną ślepa wściekłość, chęć mordy wyższą ponad j strach i ból.

Pomimo młodości i niedoświadczenia

Bariego walka ta, odbyta lojalnie, przyniosłaby mu zwycięstwo, j Uczciwie biorąc, stado musiało czekać; prawem stada było czekać, aż ulegnie jeden z napastników. Lecz Bari był czarny, był obcym, przybłądą; przy tym j zauważyli go w chwili, gdy krew wrzała im wście- i kłością i zawodem, jakiego doznaje morderca, gdy i mu się wymknie ofiara. Nowy wilk skoczył uderza- ' jąc Bariego zdradliwie w bok, a gdy leżał w śniegu gniotąc zębami łapę pierwszego napastnika, stado zważyło się na niego hurmem.

Dla karibu podobny atak równałby się śmierci, w ciągu niespełna minuty. Każdy kiel miałby się gdzie zanurzyć. Bariego ocaliła od natychmiastowego] rozdarcia w strzępy fortuna okoliczność, iż leżał pod dwoma pierwszymi wilkami i był osłonięty ich / ciałami. Wiedział, że walczy o życie.

Ponad nim \ horda dzikich bestii przewalała się i kłębiła warcząc, j Czuł palący ból rwanych mięśni. Gniótł go okropny j ciężar. Setki noży zdały się ciąć go na sztuki. Mimo to nie wydał

głosu ani jęknął pośród tych straszliwych i beznadziejnych zapasów.

Jeszcze pół minuty i byłby koniec, gdyby walka

nie miała miejsca na samej krawędzi urwiska.

Podmyta wiosenną powodzią część brzegu zapadła się raptem, a wraz z nią zleciał Bari i połowa stada. Momentalnie pies przypomniał

sobie wodę i ucieczkę karibu. Na mgnienie oka uwolniony od prześladowców, dał szalonego susa poprzez kłębowisko burch grzbietów w głęboką toń rzeki. Tuż za nim pół tuzina paszcz chwyciło puste powietrze. Lśniące w blasku miesięcznym wąskie pasmo wody ocaliło Bariego tak jak poprzednio byka karibu.

Rzeczulka miała za ledwie sto stóp szerokości, mimo to Bari omal nie utonął w przepławie. Dopiero wywłókszy się na przeciwległy brzeg odczuł w całej pełni, jak ciężko jest ranny. Jedną tylną łapę miał zu-pełnie bezwładną, lewe przedramię otwarte do kości, łeb i całe ciało głęboko poszarpane i podarte, a gdy tak pełzył z wolna, na śniegu poza nim pozostawał czerwony ślad. Krew płynęła mu ze zziąanej paszczy, w której język broczył, ciekła wzdłuż barków, brzucha i nóg; kapała z uszu, z

których jedno było rozcięte na długość dwu cali niby od ciosu noża. Zmysły miał przymglone, widział niejasno jaic przez gruby welon. Po upływie paru minut nie słyszał

już z drugiego brzegu wycia zawiedzionego stada i nie widział, czy gwiazdy i księżyc płoną jeszcze na niebie czy też zgasły. Włókł się półmartwy, aż traf sprawił, że wypełził w gąszcz karłowatej sośniny. Tu padł wyczerpany do ostatka.

Całą noc aż do południa następnego dnia Bari przeleżał bez ruchu. Gorączka gorzała mu we krwi; płomień wysoko i szybko bił ku granicy śmierci, potem, opadł z wolna i życie zwyciężyło. W południe pies wylazł z zarośli.

Był słaby i chwiał się na nogach. Przeszywał

go dojmujący ból: powłóczył tylną łapą.

Natomiast dzień zdarzył się prześliczny. Słońce grzało silnie, śnieg tajał, niebo było niby wielkie błękitne morze i ciepłe fale życia przenikały znów żyły Bariego. Lecz odtąd raz na zawsze zmienił cel pragnień i położył kres wielkiej tęsknocie.

W oczach zapłonęła mu krwawa

wściekłość, gdy warknął w stronę miejsca wczorajszej bitwy z wilczą hordą. Wilki nie należały już do jego plemienia Nie były z jego krwi. Zew łowiecki nie miał go już nigdy skusić. W duszy Bariego powstał nowy czyn

nik: nienawiść do wilka; nienawiść, która miała w nim rosnąć poty, aż się stała chorobą niemal; wiecznie obecna, żadna pomsta na własnym gatunku Dziś był

samotnikiem. Okaleczony i pocięty, do końca życia noszący znamię blizn, odbył naukę kniei.

Jutro pojutrze i przez nieskończony szereg dni miał ją dobrze pamiętać.

## **PODSTĘP**

W chacie nad Gray Loon, czwartej nocy po odejściu Bariego, Pierrot kurzył fajkę po solidnej kolacji! z połędwicy karibu przyniesionej z puszczy, a Nepeese słuchała opowieści o jego celnym strzale, gdy przerwało im skrobanie do drzwi. Nepeese otworzyła! i wszedł Bari. Powitalny okrzyk zamarł na wargach! dziewczyny, a Pierrot wytrzeszczył oczy, jak gdybyś nie mogąc uwierzyć, że to zbiedzone zwierzę jest dobrze mu znanym, dziarskim psem.

Trzy doby przymusowego postu, gdyż bezwładna! noga przeszkadzała w łowach, wycisnęły na Barimj piętno głodu. Cały w szramach, pokryty skrzepłą! krwią lepiącą długi włos, przedstawiał, tak okropny! widok, że Nepeese boleśnie westchnęła. Pierrot po

chylił się z krzesła ku przodowi, a na wargach igrał mu dziwaczny uśmiech; potem wstał z wolna i obserwując psa rzekł:

— Tak, odnalazł stado i stado rzuciło się na niego. To nie był pojedynek dwu wilków, nie!

To było całeB stado! Jest pokiereszowany w pięćdziesięciu miejscach. I mimo to — żyje!

W głosie Pierrota rosło zdumienie i podziw.

Skłonny był prawie nie wierzyć własnym oczom. To, ci

zaszło, przypominało bodaj cud; stary traper czas jakiś obserwował milcząc, jak Nepeese, wreszcie oprzytomniawszy, karmi i opatruje psa.

Skoro Bari podjadł chciwie zimnej kaszy kukury-dzanej, dziewczyna ciepłą wodą obmyła mu rany, po czym namaściła je sadłem niedźwiedzim, cały czas przemawiając łagodnie w miętym narzeczu Cree. po mękach, głodzie i zdradach doznanych w czasie wyprawy był to dla Bariego cudowny powrót do rodzinnych pieleszy. Noc przespał u stóp łóżka Nepeese.

Następnego ranka chłodna pieśczoła jego języka na nagiej dłoni zbudziła dziewczynę ze snu.

Odtąd na nowo podjęli życie przerwane czasową dezercją psa. Ze strony Bariego przywiązanie było głębsze niż kiedykolwiek.

To on umknął od Nepeese, porzucił ją na zew stada, i zdawało się nieraz, że pojmuje głębię swego przeniwierstwa i stara się złagodzić swą winę. Bez wątpienia zaszła w nim wielka zmiana. Pilnował Nepeese jak cień. Zamiast spędzać noce w budzie jodłowej, którą mu Pierrot wystawił, sporządził sobie w ziemi małą jamkę tuż pod progiem chaty. Metysowi zdawało się, że rozumie psa. Nepeese była pewna, że pojmuje go jeszcze lepiej; jednak ściśle mówiąc, Bari zachował tajemnicę postępowania dla siebie.

Nie baraszkował już po dawnemu. Nie bawił

się patykiem ani nie biegał dla samej radości pędu, aż mu tchu brakło. Zatracił cechy szczenięce. Zdobył natomiast moc bałwochwalczego uwielbienia oraz żrącą gorycz — miłość do dziewczyny i nienawiść do stada oraz wszelkich jego spraw. Ilekroć usłyszał wilcze wycie, poczynał głucho warczeć i obnażał kły tak groźnie, że nawet Pierrot cofał się przed nim. Lecz pod dotknięciem ręki Nepeese uspokajał się natychmiast.

Po upływie tygodnia czy dwu spadły cięższe śniegi i Pierrot zaczął odwiedzać linie sidleł.

Zimy tej Nepeese zawarła z ojcem pewien układ. Pierrot przyją jako współnika. Co piąte sidło, co piąta łapka i co piąta zatruta przynęta miały stanowić jej własność, a to, co w nie wpadnie, dopomoże do

urzeczywistnienia rozkosznych marzeń goszczących w serca dziewczyny. Pierrot już obiecał. Jeśli ta zima okaż się szczęśliwa, to po ostatnim śniegu udadzą się razem do Nelson House i kupią wystawiony tam, ni sprzedaż stary fonograf. Jeśli zaś fonograf został już sprzedany, przepracują

jeszcze jedną zimę i kupił nowy!

Dzięki tym projektom Nepeese odnosiła się do linia sudeł z gwałtownym, nigdy nie słabnącym zainteresowaniem. Ze strony Pierrota był to po prostu manewr strategiczny.

Sprzedalby własną prawicę, by jej ofiarować fonograf; postanowił już, że go otrzymał bez względu na to, czy piąte sudeł, pułapka i przynęta dadzą jakie futro, czy też nie. Układ dla niego nic nie znaczył. Natomiast zapewniał

dziewczynie!

rozkoszne

poczucie

samodzielności. Pierrot tego właśnie nie pragnął; chciał, by mu towarzyszyła, ilekroć! opuszcza chatę. Wiedział, że Bush Mac Taggart od

wiedzi ich znowu, zapewne niejednym razem w ciągu! zimy. Agent miał szybki zaprzęg, a droga była! krótka. Skoro zaś Mac Taggart przybędzie, nie po-j winien zastać Nepeese samej!

Linia sudeł Pierrota skręcała na północo-zachód zajmując w całości przestrzeń pięćdziesięciu mil, przy czym na każdą milę przypadały mniej więcej dwa sudeł, jedna pułapka i jedna zatruta przynęta. Był to kręty szlak, pilnujący brzegu wody dla skór kunich i wydrzych, tnący najgłębszy bór dla futer, skunksa i rysia, wreszcie idący przez zakrzepłe jeziora i zamiatane wichrem barren, gdzie się kładła! trutki na lisy i wilki. W pół drogi Pierrot zbudowali małą chatę z okrągłaków, na samym zaś końcu drugą, i tak że dzienny przebieg wynosił dwadzieścia pięć mil. Dla Metysa był to drobiazg, a i Nepeese po paru dniach odbywała podróż bez trudu.

W ciągu października i listopada regularnie co tydzień przeprowadzali inspekcję używając na obchód sześć dni, a dobę odpoczynku spędzając na zmianę w chacie nad Gray Loon albo w chacie na końcu szlaku. Dla Pierrota praca zimowa była poważnym zajęciem wielu pokoleń jego przodków; dla Nepeese i Bariego była to cudowna przygoda, zawsze nowa, nigdy nie nużąca. Nawet stary traper nie mógł się obronić zachwytem tych dwojga. Zarażał go ich radosny nastrój. Od śmierci żony nigdy jeszcze nie czuł się tak szczęśliwy.

Były to niezwykle miesiące. Zdobyć zdarzała się często. Nepeese nie tylko dźwigała na plecach wiązki skór, by ulżyć ojcu, ale ponadto wyćwiczyła Bariego w noszeniu lekkich koszyków własnego wyrobu. W tych koszykach leżały trutki. Mniej więcej trzecia część sudeł zawierała zawsze bezwartościowy drobiazg: króliki, sowy, sójki lub wiewiórki.

Te, odarte ze skóry lub oskubane z piór, dostarczały przynęty dla większości innych łapek.

Pewnego wieczora na początku grudnia, gdy wracali z obchodu ku Gray Loon, Pierrot, idący o kilkanaście kroków przed córką, przystanął raptem i wlepił oczy w śnieg. Obcy trop raket śnieżnych przyłączył się do ich szlaku i biegł ku chacie. Dobre pół minuty Metys milczał, nieruchomy zupełnie.

Trop płynął z północy, a tam właśnie leżało Lac Bain. Poza tym rakiety były bardzo duże, a krok świadczył o wysokim wzroście wędrowca. Zanim ojciec przemówił, Nepeese już zgadła.

— Pan agent z Lac Bain — rzekła.

Bari podejrzliwie obwąchiwał dziwne ślady.

Usłyszeli niski warkot w gardle psa. Pierrot zeszywniał.

— Tak, to on! — przyświadczył.

Ruszyli dalej; serce dziewczyny biło w przyśpieszonym tempie. Nie bała się Mac Taggarta, przynajmniej nie zdawała sobie z tego sprawy, a jednak coś ją dławiło za gardło na myśl, że go zaraz spotka. Wiedziała, po co przyszedł. Nie miał nic innego do roboty nad Gray Loon, jak tylko ją zobaczyć. Krew uderzyła jej do twarzy na wspomnienie owej chwili nad jeziorkiem. Czyżby się znów miał

ośmielić?

Pierrot szedł pogrążony w głębokiej zadumie. Nepeese natomiast chętnie łowiła warkot wzbierający wciąż w piersi Bariego.

Był to dźwięk zdławiony, lecz straszny. O pół

mili od chaty odpięła mu z karku koszyki i poniosła je sama.

Nie był to Mac Taggart. Pierrot go poznał i z westchnieniem ulgi zamachał dłonią. Był to De Bar, którego rewir leżał w nagiej pustyni na północ od Lac Bain. Pierrot znał go dobrze.

Wymieniali nieraz lisie trutki. Łączyła ich przyjaźń, toteż wesoło ścisnęli sobie prawice.

Potem De Bar spojrzał na Nepeese.

— Do pioruna! Wyrosła na kobietę! —

zawołał, a Nepeese, po kobiecemu zapłoniona, patrzyła na niego, gdy zginał się przed nią w niskim, staroświeckim ukłonie.

De Bar bezzwłocznie wyłożył swą misję, toteż nim weszli do chaty, Pierrot i Nepeese wiedzieli już, co go tu przywiodło. Za pięć dni agent z Lac Bain wyruszał w podróż, przysłał

więc De Bara, by wezwać Pierrota do faktorii.

W czasie nieobecności Mac Taggarta Pierrot miał pomagać subiektowi i dozorczy składów w sprzedaży i kupnie.

Pierrot wysłuchał tego milcząc i na razie wstrzymał się od komentarzy. Lecz mózg jego pracował.



Dlaczego Mac Taggart przysłał po niego właśnie? Dlaczego nie wybrał kogoś z bliżej osiadłych? Dopiero gdy ogień zapłonął w żelaznym piecyku, a Nepeese zakrzętnęła się koło kolacji, wyłuszczył przy-jacielowi wszystkie wątpliwości.

De Bar wzruszył ramionami.

— Najpierw spytał mnie, czybym mógł

pomóc?

Ale żona choruje mi właśnie na płuca. Ubiegłej zimy .

mroz nadwerżył jej zdrowie i boję się kobietę zostawić samą na długo. Do ciebie, Pierrot, ma wielkie zaufanie. Poza tym znasz wszystkich traperów związanych z Lac Bain. 'Więc mnie po ciebie przysłał i kazał rzec, żebyś się nie trapił o swoje sidła. Zapłaci ci podwójnie za to, co byś mógł schwytać w ciągu tych dni!

— A Nepeese? — spytał Pierrot. — Czy pan agent oczekuje, że ją z sobą wezmę.

Spod pieca Nepeese wyteńczyła słuch i serce jej zabiło normalnie, gdy ułowiła odpowiedź.

— Nic roi o tym nie mówił. Ale to by oczywiście stanowiło rozrywkę dla panienki!

Pierrot skinął głową.

— Możliwe!

Tego wieczora nie poruszali już powyższej sprawy, lecz Pierrot, zadumany i milczący, sam sobie raz po raz zadawał pytanie: dlaczego Mac Taggart po niego posłał? Nie on jeden mógł

pomagać w faktorii pod nieobecność agenta!

Był na przykład taki Was-son, półkrwi Szwed, mieszkający zaledwie o cztery godziny drogi od Lac Bain; albo też Baroche, biało-brody Francuz, osiadły bliżej jeszcze, którego słowo ceniono na równi z Biblią. Ostatecznie doszedł

do przekonania, iż Mac Taggart dlatego się doń zwrócił, że chce przekupić ojca Nepeese i tym samym zaskarbić sobie przyjaźń córki. Gdyż propozycja, jaką mu czyniono za pośrednictwem De Bara, była bez wątpienia zaszczytna. Mimo to w głębi duszy zachował

wyraźną podejrzliwość.

Gdy następnego ranka De Bar miał już odejść, Pierrot rzekł:

— Powiedz panu agentowi, że ruszę do Lac Bain pojutrze!

Skoro De Bar znikł, zwrócił się do Nepeese:

— A ty zostaniesz w domu, kochanie. Nie wezmę ciebie do Lac Bain. Miałem taki sen, że agent nie wybierze się nigdzie, że skłamał i że będzie c h o r y , gdy przyjdę do faktorii. Mimo to, gdybyś koniecznie chciała mi towarzyszyć...

Nepeese wyprostowała się raptem niby trzcina.

— Nie! — krzyknęła tak gwałtownie, że Pierrot parsknął śmiechem i zatarł ręce.

Ostatecznie więc w dwa dni po wizycie De Barai Pierrot wyruszył do Lac Bain, a Nepeese stojąc w drzwiach powiewała mu dłonią na pożegnanie tak długo, aż jej zginął z oczu.

Rankiem tego dnia Bush Mac Taggart wstał z łóżka; jeszcze po ciemku. Czas nadszedł.

Wahał się planując mord — zabójstwo Pierrota

— i znalazł wreszcie, inne wyjście. Dla Nepeese nie było już ratunku!

Wypracował znakomity plan, łatwy do wykonania i absolutnie niezawodny. A Pierrot będzie cały czad pewien, że on jest na wschodzie, w podróży handlowej.

Spożył śniadanie przed brzaskiem i nim poczęło: świtać, ruszył w drogę. Rozmyślnie skręcił prosto na wschód, tak by Pierrot, nadchodząc z południo-zachodu, nie trafił na ślad jego sań. Postanowił już bowiem, że Metys nie powinien się niczego dowie-j dziecinie powinien nawet podejrzewać; wolał

więc; nałożyć drogi i przybyć nad Gray Loon dopiero nazajutrz." Umacniało jego plany i to jeszcze, że Pierrot mógł przecie opóźnić wyjazd, o jedną dobę. Toteż nie usiłował nawet jechać zbyt prędko; szło mu o to jedynie, by zastać dziewczynę samą!

Tymczasem Nepeese ta samotność bynajmniej niej ciążyła. Obecnie bywały nawet chwile, że myśl ej spędzeniu paru samotnych dni sprawiała jej przy-j jemność. Lubiła snuć sny i marzenia tajemne, których nie chciała dzielić z ojcem. Wyrastała na ko-1 bietę — nie rozwinięty jeszcze pąk — o dziecinnym, wejrzeniu, jakby przyroda nie wiedziała sama, czy; zbudzić ją już, czy jeszcze pozostawić w uśpieniu.

Ilekoć Nepeese, będąc sama, nie miała określone-go zajęcia, przywdziewała swą piękną czerwoną sukienkę i wysoko upinała włosy jak te panie na obrazkach pism ilustrowanych, dwa razy do roku przywożonych przez Pierrota z Nelson House. Tak właśnie uczyniła nazajutrz po wyjeździe ojca, jedynie migotliwą falę włosów puściła luźno na ramiona i głowę opasała szkarłatną wstążką.

Ale na tym jeszcze nie był koniec! Dziś miała nadzwyczajny projekt. Na ścianie tuż koło lustra przypięła arkusz wyjęty z kobiecego pisma — fotografię pięknej fryzury. O tysiąc pięćset mil na północ od pełnego słońca kali-fornijskiego studio, w którym robiono to zdjęcie, Nepeese, odymając pąsowe wargi i marszcząc czoło, usiłowała osiąść tajemnicę kunsztownych loków.

Patrzała w lustro zarumieniona, z błyszczącymi oczyma, próbując nadać odpowiedni kształt pasmu włosów opadającemu dobrze poniżej bioder, gdy drzwi za jej plecami otwarły się i wszedł Mac

Taggart.

# ZMORA

Nepeese siedziała plecami do drzwi, gdy agent z Lac Bain wszedł do chaty i, pełna zdumienia, na razie nie zdołała się nawet odwrócić. W pierwszej chwili pomyślała, że to wraca ojciec. Lecz jednocześnie usłyszała warknięcie Bariego i od razu skoczyła na nogi, twarzą do przybysza.

Mac Taggart nie działał ślepo. Zaprząg, fuzje i ciężki płaszcz pozostawił na zewnątrz. Stał plecami oparty o drzwi; półprzymkniętymi patrzył

na czerwoną suknię dziewczyny i na jej rozpuszczony włos. Los sprzysiągł się przeciw córce Pierrota. Jeśli by nawet w duszy Mac Taggarta tliła się iskra uczciwości, zgasłaby na jej widok. Nigdy nie była tak piękna, nawet wówczas gdy Mac Donald ją fotografował.

Słońce wpadając przez okno igrało w jej włosach, zarumieniona twarz w ramie ciemnych splotów sprawiała wrażenie kamei.

Agent śnił o niej od dawna, lecz nigdy nie marzył o tak wspaniałej zdobyczy.

Oczy ich spotkały się w okropnym milczeniu

— okropnym dla Nepeese. Zrozumiała wreszcie, co jej! grozi, co jej groziło w lesie, nad jeziorkiem, i jak niebaczenie igrała z ogniem, który ją teraz pochłonie!

Z warg jej spływało westchnienie, podobne raczej do jęku.

— Panie! — usiłowała powiedzieć, ale słowo zamarło jej w gardle.

Usłyszała wyraźnie trzask żelaznej zasuwy zamykającej drzwi. Mac Taggart zrobił krok naprzód.

Ale tylko jeden krok. Na podłodze Bari leżał

cały ten czas niby posąg kamienny. Ani drgnął.

Nie wydał dźwięku poza pierwszym, ostrzegawczym warknięciem, zanim Mac Taggart nie uczynił tego właśnie kroku. Lecz teraz błyskawicznie porwał się z ziemi i cały zjeżony zasłonił sobą dziewczynę.

Na straszny ryk psa Mac Taggart skoczył

wstecz! do zamkniętych drzwi. Jedno słowo z ust Nepeese! i byłby koniec. Lecz krzyknęła o sekundę za późno! Ręka i umysł mężczyzny działały sprawniej w tym wypadku niż instynkt zwierzęcia i gdy Bari dał susa! do gardła agenta, błysnął ogień i huknął strzał w sa-1 me niemal oczy psa.

Mac Taggart strzelił na ślepo, z biodra, posługując się ciężkim rewolwerem. Bari padł

na miejscu. Złaskotem uderzył o podłogę i potoczył się pod ścianę! Ani drgnął. Mac Taggart parsknął

nerwowym śmie-! chem wsuwając broń do pochwy. Wiedział, że podobny efekt mogła wywołać jedynie kula w mózg.

Nepeese czekała, wparta plecami w najdalszy kąt izby. Mac Taggart słyszał jej zdyszany oddech. DaM ku niej parę kroków.

— Nepeese, przyszedłem, by uczynić cię moją żoną! — rzekł.

Nie odpowiedziała nic. Wiedział, że z trudem łapiel powietrze. Podniosła rękę do gardła. Uczynił jeszcze! dwa kroki i stanął.

Nigdy nie widział podobnych oczu.

— Przeszedłem, by uczynić cię moją żoną, Nepeese. Jutro pojedziesz ze mną do Nelson House, a potem do Lae Bain, na zawsze! Na zawsze! — powtórzył z

naciskiem.

Podniósł głos. Nabierał odwagi i pewności siebie widząc, jak się słania nieco, oparta o ścianę. Była bezbronna. Nie miała możliwości ucieczki. Pierrot odszedł. Bari nie żył.

Nie przypuszczał nigdy, by jakakolwiek żywa istota mogła wykonać tak błyskawiczny ruch jak Nepeese, gdy wyciągnął ku niej rękę.

Milcząco przemknęła pod jednym z jego ramion.

Podskoczył za nią, zgarnął łapami powietrze i chwycił pasmo włosów. Usłyszał, jak pęka trzeszcząc, gdy wyrwawszy się skoczyła ku drzwiom. Zdołała właśnie odsunąć zasuwę, kiedy ją porwał w objęcia. Pociągnął ją wstecz i wtedy dopiero zaczęła krzyczeć. W szaleństwie rozpaczy wzywała Pierrota, Bariego, cudu wreszcie, który by ją ocalił.

Walczyła. Szarpała się poty, aż stanęła do swego prześladowcy twarzą w twarz. Nie widziała nic. Włosy oplatały ją całą tamując oddech i ruchy. Broniła się jednak. W tym szamotaniu Mac Taggart potknął się o ciało Bariego i upadli oboje. Nepeese porwała się z ziemi o pięć sekund wcześniej. Mogłaby dopaść drzwi, ale włosy przeszkodziły jej znowu. Na mgnienie stanęła odrzucając wstecz gęstą falę, kryjącą jej oczy, i Mac Taggart ją wyprzedził.

Nie zamknął drzwi na nowo, stał tylko i patrzył na nią. Twarz miał podrapaną i we krwi.

Nie był to już człowiek, lecz szatan. Nepeese, zdyszana, nie miała sił do walki. Z łkaniem niemal podjęła z podłogi kawał drewna. Mac Taggart widział, że czyni to z trudem.

Postąpił znów ku niej, więc ścisnęła drzewo w garści, lecz agent zatracił wszelką przezorność. Runął naprzód niby dzika bestia.

Drzewo opadło. Lecz los i tym razem sprzyścił się przeciw dziewczynie. W

obłądnym strachu chwyciła pierwsze, co jej trafiło pod rękę — lekką szczapę. Mimo to uderzyła z siłą rozpacz i Mac Taggart zachwiał się. Ale nie wypuścił jej z objęć.

Próżno walczyła teraz już nie o to, by uderzył

lub umknąć, lecz choćby schwytać oddech.

Usiłowała krzyknąć, ale nie mogła wydać głosu.

Mac Taggart roześmiał się znowu i przez własny śmiech posłyszał, jak drzwi się otwierają. Czy to wiatr? Odwrócił się, wciąż trzymając Nepeese.

W otwartych drzwiach stał Pierrot.

## **MAD PRZEPAŚCIĄ**

W ciągu tej krótkiej chwili miało się wrażenie! iż w małej chacie nad Gray Loon mija cała wieczność.

Pierrot stał wciąż w progu, nieruchomy. Mac Taggart, skulony z bezwładnym ciałem dziewczyny na ręku, patrzył na niego milcząco.

Lecz Nepeese otwiej rała już oczy, a przez ciało leżącego pod ścianą Bariego przebiegł

nerwowy dreszcz. Panowała ogromna cisza. W

tej ciszy Nepeese załkała głośno.

Wtenczas Pierrot ożył. Za przykładem Mac Taggarta pozostawił na zewnątrz płaszcz, karabin i rękawice. Przemówił, lecz głos miał

dziwny, zupełnie obcy.

— Dobry Bóg zesłał mnie tu w porę, proszę pana! — rzekł. — Ja również szedłem wschodnim szlakiem i zobaczyłem pański ślad skręcający w naszą stronę!

Mac Taggart wzdrygnął się i rozluźnił ręce.

Nepeese upadła na podłogę. Agent wyprostował się z wolna.

— Czyż nieprawda, proszę pana —

powtórzył Pierrot — że przyszedłem w porę?!

Jakaż potężna siła, strach być może, zmusiła Mac Taggarta do skinięcia głową. Grubymi wargami wyjął bełkotał:

— Tak, w porę!

Oczy jednego szaleńca spotkały teraz oczy drugiego. Pomiędzy nimi stała śmierć. Obaj widzieli ją. Obu zdawało się, że dostrzegają kierunek, w którym wskazuje jej kościsty palec.

Każdy był pewien siebie. Dłoń Mac Taggarta nie sięgnęła po rewolwer u pasa, a Pierrot nie wyjął noża z pochwy. Uderzyli pierś o pierś, dwie dzikie bestie, gdyż Pierrot także bardziej przypominał teraz zwierzę niż człowieka.

Mac Taggart był wyższy i cięższy, obdarzony siłą olbrzyma; mimo to pod wściekłym atakiem Metysa runął na stół i zwałił się przezeń z trzaskiem. Walczył nie po raz pierwszy w życiu, lecz nigdy dotąd nie czuł na szyi uścisku tak żyłastych palców. Omal się nie zatchnął

zaraz w pierwszej chwili. Kark mu chrupał; jeszcze moment, a byłby się złamał. Bijąc pięściami na oślepa, szamotał się gwałtownie, by zrzucić z siebie żywy ciężar. Ale Pierrot trzymał uparcie, jak gronostaj trzyma szyję kuropatwy, więc szczęki Mac Taggarta otworzyły się z wolna, a twarz z czerwonej przybrała szkarłatną barwę.

Chłodne powietrze płynące przez drzwi, głos ojca i łoskot walki rychło zbudziły Nepeese z omdlenia; po chwili znalazła nawet dość siły, by sięść na podłogę. Upadła obok Bariego i gdy podniosła głowę, oczy jej na chwilę zatrzymały się na psie, nim je przesunęła na walczących. Bari żył! Ojialo jego drgało; ślepiec miał otwarte; pod jej wzrokiem próbował nawet ruszyć łbem.

Ukląkwszy z trudem spojrzała na mężczyzn.

Pierrot nawet poprzez szkarłatny opar mordy musiał usłyszeć ostry krzyk radości, który wydała widząc, że ojciec bierze górę. Szalonym wysiłkiem zdołała wstać i czas jakiś stała tak bez ruchu, chwiejąc się na nogach. Podczas gdy patrzyła w czerniejącą twarz, z której Pierrot z wolna wyciskał resztę życia, ręka Mac Taggarta na oślepa szukała rewolweru. Znalazł

go. Niepostrzeżenie wyciągnął z pochwy. Los sprzyjał mu i tym razem, w podnieceniu bowiem postrzeliwszy Bariego, nie zamknął

bezpiecznika. Obecnie pozostało mu tylko tyle siły, by nacisnąć spust. Dwu-1 krotnie szarpnął palcem. Dały się słyszeć dwa stłujj monę strzały oddane tuż przy ciele Metysa.

Z twarzy ojca Nepeese wyczytała, co zaszło.

Serca jej przestało bić, gdy dostrzegła okropną zmianę! Pierrot zeszywniał. Oczy jego patrzyły gdzieś w dali szeroko otwarte. Nie wydał głosu. Wargi jego były! nieruchome zupełnie. Aż raptem potoczył się w jej! stronę, wypuszczając Mac Taggarta z uścisku. Runęła na jego ciało w strasznej, milczącej rozpacz.

Skonali już.

Nepeese nie umiałaby nigdy powiedzieć, jak długo trwała, skulona nad trupem, oczekując podświa-B

domie, że jeszcze oczy otworzy, że przemówi. TymjB czasem Mac Taggart uniósł

się na nogi i stał, wsparł ty o ścianę, z rewolwerem w rękę, coraz bardziej przytomny, w miarę jak ogarniał swój tryumf. Zbrodnia nie przerażała go wcale. Już teraz, w parę chwil po morderstwie, układał w myśli obronę. PierJj rot napadł na niego zdradziecko, bez powodu.

Za bił — w obronie własnej. Czyż nie jest wpływową;! potężną osobistością? Czyż przedstawiciele prawa niM uwierzą raczej jemu, zamiast dać posłuch świadectwu tej dziewczyny? Rosła w nim dzika radość.

Nepeeseil była dziś stokroć bezradniejsza niż kiedykolwiek. Zafl bierze ją ze sobą do Lac Bain i po prostu każe miH cześć!

Patrząc na nią zapomniiał o wszystkim.

TrwałdB schylona nad ciałem ojca, kryjąc go rozpuszczonym<sup>TM</sup> włosami niby jedwabnym całunem. Schował rewolwer do pochwy i głęboko wciągnął powietrze. Stał jeszcze na nogach niezbyt pewnie, ale twarz jeg<H

przybrała właściwy mu, okrutny wyraz. Zrobił

króla i jednocześnie dźwięk spod ściany zbudził

Nepeese,! Bari zdołał się już wesprzeć na przednich łapach ii teraz warczał.

Nepeese z wolna uniosła głowę. Nieznana siła kazała jej spojrzeć w górę, aż wlepiła oczy w twarz Mac Taggarta. Poprzednio zapomniiała prawie o jego obecności. To, co dostrzegła w rysach agenta, sprawiło, że chwilowo zapomniiała o stracie ojca, uprzytomniając sobie natomiast grozę własnego położenia.

Stał nad nią. W twarzy nie miał cienia współczucia, śladu zrozumienia popełnionej zbrodni, jedynie obłądną żądzę. Wyciągnął

rękę i oparł dłoń na jej głowie. Uczuła, że szorstkie palce gniotą jej włosy. Usiłowała wstać, lecz ta dłoń przykuła ją do ziemi.

Nie prosiła o litość, wiedziała, że to się na nic nie zda. W tej chwili żadne z nich nie zwracało uwagi na Barięgo. Pies czołgał się przez izbę.

Na tej krótkiej przestrzeni łapy dwukrotnie odmówiły mu posłuszeństwa. Teraz był obok Mac Taggarta. Pragnął jednym susem skoczyć na kark draba i zdruzgotać mu kręgosłup, lecz brakło mu sił. Zad miał wciąż jeszcze częściowo sparaliżowany. Natomiast szczęki były mocne i niby żelazne kleszcze zamknęły się gwałtownie na łydce Mac Taggarta.

Z krzykiem bólu agent puścił dziewczynę i Nepeese wstała chwiejnie. W ciągu cennej pół

minuty była wolna i podczas gdy agent kopał i ciskał się chcąc się wyrwać psu, skoczyła do drzwi



chaty, na zewnątrz. Chłodne powietrze uderzyło ją w twarz, dodało płucom nowej siły; na ślepo, nie wiedząc, gdzie znajdzie ratunek, pobiegła przez śnieg w las.

Mac Taggart pojawił się na progu właśnie w chwili, gdy znikła w gęstwinie. Nogę miał rozdartą kłami psa, lecz nie czuł bólu śpiesząc za dziewczyną. Nie mogła ujść daleko.

Tryumfalny wrzask, nieludzki w swej dzikości, wydarł mu się z gardła, gdy spostrzegł, jak się zatacza lecąc. Był w pół drogi między lasem a chatą, gdy Bari wywlókł się przez próg. Szczęki psa krwawiły, gdyż Mac Taggart skopał mu pysk, nim wreszcie zdołał się wydrzeć.

Pomiędzy uszami miał małą łysinę, jakby go kto napiętnował rozpalonym żelazem. Tu właśnie uderzyła kula Mac Taggarta. O ćwierć cala niżej, a Bari byłby skonał. Tak jednak, jak się rzecz miała, omdlał jedynie niby pod ciosem kija. Lecz obecnie mógł się już ruszać i z wolna brnął śladem dziewczyny i agenta.

Nepeese biegnąc odzyskała jednocześnie władza umysłowe i trzeźwość sądu. Skręciła w wąską drożynę, po której Mac Taggart już ją raz ścigał, leci! nie docierając do skał ostro zwróciła na lewo. Od-I wracając głowę widziała za sobą Mac Taggarta. NiJ śpieszył

zbyt, mimo to wyraźnie ją doganiał rozł

kosząc się jej bezradną męką. O dwieście jardów« poniżej głębokiego jeziora, do którego latem wpełznąła agenta, tuż za mielizną, na którą się wówczas wyl gramolił, był początek przesmyku Błękitnych Pióra Biegnąc w tę stronę wiedziała już, co pocnie dalej!

każdym kuiczowym oddechem rosła w niej radość na pewno. Wreszcie dopadła krawędzi i spojrzała w dół. I wtedy wybiegła jej na wargi drżącym pół-1 szeptem pieśń matczynej plemienia:

*Ojcowie nasi, przyjdźcie,*

*Przyjdźcie z głębokich dolin!*

*Prowadźcie nas, gdyż*

*umieramy dzisiaj. I wiatr mówi nam o śmierci...*

Uniosła ręce. Stała wysoka i gibka na tle białej! głuszy leśnej. O pięćdziesiąt jardów poza nią ageniB z Lae Bain przystanął raptem jak wryty.

— Ach! — wybełkotał — jakaż ona piękna!

Za Mac Taggartem coraz prędzej włócił się Barii

Nepeese raz jeszcze spojrzała w dół. Stała tuż nad przepaścią, gdyż opuściła ją wszelka

'trwoga! Dawniej niejednokrotnie czepiała się na tym miejscJ ręki ojca, taki lęk ją ogarniał. Tu

spadłszy nikt nie| mógł ujść z życiem. O

pięćdziesiąt stóp poniżej wodał nigdy nie skuta lodem, pieniała się, wściekle bijąc o kanty głazów. Toń leżała głęboka i ciemna, bowiem

między skalne mury nie dochodziły promienie słońca! Łoskot grzmiał w uszach Nepeese.

Odwróciła się i spojrzała na Mac Taggarta.

Nawet i wtedy jeszcze nic nie przeczuł; szedł

ku niej wyciągając ramiona. Pięćdziesiąt jardów! To było mało, a z każdą sekundą odległość zmniejszała się jeszcze. Nepeese ponownie poruszyła wargami. W godzinie śmierci wzywała imienia matki, i z jej imieniem na ustach skoczyła w przepaść, cała omotana falą włosów.

# PUSTKA

W chwilę później agent z Lac Bain stanął na brzegu parowu. Poprzednio już wydał okropny wrzask — dziki krzyk grozy i niewiary. Patrzył

w dół zaciskając wielkie, czerwone pięści i wlepiając oczy w kipiącą topiel wśród czarnego rojowiska skał. Po dziewczynie nie było już nawet śladu. A zrobiła to, żeby uciec od niego.

Zemdliło go raptem tak silnie, aż się chwiejnie cofnął, mało co widząc wokół. Nogi uginały się pod nim. Zabił Pierrota i uważał to za zwycięstwo^ przez całe życie szedł bez skrpułów, nigdy nie doznając wzruszeń, nigdy nie czując podobnego wstrząsu jak w chwili obecnej. Był po prostu sparaliżowany. Nie widział nawet Bari ego. Nie słyszał jękliwych skomleń psa na krawędzi przepaści. W oczach miał ciemność. Aż raptem, przewyciężając bezwład mózgu i kończyn, zaczął biec co sił

brzegiem parowu spoglądając w dół, szukając w wodzie śladu dziewczyny. Lecz jar był coraz głębszy; wszelka nadzieja znikła.

Odeszła! Odeszła w ten sposób, byle tylko uciec od niego. Obracał to w mózgu głupio, uparcie. Żadna inna myśl nie chciała w nim przemówić. Umarła! I Pierrot umarł także!

Wszystko to sprawił on sam!

Skręcił wstecz, w stronę chaty, nie drożyną jednak, po której ściagał Nepeese, lecz na przełaj, przez las. Poczęły właśnie sypać wielkie płaty śniegu. Spojrzał na niebo, kędy ciężkie chmury toczyły się z południo-wschodu. Słońce znikło. Wkrótce miała się rozpocząć zamieć, gwałtowna zamieć śnieżna.

Płatki, osiadające na obnażonej twarzy i rękach, nasunęły! mu pewien pomysł. Zawieja nadchodziła w sama porę. Zasypie wszystko, wszystkie ślady, nawet mogiłę, w której pochowa Pierrota.

Tego rodzaju człowiek łatwo się wyzbywa skrpułów moralnych. Zanim Mac Taggart ujrzał chatę, umysł jego pracował już sprawnie nad rozwiązaniem rzeczowych zagadnień.

Prawdę mówiąc, głównie dramat polegał nie na tym, że oboje, Pierrot i

*NeM*

peese, zginęli, lecz na tym wyłącznie, że jego plany wzięły w łeb. Tu tkwiło rozczarowanie.

Resztę, sama zbrodnię, łatwo było ukryć.

Nie sentyment bynajmniej kazał mu wykopać grób Pierrota pod wysoką jodłą, tuż obok mogiły indiań-4 skiej księżniczki. Nie sentyment, lecz przezorność.! Pochował

Pierrota jak się patrzy. Potem wychlustał na ściany i podłogę cały zapas nafty Metysa i przy-8 tknął zapałkę. Tkwił na skraju boru poty, aż chatą stała się jednym morzem ognia. Śnieg padał gęsto.

Świeżo usypany grób robił

wrażenie pagórka, a wgłębienia śladów wypełniały się szybko. Toteż Mac Taggart skręcił ku Lac Bain bez cienia trwogi w sercu Nikt przecie nie zajrzy do mogiły Pierrota DuS

Quesne. A jeśli nawet podobny cud się przytrafi, to któż zdradzi sprawcę zbrodni?

Natomiast czarna dusza agenta nie mogła się otrząsnąć z jednego wrażenia. Miał zawsze pamiętać bładą, zwycięską twarz Nepeese, taką właśnie, jak ją ujrzał w chwili, gdy wybierała raczej śmierć niż życie z nim.

Tak samo jak Bush Mac Taggart zapomniał o Barim, tak samo Bari zapomniał o agencie z Lac Bain. I Gdy Mac Taggart pognał brzegiem parowu, Barii rozplaszczyl się nad skrajem przepaści, w śniegu ubitym stopami dziewczyny, i wparłszy w krawędź j przednie łapy, spoglądał w dół. Widział jej skok. I

Niejednokrotnie w ciągu ubiegłego lata dążył za nią, gdy dawała nurka w cichą toń jeziora. Lecz tu odległość była przerażająca. Woda wyglądała również

zupełnie inaczej. Bari widział czarne łby głazów, pojawiające się i niknące w wirach pian niby głowy rozigranych potworów.

Łoskot wody napawał go trwogą; od czasu do czasu łowił wzrokiem pokruszone ułamki lodu mknące z bystrym nurtem. A ona tam poszła!

Miał szaloną chęć udać się w ślad za nią, skoczyć również, jak to zwykle czynił. Musiała być tam, w dole, jakkolwiek nie umiał jej dojrzeć. Być może igra wśród skał, chowa się w białej pianie i dziwi, że go nie ma. Wahał się jednak, mając łeb i szyję nad przepaścią, podczas gdy przednie łapy pełzały po śniegu. Z

trudem cofnął się i zaskomlił. Ułowił tuż świeżą woń skórzni Mac Taggarta i skowyt przeszedł w długie warczenie. Raz jeszcze spojrział w głąb. Wciąż nie mógł jej dostrzec.

Zaszczekał dając krótki, ostry sygnał, którym ją przywoływał zazwyczaj. Nie było żadnej odpowiedzi. Więc ujadał dalej, ale wyteżając słuch chwycił tylko łoskot wzburzonej wody.

Wtedy cofnął się nieco od brzegu i trwał tak czas jakiś milcząc, z uszami nastawionymi, dygocąc pod wpływem jakiejś niepojętej trwogi.

Śnieg prószył już, a Mac Taggart kręcił się w pobliżu chaty. Po chwili Bari ruszył

brzegiem parowu śladami agenta, a wszędzie, gdzie człowiek zatrzymał się poprzednio, by okiem rzucić przez krawędź, Bari przystawał

również.

Na razie chęć odszukania Nepeese górowała w nim niepodzielnie, zacierając nienawiść do Mac

Taggarta, toteż nadal trzymał się parowu, aż o ćwierć mili poza końcowym tropem człowieka dotarł do wąskiej ścieżki, której on i Nepeese używali niejednokrotnie w czasie wyprawy po skalne fiołki. Kręta drożyna, wiodąca w dół urwiska, była teraz zasypana śniegiem, mimo to Bari szedł po niej i stanął

nad nie zamrożonym potokiem. I tu również nie było Nepeese. Więc znowu skomlił i ujadł, lecz obecnie w jego głosie drżała żałobna nuta, świadcząca, iż już się nie spodziewa odpowiedzi. Wreszcie umilkł i dobre pięć minut siedział w śniegu, nieruchomy! niby skała.

Kto zgadnie, co szło ku niemu z ciemnej i wrzącej głębi parowu, co za szept sił przyrody wyjaśnia mu prawdę. Patrzył i nasłuchiwał, a mięśnie muj drżały. Potem z wolna uniósł łeb ku górze, czarnymi pyskiem godząc w chmurne niebo, i z gardła pol płynęło mu roztrzęsione, przeciągłe wycie psa huskg oplakującego świeżą śmierć pana.

Na szlaku wiodącym do Lac Bain usłyszał Bus Mac Taggart ten głos i wzdrygnął się.

Dopiero woń dymu, coraz bardziej gęstniejącego w powietrzu, odciągnęła psa znad parowu i kazała<sup>^</sup> mu iść w stronę chaty.

Niewiele z niej już zostało! gdy wyrz&ł na polanę, jedynie szkarłatne pogorzeliisko. Długi czas Bari przesiedział w śniegu obserwując zgliszcza i nasłuchując pilnie. Kontuzja od] kuli Mac Taggarta nie dawała mu się już we znaki!

natomiast zmysły jego podlegały innej zmianie, rów-S nie dziwnej i niespodziewanej jak niedawne omdlenie. W ciągu zaledwie godziny świat Bariego całji kowicie zmienił oblicze. Oto niedawno jeszcze Ne\* peese siedziała w izbie przed lusterkiem rozmawia-! jąc z nim i śmiejąc się radośnie, podczas gdy orli sam w pełni zadowolenia wylegiwał się na podło-j dze. A teraz nie było ani chaty, ani Nepeese, ani']

Pierrota. Bari spokojnie usiłował to wszystko pojąć. Minęło sporo czasu, nim wylazł

spomiędzy gęste\* jedliny, gdyż głęboka i rosnąca podejrzliwość okiełzna-J ła już jego ruchy. Nie zbliżał się ku zgliszczom, na-J

tomiast nisko przyczajony okrążył polanę i podszedł! do psiej zagrody. W ten sposób znalazł

się pod wy soką jodłą. Przystanął tu, dobrą minutę obwąchująca świeżo usypany kopiec pod białym płaszczem śnie-J gu. Gdy ruszył

dalej, sunął jeszcze niżej przy zie-J mi i uszy kładł po sobie.

Psiarnia była szeroko otwarta i pusta; Mac Taggart nie zapomniał o tym. Raz jeszcze Bari kucnął\* na zadzie i zawył. Tym razem wieścił

zgon Pierrota.

Głosił go nieco inaczej niż śmierć Nepeese, zdecydowanie, bez zwątpień. Nad przepaścią zew jego

nosił piętno niepewności, pytania i nadziei — był prawie ludzkim zawodem.

Tu Bari wiedział, co leży pod świeżo usypanym pagórkiem. Cienka warstwa ziemi nie mogła przed nim ukryć tajemnicy. To była śmierć, wyraźna i bezapelacyjna. Nepeese zamierzał szukać nadal.

Do południa nie oddalał się zbytnio od chaty, mimo to zaledwie jeden raz podszedł do zgliszczy i obwąchał jeszcze tłące głownie.

Natomiast bez przerwy niemal krążył wokół

polany, wciągając powietrze i nasłuchując.

Dwukrotnie wracał- do parowu. Nad wieczorem raptowny impuls kazał mu szybko pognać w las. Nie biegł zresztą otwarcie; rozważa, podejrzliwość i strach zbudziły w nim na nowo instynkty wilcze. Mając uszy przylepione do łba i ogon zwieszony tak nisko, że koniuszek kity zamiatał śnieg, kuląc grzbiet w sposób iście wilczy, mknął, zlany niemal w jedno z cieniem leśnego poszycia.

Nie wahał się wcale w obiorze szlaku; droga jego wiodła prosto jak strzeła i doprowadziła o wczesnym zmierzchu do tej samej polanki, gdzie Nepeese umknęła w dniu przymusowej kąpieli Mac Tag-garta. Zamiast ówczesnego szałasu z jedliny, stało tu obecnie nieprzemakalne *tepee* z kory brzozy, które Nepeese zbudowała latem z pomocą ojca. Bari szedł wprost na to schronisko i wetknął łeb do środka z niskim, pełnym nadziei skowytym.

Odpowiedź nie nadeszła. Wnętrze *tepee* ziało chłodem i ciemnością. Bari rozróżnił

niejasno dwa koce, rząd wielkich blaszanych puszek, w których Nepeese chowała swoje prowianty, i wreszcie piec zaimprovizowany przez Pierrota z odpadków żelaza i blachy. Ale Nepeese nie było. Na zewnątrz nie dostrzegał

jej również. Niepokalany śnieżny dywan znaczyły jedynie własne jego ślady. Mrok zapadł, nim Wrócił do spalonej chaty. Przez całą noc wałęsał się Wokół opustoszałej psiarni, a śnieg sypał bez przerwy, tak że o brzasku Bari krocząc przez polanę zapadł niemal po grzbiet.

Lecz wraz ze świtem niebo się przetarło.

Wzeszło słońce i knieja migotała niemal zbyt jaskrawo. Bari uczył przyływ nowej energii i ufności. Umysł jego pilniej jeszcze niż wczoraj silił się zrozumieć. Oczy! wiście Nepeese zaraz wróci. Usłyszysz jej głos. Wyj biegnie raptem z lasu. Da jakiś znak. Jedna z tych rzeczy musi się stać na pewno, a może wszystkie! 1 Lada szmer osadzał go na miejscu. Węszył, kolej no zwracając pysk na wszystkie strony świata. Wal łęsał się bez przerwy to tu, to tam. Znaczył

głębokie drożyny wokół wielkiego, białego kopca wieńczącego resztki chaty. Ślady jego wiodły od psiarni. do jodły nad grobem, a wzdłuż krawędzi parowu leżały tak gęsto, jakby przeszło tędy stado wilków.

Tegoż dnia po południu doznał nowego olśnienia! Nie był to rozsądek ani sam instynkt nawet. Coś połowicznego raczej. Nepeese nie było w chacie, bo przecie chata znikła. Nie było jej również w

tepee. Nad parowem nie doszukał się jej śladów. Stanowi czo nie leżała pod sosną obok Pierrota.

Zatem bez długich rozmyślań, a mimo to pewnie swego, Bari ruszył wzdłuż linii siodła na północ-zachód.

## GDZIE OCZY PONIOSA

Żaden człowiek nie odgadł dotąd, w jaki sposób tajemnica śmierci przenika do świadomości północnego psa. Pomimo to dziesięć tysięcy ludzi złożą ci przysięgę, iż psy ich dały sygnał śmierci na parę godzin przed jej faktycznym nadejściem. Ponadto niejedynemu właścicielowi zaprzęgu wie z doświadczenia że sfora jego staje nagle jak wryta o ćwierć, a nawet o pół mili od chaty, w której leży niepochojony trup.

Wczoraj Bari zwestował śmierć i wiedział bez pręca

myślenia nawet, że zmarłym jest Pierrot. Wiedział, że Metys nie żyje, choć nie rozumiał

istotnego znaczenia śmierci.. Lecz pewien był

jednej rzeczy: nigdy już nie zobaczy Pierrota, nigdy nie usłyszy jego głosu> nigdy nie ułowi skrzyku jego rakiety śnieżnych na zamrzniętym szlaku — toteż na linii siodła bynajmniej go nie wyglądał. Pierrot odszedł na zawsze.

Ale Bari nie połączył jeszcze śmierci z wizerunkiem Nepeese. Pełen był wielkiego niepokoju; pod naciskiem idącym z parowu dygotał trwożnie. Jego żałobne wycie nad przepaścią przeznaczone było bodaj dla Pierrota, gdyż wierzył, że Nepeese żyje, i był

dziś tak samo pewien, że ją doścignie na linii siodła, jak był przekonany wczoraj, że ją odnajdzie w tepee.

Od śniadania, które wczorajszego ranka spożył razem z Nepeese, Bari nic jeszcze nie jadł; zaspokoić głód znaczyło polować, a zbyt był zajęty innymi myślami, by się tą sprawą zająć. Pościłby więc cały ten dzień, gdyby o trzy mile od chaty nie trafił na wnyki, w których tkwił wielki królik. Stworzonko żyło jeszcze i Bari zabiwszy je podjadł do syta. Aż do zmroku nie ominął żadnej łapki. W jednych żelazach siedział ryś, a w drugich skunks; na białej roztoczy jeziora pod śnieżnym kopcem zwestował ciało czerwonego lisa zabitego trutką Pierrota. Ryś i skunks żyły oba, a ich stalowe łańcuchy szczęknęły ostro, gdy gotowały się wydać Bariemu walkę. Lecz Bari spojrzał na nie obojętnie. Spieszył dalej, coraz bardziej niespokojny, w miarę jak mrok gęstniał a Nepeese nie było widać.

Po zamieci nastąpiła niezwykle przejrzysta noc, chłodna i błyszcząca, pełna cieni tak wyraźnych jak żywe istoty. Trzecia z rzędu myśl opanowała teraz Bariego. Wzorem wszystkich zwierząt, dawał się powodować na ogół jednej myśli na raz. Obecnie chciał

możliwie jak najprędzej dopaść pierwszej z dwu chat Pierrota wystawionych na linii siodła.

Tam znajdzie Nepeese.

W pośpiechu począł omijać poszczególne łapki. Do spalonej sadyby pierwszą z dwu chat dzieliło dwadzieścia pięć mil, do zapadnięcia nocy Bari uszedł dziesięć. Pozostałych piętnaście stanowiło najcięższą próbę. Na otwartych przestrzeniach śnieg był sypki i pies tonął w nim po brzech; często przedzierał sil przez zaspy, w których grzęznął z głową.

Trzykroć nie w ciągu nocy słyszał dziki zew wilczy. Raz był to tryumfalny hejnał, gdy zgraja łowców w odległości zaledwie pół mili powaliła ściganą zdobycz! Lecz ten głos przestał go wabić. Przeciwnie, napawał go wstrętem i nienawiścią. Ilekroć go słyszał, stawał jak wryty i obnażał kły, podczas gdy włos na karku jeżył mu się groźnie.

Około północy Bari dotarł do niewielkiej poręby! skąd Pierrot brał drzewo do budowy pierwszej z dwu chat. Dobrą minutę stał na skraju polanki i z uszami uniesionymi badawczo, a oczyma otwartymi, szeroko, pełen dobrej wiary, węszył. Nie było ani dymu, ani żadnych dźwięków, ani blasku ognia w jednym okienku schroniska. Doznał ogromnego załamania; pojął znów jałowość wszelkich usiłowań, bezowocność poszukiwania. Z

wyraźnym przygnębieniem pobrnął przez śnieg do drzwi. Uszedł tego dnia dwa i pół mil i był zmęczony.

W progu nagromadziła się wysoka zaspą; tu Bari siadł i zaskomlił. Nie był to już pełen ufności, proszący skowyt sprzed paru godzin; drżała w nim bez-i nadziejna rozpacz.

Przesiedział pół godziny tyłem, Wsparty o drzwi, pyskiem zwrócony do wygwieżdzonej kniei, jak gdyby jeszcze wierząc wbrew wszystkiemu, że Nepeese nadejdzie.

Potem wygrzebał w zaspie głęboką jamę, zakopał się w niej i spędził resztę nocy na niespokojnej drzemce.

O pierwszym brzasku ruszył dalej. Tego ranka nie był już tak rześki. Ogon zwisał mu beznadziejnie, w sposób zwany przez Indian *akoosewin*, będący oznaką choroby. Gdyż Bari był chory, nie ciałem, ale duszą. Nadzieja w nim zamarła, nie spodziewał się już niczego.

Druga chata na samym końcu rewiru ciągnęła go ku sobie nie budząc jednak nawet cienia tego zapachu, z jakim śpieszył do pierwszej. Szedł wolno i z przerwami, gdyż podejrzliwość wobec puszczy górowała w nim znów ponad wszystkim innym. Ostrożnie zbliżał się do każdego siodła i dwukrotnie pokazał kły: raz leśnej kunie, co kłapnęła nań zębami spod korzenia, dokąd zawlekła żelazo, a raz wielkiej sowie śnieżnej. Ptak złakomił się na przynętę i był teraz uwięziony na końcu stalowego łańcucha. Możliwe, iż Bari wyobraził sobie, że to sam Uhumisiu, że dotąd pamiętał podstępny napaść i zaciekłą walkę z jednonogim potworem. Gdyż nie tylko pokazał

kły: rozdarł sowę na strzępy.

We wnykach Pierrota pełno było królików, Bari więc nie zaznał głodu. Do drugiego schroniska dotarł pod wieczór po dziesięciogodzinnej podróży. Rozczarowanie, którego doznał, nie było zbyt dotkliwie, gdy nie spodziewał się właściwie niczego. U progu chaty śnieg spiętrzył się na trzy stopy, a okno powlekał biały mróz. W tym miejscu, tuż na granicy wielkiego barren, pozbawionego niemal



całkowicie lasów, Pierrot zbudował

skład na drzewo i ten skład Bari obrał sobie teraz jako chwilową siedzibę. Całą następną dobę pozostał w tej okolicy, włócząc się po krawędzi barren i zwiedzając boczną linię sideł, którą Pierrot i Nepeese przerzucali przez mokradła obfitujące w tropy rysie. Dopiero trzeciego dnia ruszył z powrotem ku Gray Loon.

Nie śpieszył zbyt, toteż zużył dwie doby na pokrycie dwudziestu pięciu mil dzielących ostatnią chatę od środkowej. Tu pozostał znów trzy dni, a dziewiątego dnia znalazł się nad Gray Loon. Nic się tu nie zmieniło. Jedyne ślady widniejące na śniegu były jego własne.

Poszukiwanie Nepeese weszło teraz w zwyczaj Ba-riego; wykonywał je metodycznie i z rutyną. Cały dzień nocował w psiarni i przynajmniej dwukrotnie] między świtem a zmierzchem biegł do szałasów z korjii brzozy i nad parów. Jego szlak, wkrótce twardo ubity w śniegu, był tak wyraźny jak do niedawna! linia sideł Pierrota. Znaczył las do tepee nieprzerwaną linią, zbaczając jedynie lekko na wschód, taki by przeciąć zamarzną toń jeziora, w którym Nepeesel latem zażywała kąpieli. Od *tepee* łukiem wracał przez puszcę, gdzie Nepeese częstokroć zbierała całe na-1 ręczną „płomyków”. Wreszcie docierał do parowu! Szedł w dół i w górę przepaści ku małej kotlinie! i ścieżce wiodącej nad wodę, by ostatecznie trafić znów do opuszczonej psiarni.

Aż wtem niespodziewanie Bari dokonał

pewnej zmiany. Spędził noc w *tepee*. Odtąd, ilekroć bawił nad Gray Loon, nocował w szałasie na polance. Dwie dery były jego posłaniem; stanowiły część Nepeesel i tak czekał całą długą zimę.

Gdyby Nepeese wróciła w marcu i zaskoczyła go z zienacka, znalazłaby go mocno zmienionego. Bardziej niż kiedykolwiek przypominał wilka; mimo to nigdy nie wył po wilczemu, a słysząc zew stada warczał i obnażał kły. W ciągu paru tygodni stara linia sideł dostarczała mu żywności, lecz teraz chadzał na łowy. Wnętrze szałasów i jego otoczenie były usiałe kłakami futra i kośćmi.

Raz sam jeden dopadł młodego kozła w głębokim śniegu i zabił go. Później! w czasie gwałtownej zamieci lutowej, ścigał tak zajadle byka karibu, że ten runął poprzez krawędź!

skalną i skrzył kark. Karmił się dobrze, toteż co do rozmiaru i mocy wyrastał na olbrzyma swego gatunku. Już teraz prawie dorównywał

Kazanowi siła szczęk, a po upływie następnego półrocza miał osiągnąć ten sam wzrost.

Tej zimy trzykrotnie staczał walkę. Raz z rysiem, który skoczył z gałęzi na Bariego, podczas gdy ten jadł świeżo schwytanego królika, a dwa razy z samotnymi wilkami.

Ryś pokaleczył go niemiłosiernie lecz w końcu umknął. Co do wilków, to młodego zabił; z drugim bój pozostał nie rozstrzygnięty.

Bari coraz bardziej stawał się samotnikiem unikającym towarzystwa i pogrążonym w zadumie. Marzył częstokroć, leżąc w szałasie, łowił głos Nepeesel. Słyszał, jak wymawia jego imię, jak go woła, jak się śmieje, i nieraz porywał się na nogi — dawny Bari, wzruszony i radosny — po to tylko,

by znowu lec w swym gnieździe z długim, żalonym skowytym.

Ileć słyszał w kniei trzask chrustu, w mózgu błyskała mu przede wszystkim myśl o niej.

Któregokolwiek dnia powróci. Ta niezachwiana pewność stanowiła część jego istnienia na równi ze słońcem, księżycem i gwiazdami.

Minęła zima, nadeszła wiosna; Bari nawiedzał wciąż stare szlaki zapuszczając się nieraz aż do najdalszej chaty u kresu linii sudeł.

Żelaza pokryła rdza a wszystkie sprężyny się zatrzasnęły; tający śnieg odsłaniał kości, turzycę i pióra wczepione między stalowe wręby; pod kłocami pułapek butwiały strzępy futer, na lodach jezior gniły padliny zatrutych lisów i wilków. Ostatni śnieg zginął.

Nabrzmiące potoki szemrały śpiewnie po parowach i rozłogach. Trawa nabrała zieleni; zakwitły pierwsze kwiaty.

Oczywiście teraz nadszedł czas powrotu Nepeese! Bari wyczekiwał jej z ufnością.

Coraz częściej chodził w las nad małe jeziorko, włóczył się wokół zgliszcz chaty i w pobliżu psiarni. Dwukrotnie skakał w wodę i pływał

skomlać, jakby wierzył, że dziewczyna weźmie udział w ulubionej zabawie. Lecz w miarę jak mijała wiosna i nadchodziło lato, z wolna poczęła go ogarniać rozpaczliwa i mroczna beznadziejność. Łąki i polany były całe w kwiatach, a pnące *bakniesz* gorzały po lasach jaskrawą purpurą. Zielona ruń kryła już częściowo czarny kopiec pogorzelska.

Dni płynęły za dniami, ptaki skojarzywszy się w pary wily sobie gniazda, a Nepeese wciąż nie było widać. Wreszcie coś się załamało w Barim; jego ostatnia nadzieja, a może jego ostatni sen. Pewnego dnia Bari pożegnał Gray Loon.

Któż zgadnie, ile go to kosztowało, kto wypowie,] jak walczył zrywając więzy chcące go zatrzymać, urok szalasu z kory brzoźowej, czar jeziorka, woń znajomych ścieżek, tajemnicę dwu grobów tak sa-

motnych pod wyniosłą jodłą. Odszedł. Nie miał

żadnych określonych przyczyn — po prostu odszedł. By-S, może istnieje siła, której dłoń kieruje zarówno ru-4 chami ludzi, jak zwierząt: w stosunku do zwierząt siłę tę zwiemy instynktem. Bari porzucając Gray Loon szedł na spotkanie wielkiej przygody.

## WŁÓCZĘGA

Był początek sierpnia, gdy Bari opuścił Gray Łoon. Nie miał przed sobą żadnego

określonego celu. Leczył w pamięci, niby lekkie odbicie światła i cieni na kliszy fotograficznej, pozostało mu

wspomnienie! pierwszych miesięcy życia.

Rzeczy i zdarzenia niemal kompletnie zapomniane przemawiały znów do jego zmysłów, podczas gdy coraz bardziej się oddalał od spalonej chaty; dawne przeżycia ponownie nabierały mocy i barw, w miarę jak siedziba Nepeese pozostawała w tyle.

Bezwiednie dążył szlakiem owych

wspomnień, szlakiem spraw miniom/ch, które nabierały dlań więk-1 szej wagi. Rok stanowił

dla Bariego dużo, tyle cdi dla człowieka lat dziesięć. Więcej niż rok minął, odkąd porzucił

Kazana i Szarą 'Wilczycę oraz stary wykrot. A jednak snuły mu się nieraz w pamięci przygody dni szczenięcych, potok, do którego wpadł,, i zacięta walka z Papajuczisiu.

Najżywiej pamiętał zdarzenia ostatnie.

Dotarł do ślepego parowu, w którym Pierrot i Nepeese usiłowali go schwytać. Miał

wrażenie, że to było zaledwie wczoraj.

Wstąpił na małą łączkę i przył stanął obok skały, pod którą Nepeese omal nie została zgnieciona na śmierć. Przypomniało mu się później miejsce, gdzie Wakajo, czarny niedźwiedź, skonał od kuli Pierrota; więc obwąchiwał zbiegłe kości, rozproszone w trawie gęsto przetkanej różnobarwnym kwieciem. Cały dzień i całą noc spędził w tej kotlinie, nim wyszedł z parowu i skierował się nad rzeczułkę — teren dawnych uczt z łaski Wakaja. Obecnie znajdował się tu inny niedźwiedź i ten również łowił ryby. Był to, być może, syn albo wnuk Wakaja. Bari obwąchał kryjówki, które mu niegdyś służyły jako spizarnie, i trzy doby karmił się znów rybami, nim poszedł dalej, na północ.

Po raz pierwszy od wielu tygodni coś z dawnej radości życia przydało energii łapom Bariego. Wspomnienia, dotąd mgliste i niejasne, nabrały znowu cech realnych i tak właśnie, jakby biegł nad Gray Loon, gdyby Nepeese żyła — z uczuciem wędrowca śpieszącego pod dach rodzinny — Bari wracał nad staw, bobrów.

Była najpiękniejsza pora dnia letniego —

zachód słońca — gdy tam dotarł.

Przystanąwszy w odległości stu jardów od stawu, którego nie dostrzegął jeszcze, wciągnął

powietrze nasłuchując. Staw był na dawnym miejscu. Ułowił jego zimny, miodowy oddech.

Ale Umisk, Szczerbaty i reszta? Czy ich odszuka? Natężył słuch chcąc pochwycić znajomy dźwięk i ten nadszedł po chwili: głuche klaśnięcie ogona po wodzie.

Po cichu przemknął między buki i stanął tuż obok miejsca, na którym zawarł znajomość z Umiskiem. Powierzchnia stawu lekko falowała; dwie lub trzy głowy wynurzyły się nad toń; pod przeciwległym

brzegiem dojrzał

starego bobra holującego kawał drzewa; rzucił

wzrokiem ku tamie: była taka, jaką pozostawił

przed rokiem.

Nie pokazując się jeszcze, trwał czas jakiś ukryty pośród buków. Czuł, jak rośnie w nim ogromny spokój, rozprężenie nerwów po długich miesiącach tęsknoty i samotności. Z

głębokim westchnieniem legł między drzewami wystawiając łeb o tyle tylko, by móc dobrze widzieć. W miarę jak słońce osiadało niżej, staw się ożywiał. Nad brzegiem, tam właśnie, gdzie uratował Umiska od napaści lisa, pojawiła się nowa generacja młodych bobrów — trzy stworzonka! tłuste i kolebiące się na krótkich łapkach. Bari jaki najciszej zaskomlił.

Cały ten dzień przeleżał pośród buków. Staw bobrów ponownie stał się jego domem.

Okoliczności] były oczywiście zmienione i w miarę jak dni przeciągały się w tygodnie, Szczerbaty i jego lud nia okazywali najmniejszej chęci pogodzenia się z do-1 roslým Barim, tak jak się kiedyś pogodzili z małymi szczenięciem. Był teraz wielki, czarny i zbyt przypominał wilka — potężne zwierzę o długich kłach i groźnym wyglądzie. Toteż, jakkolwiek nie uczynił! im nic złego, bobry traktowały go z głęboką obawą i podejrzliwością. Z drugiej strony Bari nie odczuwał już dziecinnej chęci zabaw w gronie rówieśników! ich nieufność więc nie bolała go jak za dawnych dni. Umisk wyrósł także; był to tęgi samiec, który właśnie zamierzał stworzyć domowe ognisko, a obecnie z zapalem gromadził zapasy zimowe. Jest najJ zupełnie prawdopodobne, że nie łączył wcale groźnego, czarnego potwora z malutkim Barim, z którym]

niegdyś obwąchiwali sobie noski, a przypuszczalnie] i Bari nie poznał Umiska, chyba jako c z ę ś ć daw-| nych wspomnień.

Przez cały sierpień główna kwatera Bariego leżała nad stawem bobrów. Nieraz w dalszych wyprawach] oddalał się od żeremi na dwa lub trzy dni. Wyprawy te kierował przeważnie na północ, czasem skrę-1 cał nieco na wschód lub zachód, lecz nigdy na poJ łudnie. Wreszcie na początku września na dobre porzucił kolonię bobrów.

Dłuższy czas włóczęga jego nie miała określonego celu. Polował żywiąc się przeważnie królikami lula też owym gatunkiem kuropatw upośledzonych na| umyśle, zwanych przez tubylców „głupie kury”. Urozmaicał

oczywiście ten jadłospis, ilekroć nadarzała się ku temu sposobność. Dojrzewały właśnie dzikie porzeczki i maliny, a Bari lubił je bardzo. Lubiał

także gorzkie jagody jarzębin, które wespół z żywicą sosen i jodeł, zlizywaną z pni drzew, stanowiły dla niego doskonały lek. W płytkiej wodzie łowił czasem ryby; poważył się też parokrotnie stoczyć ostrożny bój z jeżozwierzem i jeśli szczęście mu sprzyjało, ucztował później łykając to najdelikatniejsze, doskonałe w smaku mięso. We wrześniu dwukrotnie ubił sarnę. Spotykane po

drodze wielkie pogorzeliiska nie napawały go już trwożą; tłuste dni pozwoliły mu zapomnieć o dniach głodu.

W październiku zapędził się na zachód, aż po rzekę Geikie, potem na północ do jeziora Wollaston, położonego o dobre sto mil od Gray Loon. W pierwszym tygodniu listopada skręcił

znowu na południe idąc czas jakiś wzdłuż rzeki Canoe i zwracając raz jeszcze ku zachodowi brzegiem krętej strugi zwanej „Mały Czarny Niedźwiedź bez Ogona”. Niejednokrotnie w ciągu tej włóczędzy Bari stykał się z ludźmi, lecz z wyjątkiem myśliwca Cree w górnej części jeziora Wollaston żaden człowiek go nie widział.

Trzykrotnie czaił się w chaszczach, pod brzegiem Geikie, podczas gdy czółna mijały go z bliska; parę razy w ciszy nocnej węszył wokół

chat i schronisk wręczycyżyciem; raz dotarł tak blisko faktorii Wollaston, że słyszał ujadanie psów i nawoływanie ich panów.

Wciąż szukał; próbował znaleźć to coś, co mu zginęło. Węszył u progu chat; ciasnym kołem obiegał tepee łowiąc wiatr w czułe nozdrza i obserwował czółna wzrokiem pełnym nadziei. Raz wydało mu się, że powietrze niesie woń Nepeese i momentalnie łapy mu osłabły, a serce przestało bić. Trwało to zaledwie sekundę lub dwie. Ona wyszła z namiotu — dziewczyna indiańska, z rękoma pełnymi wierzbowego łyka

— na jej widok Bari umknął niepostrzeżony.

Nadchodził grudzień, gdy Lerue, Metys z Lac Bain, zauważył na świeżym śniegu trop Bariego, a niecdj później dostrzegł go migającego w gąszczu.

— Mówią wam, łapy ma wielkości mojej dłoni a czarny jest niby skrzydło kruka —

wykrzykiwał później w składzie Kompanii. —

Lis? Nie! Ledwo dwa razy mniejszy od niedźwiedzia! Wilk, tak! I czarny, panowie, jak sam diabeł!

Mac Taggart był jednym z obecnych.

Podpisywaa właśnie list do zarządu, gdy dobiegły go słowa Leruel Ręka znieruchomiła mu tak raptownie, że kropla atramentu bryznęła na papier. W tej chwili drzwi się otworzyły i weszła Maria. Mac Taggart sprowa-l dził ją znów do siebie. Jej wielkie czarne oczy miały chorowite wejrzenie; w ciągu tego roku straciła nie-i co ze swej dzikiej urody.

—Przeleciał ot tak! — prawil Lerue trzaskając w palce. Nagle zobaczył Marię i urwał.

—Czarny, mówisz? — zagadnął obojętnie Taggart nie odrywając wzroku od papieru.

— Czy nie przypomiął czasem psa?

Lerue wzruszył ramionami.

— Uciekł niby wiatr, proszę pana, ale to był

wilki

Maria szepnęła parę cichych słów do ucha agenta, złożony list Mac Taggart wstał spieszenie opuszcza! jąc izbę. Bawił dobrą godzinę. Lerue i reszta gubili się w domysłach.

Maria zaglądała do składu nie zmiernie rzadko: w ogóle nie pokazywała się prawie.

Pozostawała ukryta w domostwie agenta, a ilł

kroć Lerue ją dojrzał, odnosił wrażenie, że ma znów szczuplejszą twarz, a oczy większe i bardziej smutne. Żałował jej ogromnie.

Niejedną noc spędził pod małym okienkiem sypialni Marii, czatował często godzinami, byle pochwycić z dala jej smutne spojrzenie, i rad był, że dziewczyna go rozumie, że w tęsknych oczach na jego widok zapala się nowe światło.

Nikt ich nie podejrzewał: tylko oni sami znali swoją tajemnicę. Lerue cierpliwie obserwował i czekał.

— Pewnego dnia — powtarzał sobie nieraz

— pewnego dnia...

W tych dwóch słowach zawarty był cały świat nadziei. Ów dzień nadejdzie, zabierze Marią wprost do misjonarza w forcie Churchilla i wezmą ślub. Był to sen umożliwiający cierpliwe przetrwanie długich dni i dłuższych jeszcze nocy na samotnej linii sideł. Na razie oboje byli niewolnikami wyższej władzy. Ale pewnego dnia...

Lerue rozmyślał o tym wszystkim, gdy Mac Taggart wrócił po upływie godziny. Agent podszedł wprost do wielkiego pieca, wokół

którego siedziało z pół tuzina traperów, i z pomrukiem zadowolenia strząsnął z barków płatki świeżo spadłego śniegu.

—Piotr Eustachy przyjął rządową propozycję i będzie służył za przewodnika tej wyprawy naukowej, co wybiera się zimą w głąb barren! — oznajmił. — Wiesz; Lerue, on ma założonych około stu pięćdziesięciu sideł i pułapek oraz duży kawał terenu na trutki.

Świetny rewir, co? Wydzierżawiłem go od Piotra na ten sezon. To mi pozwoli użyć trochę ruchu, bo życie siedzące mi nie służy.

Trzy dni spędzę w domu, trzy dni na szlaku.

Co, jak myślisz, dobrze zrobił?

—Dobrze! — przyświadczył Lerue bez namysłu.

—Dobrze! — potwierdził Roget.

—Lisów tam zatrząsienie! — dodał trzeci traper, Mons Roule.

—I drogi łatwe! — zakończył młody Valence głosem podobnym do głosu kobiety.

# CZARNY WILK

Linia sudeł Piotra Eustachego biegła o trzydzieści mil od Lac Bain wprost na zachód.

Nie była tak rozległa jak niegdyś rewir Pierrota, lecz przecinała kraj bogaty w cenne futra. Należała jeszcze do ojca Eustachego, a przedtem do dziada i pradziada, sięgając w ten sposób, jak twierdził Eustachy, przedstawiciela najwyższych rodów Francji. Księgi faktorii *Mac Tagi* garta zawierały jedynie tytuły własności do czwartej generacji włącznie, dalsze zaś papiery znajdowały się w forcie Churchilla. Był to najlepszy z terenów łowieckich między jeziorem Reindeer a krainą barrenj Po długiej włości Bari zawieruszył

się w te stroi ny na początku grudnia.

Ponownie szedł na południe, wędrując wolno i krążąc, szukając padła w największych śniegach. *Kistisim Kestin*, czyli Wielka Zamięć, wypadła tej zimy wcześnie-| niej niż zwykle i cały tydzień po ustaniu zawieruchy ledwo się gdzie pazur lub kopyto ruszyło z le-|j| gowiska. Bari, postępując wbrew utartym zwyczajom, nie zakopał się w zaspie, by przeczekać, aż się niebo wyjaśni i powierzchnia śniegu stężeje.

Był wielki, potężny i miał w sobie niespokojnego ducha. W wieku niespełna dwu lat ważył całe osiemdziesiąt funtów. Łapy miał

szerokie o kształcie wilczym, pierś] i bary masywne, a mimo to zdatne do szybkiego pędu.

Oczy jego osadzone były szerzej niż u przeciętnej-! go wilczura, większe i całkowicie pozbawione krwawej błonki, czyli tak zwanej *wuttoi*, będącej cechą dzikiego wilka i niejednego huski. Szczęki Bariego] były równie straszne jak szczęki Kazana: być może nawet silniejsze.

Cały dzień wielkiej zamięci z konieczności obywat się bez jadła. Cztery dni walił śnieg, miotłała kurzawa i wiatr się srożył, potem nastąpiła trzydniowa fala okropnych chłódów, podczas których każde stworzenie kuliło się, jak mogło, w swoim legowisku. Nawet ptaki zakopały się w śniegach. Można była przejść po karku łosia lub karibu i nie wiedzieć o tym.

Bari ukrywał się co prawda w czasie zadymki!

ale nie dawał się pochłonać zaspie.

Każdy traper, od zatoki Hudsona po Athabaskę wiedział, że po wielkiej zamięci zgłodniałe zwierzęta futerkowe szukać będą padła i że sidła, odpowiednia nastawione i opatrzone właściwą przynętą, mogą dać teraz zdobycz nierównie obfitszą niż w jakimkolwiek innym okresie. Toteż niektórzy myśliwi już szóstego dnia ruszyli w puszcę, większość jednak wyczekała siedem do ośmiu dni.

Bush Mac Taggart dopiero po upływie całego tygodnia wybrał się do rewiru wydzierzawionego od Eustachego. Zmitrężył



dwa dni na odkopywaniu sudeł, odrzucaniu śniegu, odbudowie małych, chroniących wnyki

„chatynek” i zakładaniu przynęt.

Trzeciego dnia wrócił do Lac Bain.

Tegoż dnia właśnie Bari trafił na chatę stojącą u najdalszego krańca linii. W śniegu wokół obejścia trop agenta pozostał gęsty i wyraźny i ledwie tylko pies go zwęszył, każda kropla krwi w jego żyłach zawrzała dzikim

podnieceniem. Minęło około pół minuty, nim woń napełniająca nozdrza przywiodła mu na pamięć szereg dawnych zdarzeń. Lecz po upływie tych trzydziestu sekund z piersi Bariego dobyło się ponure warczenie. Tkwił

potem dłuższy czas w śniegu, niby czarna skała, i obserwował chatę. Wreszcie począł z wolna wokół niej krążyć, zataczając koła coraz węższe, aż ostatecznie obwąchiwał już próg.

Z wnętrza nie dochodziła żadna żywa woń, ale czuł wyraźnie s t a r y zapach Mac Taggarta. Spojrzał w głąb kniei, w stronę gdzie linia sudeł płynęła ku Lac Bain. Dygotał.

Mięśnie mu drżały. Zaskomlił głucho. Obrazy, coraz bardziej jasne, kłębiły mu się w mózgu: walka w chacie, Nepeese, dzika .pogoń nad krawędzią jaru i najdawniejsze wspomnienia, królicze wnyki, w które wpadł jako szczeniak.

W jego skomlaniu brzmiała ogromna, wyczekująca tęsknota. Po chwili umilkł.

Ostatecznie woń na śniegu pochodziła od istoty, której nienawidził, którą pragnął zabić, nie zaś od istoty kochanej. Na krótki czas dane mu było kojarzenie się myśli, lecz to wkrótce pierzchnęło. Przestał więc skomleć, natomiast po raz wtóry warknął złowrogo.

Z wolna poszedł wzdłuż linii i o ćwierć mili znalazł pierwsze sidła. Głód tak mu wciągnął

boki, że wyglądał jak zabiedzony wilk. W

pierwszej „chatynce” Mac Taggart umieścił na przynętę comber białego królika. Bari ostrożnie wysunął łeb. W rewii rze Pierrota nauczył się ongiś wielu rzeczy. Wiedział, co znaczy trzask sprężyny; odczuł raz okropny ból, gdy go żelazo chwyciło za łapę; lepiej niż sprytniejszy lis zdawał sobie sprawę, co uczyni kłoda pułapki, skoro rzemień ześliznie się z k u r k a, a Nepeese na-4 uczyła go osobiście, że nie wolno ruszać trutek. Toteż ostrożnie ścisnął

mięso królicze i wydobyl je tak leciutko, że nawet Mac Taggart lepiej by nie potrafił.

Do zmroku zwiedził pięć sudeł i spożył pięć przynęt nigdzie nie zatraskując żelaza. Szóstą była „martwa pułapka”. Krążył wokół niej poty, aż ubił w śniegu twardą drózkę. Potem udał się na porośniętą sośniną, zaciszne moczary i znalazł sobie nocne leże.

Następny dzień ujrział początek zmagania mających się odbyć między inteligencją człowieka a sprytem

zwierzęcia. Dla Bariego okradanie sideł Mac Taggarta nie stanowiło bynajmniej kroków wojennych; było po prostu częścią istnienia. Pułapki i wnyki agenta miały mu dostarczyć żywności, tak jak w swoim czam sie żelaza Pierrota Du Quesne. Czuł jednak, iż tym razem musi się strzec. Gdyby czas był

sposobny łowom, mógłby sobie iść dalej, gdyż niewidzialna dłoń, kierująca jego włóczęgą, z wolna, lecz wyraźnie wlokła go znów nad Gray Loon. A wobec wysokich i pu4 szystych śniegów, tak puszystych, że miejscami zapadał

w nie wyżej uszu, linia sideł Mac Taggarta stanowiła coś na kształt drogi usypanej manną dla jego wyłącznie użytku.

Dążył zatem śladami rakiet agenta i w trzech wnykach zdusił królika. Gdy skończył ucztę, na miejscu mordu pozostało jedynie trochę turzycy i nieco plam krwi. Wygłodzony od tygodnia, Bari czuł iście wilczy apetyt i zanim minął dzień, okradł z przynęty około tuzina sideł. Trzykrotnie znajdował trucizny: jaka-wały wędzonki lub świeżego sadła karibu z ukrytą wewnątrz pigułką strychniny — i za każdym razem jego wrażliwe nozdrza odczuwały niebezpieczeństwo. Pierrot niejednokrotnie notował zdumiewający fakt, że Bari odgaduje obecność trucizny wtenczas nawet, jeśli ją artystycznie wstrzyknięto w mięso sarnie. Bari.

ani tknął podobnie przyprawionej zwierzyny, gdy lisy i wilki zawsze dawały się nabrać.

Toteż i obecnie mijał smakołyki Mac Taggarta obwąchując je po drodze, a rysunkiem tropów na śniegu zaznaczając wyraźnie swą podejrzliwość. Miejsca południowego postoju Mac Taggarta Bari okrążał w ten sam baczny i nieufny sposób.

Nazajutrz, mniej głodny, natomiast bardziej czuły na znieprawiony zapach wroga, Bari uczynił więcej spustoszeń. Mac Taggart nie był

tak wprawny jak Piotr Eustachy w niepozostawianiu na sidłach i „chatynkach”

zapachu rąk, toteż raz po raz wstrętne woń wroga silnie uderzała w nozdrza psa. To wzbudziło w nim gwałtowny antagonizm i coraz szybciej rosnącą nienawiść, podczas gdy przed paru dniami jeszcze ledwo pamiętał o egzystencji tego człowieka.

Istnieje być może w mózgu zwierzęcia pewien proces myślowy, nie sięgający granic rozumowań ani nie będący czystym instynktem, niemniej przeto mający coś z jednego i drugiego. Bari nie dodawał dwa i dwa, by osiągnąć cztery; nie wracał wstecz, krok za krokiem, by dowieść samemu sobie, że właściciel tego rewiru jest powodem jego wszystkich nieszczęść, a jednak nienawidził go głęboką i gorzką nienawiścią. Prócz wilków Mac Taggart był jedyną istotą, którą obdarzał

podobnym uczuciem. Mac Taggart go skrzywdził, Mac Taggart skrzywdził Pierrota, Mac Taggart sprawił, że Nepeese gdzieś znikła i...

Mac Taggart chodził po tej linii sideł. Jeśli Bari włóczył się dawniej po kniei bez celu, teraz miał określoną przyczynę wędrówek. Musiał

pilnować sideł. Musiał jeść, by nie być głodny.

Nazajutrz pośrodku jeziora znalazł ciało wilka padłego od trucizny. Dobre pół godziny obrabiał trupa, aż ze skóry pozostały same strzępy. Nie próbował jeść mięsa. Było mu wstrętne. Mścił się tylko na wilczej rasie. Idąc dalej przystanął o sześć mil od Lac I Bain i zawrócił. W tym miejscu właśnie linia sideł

przecinała zamrzniętą strugę, za którą leżała otwarta przestrzeń, a po tej łące, jeśli wiał

odpowiedni wiatr, niosło dymem i zapachem faktorii. Bari spędził noc o pełnym brzuchu w gęstwinie karłowatych sosen a trzeciego dnia wędrował znowu na zachód cofając się po własnych śladach.

Tego ranka o brzasku Bush Mac Taggart wyruszył, by zebrać swoją zdobycz, a przecinając strugę o sześć mil od Lac Bain po raz pierwszy dojrzał trop Bariego. Przystanął

chcąc go zbadać, przejęty nagłym i nie uzasadnionym zainteresowaniem; wreszcie uląkł i ściągając z prawej ręki rękawicę, podniósł ze śniegu jeden jedyny włos.

— Czarny wilk!

Wybełkotał te słowa dziwnym, szorstkim głosem i mimo woli zwrócił oczy w kierunku Gray Loon. Później, ostrożniej jeszcze, obejrzał wyraźnie zaznaczony trop. Gdy wstał, wyglądał na człowieka, który dokonał

przykrego odkrycia.

— Czarny wilk! — powtórzył i wzruszył

ramionami. — Ba! Lerue jest wariat! To pies!

Urwał i po chwili dopiero dokończył

głosem mało co głośniejszym niż szept:

— Jej pies!

Ruszył dalej tropem Bariego. Ogarnęło go nowe

podniecenie, silniejsze niż gorączka łowów.

Jako człowiek, wiedział, że dwa i dwa dają w rezultacie cztery; w danym wypadku dwa i dwa to był Bari! Nie wątpił, iż tak jest w istocie.

Myśl ta strzeliła mu już do głowy, gdy Lerue po raz pierwszy wspomniał o czarnym wilku. Po zbadaniu śladów nabrał niemal zupełnej pewności. Widział odciski łap psa, a pies ten był czarny.

Po chwili dotarł do pierwszej z okradzionych łapek. Zaklął pod nosem.

Przynęta znikła, a jednak żelaza się nie zamknęły; wyostrzony kołek, na który nadział mięso, wyjęty był gładko z ziemi.

Cały ten dzień Bush Mac Taggart kroczył

ścieżką pełną śladów pobytu Bariego. Jedną po drugiej znajdował okradzione łapki. Na jeziorze zobaczył zmasakrowanego wilka. Na razie zdenerwowany tylko obecnością Bariego, teraz zaczął wpadać w pasję, a w miarę jak dzień upływał, pasja rosła. Nie pierwszy to raz miał do czynienia z czworonogim złodziejem, lecz zazwyczaj lis, wilk czy pies okradający si-dła psuje z nich tylko parę. W tym wypadku jednak Bari systematycznie chodził od jednych do drugich i ślady jego wskazywały jasno, iż zatrzymuje się przy każdym.

Zdaniem Mac Taggarta, była w tym niemal ludzka złośliwość. Pies omijał trutki. Ani razu nie wsunął łba lub łapy pod kloc uwieszony nad „martwą pułapką”. Pozornie bez żadnej przyczyny zniszczył wspaniałego skunksa.

którego lśniące futro leżało rozmiotane po śniegu w bezwartościowych szczątkach. Pod koniec dnia Mac Taggart przybył do sideł, w których zdechł schwytyany ryś. Bari nad-szarpnął srebrzysty bok kota tak dalece, iż odjął skórze przeszłe połowę wartości Mac Taggart zaklął głośno i już sapał w pasji.

O zmroku dotarł do schroniska, które Piotr Eustachy wystawił w połowie linii, i przejrzał

dzienną zdobycz. Wynosiła zaledwie trzecią część normalnej. Ryś był na pół zniszczony, a jeden skunks przecięty na dwoje. Nazajutrz znalazł jeszcze gorszą ruinę, jeszcze więcej pustych sideł. Agent był już bliski furii. Gdy nad wieczorem dotarł do drugiego schroniska, trop Bariego na śniegu był zaledwie sprzed godziny. Nocą trzykrotnie słyszał wycie psa.

Trzeciego dnia Mac Taggart zamiast wracać do Lac Bain, jął kunsztownie podchodzić Bariego. Spadło na cal lub dwa świeżego śniegu i niby rozkoszując się dokonaną zemstą, pies zostawił swój trop wokół chaty w oddaleniu zaledwie stu jardów. Mae Taggart zmitrężył pół godziny, nim zdołał wreszcie odnaleźć kierunek, w jakim pies się oddalił, po czym dwie godziny szedł śladem, który go zawiódł wreszcie na mokradła gęsto porośnięte karłowatą soś-niną.

Bari pilnował wiatru. Od czasu do czasu łowił woń prześladowcy; parokrotnie czekał

nieruchomy poty, aż usłyszał trzask chrustu pod nogą człowieka lub metaliczny szczęk lufy o gałęzie. Wreszcie, pod wpływem raptownego natchnienia, które wywołało na usta agenta potok przekleństw, zatoczył

wielkie półkole i ruszył wprost ku linii sideł.

Gdy koło południa Mac Taggart również dotarł do linii, pies rozpoczął już dzieło zniszczenia. Zabił i zjadł królika, okradł trzy łapki na przestrzeni pierwszej mili i w ten sposób wytrwale kroczył ku Lac Bain.

Mac Taggart wrócił do factorii dopiero na piąty dzień. Był w podłym humorze. W Lac Bain zastał jedynie czterech Francuzów i trapera Valence. Ten wysłuchał historii psa-złodzieja, opowiedzianej w paru słowach, a potem wymysłów, którymi Mac Taggart obsypał Marię. Nieco później dziewczyna przysłała do składu z twarzą czerwoną od niedawnego policzka. Gdy subiekt podawał jej konserwy z łososia, które Mac Taggart chciał

mieć do obiadu, Valence zdołał jej szepnąć na ucho:

— Pan Lerue schwycił srebrnego lisa.

Kocha ciebie i takie ci śle słowa ze swej chaty nad Małym Niedźwiedziem bez Ogoną: Bądź g o t o w a d o u c i e c z k i , g d y ś n i e g z m i ę k n i e !

Maria nie spojrzała nań wcale, ale usłyszała wszyst- J ko, toteż gdy odbierała puszkę konserw, oczy jej tak i przypominały gwiazdy, że po wyjściu dziewczyny ' młody subiekt rzekł:

— Do pioruna! Ależ ona jeszcze i teraz bywa piękna!

Na co Valence odpowiedział skinieniem głowy i tajemniczym uśmiechem.

## STALOWE GNIAZDO

Okolo połowy stycznia wojna pomiędzy Barim a Bush Mac Taggartem stała się więcej niż przemijającym incydentem, więcej niż chwilowym zdarzeniem dla psa, a irytującym wypadkiem dla człowieka. Była po prostu główną przyczyną ich istnienia.

Bari pilnował linii sideł. Nawiedzał ją na kształt złośliwego i psotnego ducha, a ilekroć zwęszył na nowo agenta z Lac Bain, więzy łączące go z tą okolicą zacieśniały się jeszcze bardziej. Raz po raz wywodził w pole Mac Taggarta: kradł nadal przynęty, coraz chętniej rozdzierał futerkowe zwierzęta złowione w sidła, a największą jego przyjemnością było nie opychanie się mięsem, lecz właśnie niszczenie.

W miarę jak mijały tygodnie, płomień jego nienawiści gorzał coraz silniej, aż wreszcie warczał już na sam widok śladów i długimi kłami darł śnieg, po którym kroczyły stopy wroga. Cały ten czas poza oparem obłędu istniała wizja Nepeese, z każdą godziną bardziej wyraźna. Samotność długich dni i dłuższych jeszcze nocy oraz beznadziejność poszukiwań nad Gray Loon przygniatała go znów z taką siłą, jak bezpośrednio po jej stracie. Podczas gwiazdnych lub miesięcznych nocy wzywał Nepeese płaczliwym wyciem, a Bush Mac Taggart słysząc ten tęskny głos czuł, jak mu przykry dreszcz przebiega wzdłuż pleców.

Nienawiść człowieka różniła się od nienawiści psa, lecz była może jeszcze bardziej zajadła. Komplikowały ją ponadto inne uczucia. Łączył się z nią nieokreślony i przesądny lęk, który Mac Taggart sam wyśmiewał, lecz który go nie opuszczał ani na chwilę, tak samo jak woń agenta nie opuszczała nozdrzy Bariego.

Bari w pojęciu Mac Taggarta był nie tylko psem, był d u c h e m N e p e e s e ! Ta myśl uparcie rosła w ciemnym mózgu. Obecnie nie było już dnia, by nie wspominał dziewczyny; nie było nocy, by nie

widział jej twarzy we śnie. Kiedyś doznał nawet wrażenia, że słyszy jej głos w zawrocie wiatru. A niespełna w minutę później ułowił w głębi boru wycie psa. Aż od świtu leżał mu na sercu ołowiany ciężar. Starał się go pozbyć. Kurzył

fajkę tak długo, aż izba była pełna dymu. Kłął

Bariego i zamieć, ale nie zdołał odzyskać dawnej, nieustraszonej odwagi, i Nienawiść względem psa rosła, lecz i materialny wzgląd przemawiał za rychłym uśmierceniem go. Kiedyś we śnie Mac Taggart dręczyła zhora; potem zaczęła wiercić mózg i o jasnym dniu. Był prawie pewien: Duch Nepeese każe Bari emu niszczyć jego sidła!

Po pewnym czasie przestał opowiadać w faktorii o czarnym wilku, który go okrada.

Starannie ukrywał futra zniszczone kłami Bariego i w głębi duszy taił swój sekret.

Wyuczył się wszelkich sposobów i podstępów od myśliwych łowiących lisy i wilki na granicy barren. Próbował trzech rozmaitych trucizn, jednej tak gwałtownej, że kropla jej sprowadzała natychmiastową śmierć.

Używał strychniny w kapsułkach

żelatynowych, w tłuszczu jelenia, w łożu karibu, w wątrobie łosiej i nawet faszerował

proszkiem mięso jeżozwierza. Przyrządzając trucizny maczał w pierw ręce w skromie bobrowym, by usunąć własną woń. Lisy i wilki, a nawet kuny i gronostaje marły zwabione przynętą, tylko Bari krążąc tuż w pobliżu nigdy jej nie dotknął. W końcu stycznia Mac Taggart zatrul już wszystkie przynęty na całej linii. Tu przynajmniej osiągnął jakiś taki efekt.

Odtąd Bari nie tykał przynęt zjadając tylko żywe króliki.

W tym czasie właśnie Mac Taggart zobaczył Bariego poraz pierwszy. Oparł

kiedyś

fuzję o drzewo i znajdował się od niej w odległości dwunastu kroków. Można było przypuścić, że Bari wie o tym i przyszedł

zakpić z wroga, gdyż skoro agent podniósł

głowę, Bari stał na tle karłowatej sosny, oddalony o niespełna sto jardów, błyskając białymi kłami i oczyma jak płonące węgle.

Dobłą chwilę Mac Taggart patrzył, zamieniony w kamień. To był Bari. Poznawał białą gwiazdę na piersi, białą plamę na uchu i serce łomotało mu jak młot. Bardzo wolno począł pełzać w kierunku fuzji. Sięgał właśnie po nią, gdy Bari znikł niczym błyskawica.

Wypadek ten nasunął agentowi pewien pomysł. Wytknął sobie nowy szlak poprzez knieje,

równoległy do linii sideł, lecz oddalony od niej o dobre sto jardów. Tam gdzie były założone wnyki lub pułapki, nowy szlak skręcał gwałtownie, niby ostrze klina, tak że idąc po nim, można się było niepostrzeżenie zbliżyć do linii. Mae Taggart był pewien, że dzięki owej strategii zdoła dostać psa na strzał.

Lecz i tym razem przegrał haniebnie.

Zaraz pierwszego dnia, gdy Mac Taggart wybrał się nowym szlakiem, Bari trafił nań również. Przez chwilę trwał zdumiony i niepewny. Potem trzykrotnie biegał od starej drożyny do nowej. Wreszcie wyzbył się wszelkich wątpliwości. Nowy szlak był świeży i pies ruszył śladem agenta z Lac Bain.

Mac Taggart do chwili powrotu ani podejrzewał, jak się rzeczy mają, dopiero gdy skręcił ku domowi, trop na śniegu zdradził mu prawdę. Bari odwiedził wszystkie sidła bez wyjątku, zawsze wracając wzdłuż boku klina.

Po upływie tygodnia jałowych wysiłków, zasadzek, podchodzeń z wiatrem — okresu, gdy Mac Taggart kłął psa odchodząc niemal od zmysłów — olśniła go nowa myśl, tak prosta, że nie mógł pojąć, iż wpadł na nią dopiero teraz.

Spiesznie wrócił do Lac Bain.

Nazajutrz już o blasku ruszył w drogę. Tym razem niósł toból zawierający tuzin mocnych sideł wilczych oraz królika, który poprzedniej nocy wpadł mu we wnyki. Raz po raz niespokojnie spoglądał na niebo. Było czyste aż do południa, gdy kłęby chmur wytoczyły się ze wschodu. W pół godziny później upadły pierwsze płatki śniegu. Mac Taggart schwytał

jedną śnieżynkę na wierzch rękawicy i obejrzał

ją bacznie. Była miękka i puszysta. Roześmiał

się z zadowoleniem. Tego mu właśnie było potrzeba. Do jutra rana sześciocalowa warstwa śniegu pokryje wszelkie ślady. Stanął przy ostatniej z rzędu łapce i szybko wziął się do pracy. Przede wszystkim odrzucił zatrutą przynętę i zastąpił ją królikiem. Potem jął

rozmieszczać wilcze sidła. Trzy ułożył tuż u wejścia do „chatynki”, gdyż tędy Bari musiał

sięgnąć w głąb. Pozostałych dziewięć rozproszył w koło, jedno od drugiego oddalone o stopę, tak że gdy skończył, istny kordon żelazny pilnował przynęty. Nie umocował

łańcuchów 1 do pni, lecz luźno puścił w śnieg. Był pewien, że jeśli Bari zawadzi o jedno sidło, inne schwytają go również, więc i tak nie umknie.

Dokonawszy dzieła Mac Taggart pośpieszył

poprzez gęstniejący mrok zimowego

wieczora do schroniska, j Był w siódmym niebie. Wiedział, że tym razem musi wygrać. Po drodze z

Lac Bain zatrzasnął wszystkie sidła. W

żadnym z nich Bari nie znajdzie żywności, aż trafi ostatecznie na żywego królika w „żelaznym gnieździe”.

Tej nocy spadło siedem cali śniegu i cały światł przywdział wspaniałą białą szatę. Srebrna okiść zawisła na konarach i gałęziach; skały i głazy dostały siwe czapy.

Śnieg pod nogami był tak puszysty, że wypuszczona z ręki kuropatwa tonęła aż do dna.

Bari wcześniej ruszył na linię. Tego ranka był bardziej

ostrożny niż zwykle, gdyż brakło mu znaków wytycznych — śladów człowieka i jego woni.

Napotkał pierwszą łapkę w pół drogi pomiędzy Lac Bain a schroniskiem, w którym czatował

Mac Taggart. Żelazo było puste i zatrzaśnięte.

Zwiedził inne, jedno po drugim: wszystkie były pozbawione przynęt. Podejrzliwie wciągnął

powietrze, próżno usiłując ułoić zapach człowieka lub woń dymu.

Około południa dotarł do dwunastu zdradliwych sideł,

czekających nań z rozdziawionymi szczękami pod głęboką warstwą śniegu. Dobrą minutę tkwił poza groźnym kręgiem nasłuchując i chłonąc powietrze. Dojrzał

królika i chciwie kłapnął zębami. Zrobił jeszcze krok. Był nadal nieufny; z jakowychś nieokreślonych powodów czuł wiszącą w powietrzu groźbę. Niespokojnie szukał jej węchem, wzrokiem i słuchem. Wokoło leżała wielka, spokojna cisza. Ponownie szczęknął

kłami. Zaskomlił. Coś działało mu na nerwy.

Ale gdzie się kryło niebezpieczeństwo, jeśli nie mógł go ani zwietrzyć, ani dojrzeć?

Z wolna okrążył „chatynkę”; okrążył ją jeszcze dwukrotnie, za każdym razem zataczając ciaśniejsze koło, aż wreszcie łapami dotykał niemal sideł. Znów stanął z uszami na płask. Pomimo nęcącej woni królika coś w l e k ł o g o w s t e c z . W następnej chwili byłby odszedł, lecz wtem spoza „chatynki”

dobiegł szurzy skrzek i Bari zobaczył

gronostaja, bielszego niż śniegi, żarłocznie rwącego świeże mięso.

Wtedy zapomniał o złych przeczuciach.

Warknął groźnie, lecz dzielny mały drapieźnik ani myślał przerwać uczy.



I Bari skoczył wprost w „gniazdo”, które mu uwił Mac Taggart.

# JIM CARVEL

Następnego ranka Bush Mac Taggart usłyszał szcęk łańcucha będąc jeszcze oddalony od „gniazda” o dobre pół mili. Czy to ryś? Czy rosomak? Czy Bari? Przebył

pozostałą przestrzeń niemal biegiem, wreszcie dopadł wąskiej przesieki, dającej dobry widok, i serce skoczyło w nim jak szalone. Więc jednak schwytał wroga! Zbliżył się mając na wszelki wypadek broń w pogotowiu.

Bari leżał na boku ciężko dysząc z utrudzenia i dygocąc z bólu. Chrapliwy krzyk tryumfu wydarł się z ust Mae Taggarta. Śnieg wokół „chatynki” był twardo ubity szamotaniem psa i cały zbrukany krwią. Krew pochodziła przeważnie z pyska Bariego. I teraz jeszcze silnie broczył. Stalowe szczęki, ukryte pod śniegiem, należycie spełniły zadanie. Ujęły jedną z przednich łap psa powyżej pierwszego stawu i obezwładniły mu obie tylne nogi. Czwarte sidło chwyciło go za bok i uwalniając się z tego żelaza Bari wy-szarpał sobie płat skóry wielkości połowy dłoni. Śnieg mówił o jego rozpaczliwej walce, trwającej całą noc; skrwawiony pysk świadczył, z jakim wysiłkiem próbował

zmiażdżyć lub rozerwać żelazne kleszcze. Oddychał ciężko. Oczy miał nalane krwią. Jednak pomimo tylogodzinnej męczarni duch się w nim nie załamał. Ledwie dojrzał Mac Taggarta, usiłował się porwać na nogi; potem przy warował w śniegu. Przednie łapy prężył sztywno, głowę i barki uniósł ku górze, a warczenie jego przypominało dzikością warczenie tygrysa. Zaledwie w odległości paru metrów stał twór zniechęcony bardziej niż plemię wilcze. A on był bezsilny!

Dzikie warczenie nie przerażało już teraz agenta. Doskonale zdawał sobie sprawę z niemocy psa. Z tryumfalnym uśmiechem oparł karabin o drzewo, ściągnął rękawice i począł ładować fuzję. Długo oczekiwał tej chwili zwycięstwa — widoku tortur powalonego wroga. Początkowo zamierzał posłać psu kulę. Ale to było lepsze: patrzeć, jak kona godzinami, drwić zeń i drażnić go, przechadzać się wkoło słuchając szcęku łańcuchów, podczas gdy pies, ociekający krwią, wykręcać będzie umęczone ciało, byle przeciwnika nie spuścić z oczu. Lubował się zemstą tak dalece, że nie usłyszał za sobą cichego skrzypu rakiet. Dopiero dźwięk głosu męskiego kazał mu się szybko odwrócić.

Mężczyzna był obcy i młodszy od Mac Taggarta o lat dziesięć. W każdym razie, pomimo krótkiej blond brody, wyglądał

najwyżej na lat trzydzieści pięć lub sześć.

Twarz miał tego rodzaju, że przeciętny człowiek polubiłby go od pierwszego wejrzenia — męską, a jednocześnie chłopięcą, o jasnych oczach patrzących szczerze spod futrzanego otoku czapki.

Ze szczupłej, żyłastej postaci przypominał

Indianina, choć rysom brakło surowej szorstkości leśnych ludzi.

Mac Taggart jednak wiedział od razu, że to człowiek tutejszy, ciałem i sercem zrosły z głuszą. Nosił czapkę z futra wydry i długi płaszcz z miękko wyprawionej skóry karibu, przeciągnięty w pasie szarfą zdobną w indiańskie frędzle. Kurtka była podbita futrem.

Posługiwał się raketami o smukłym kształcie, właściwym w zalesionej okolicy. Na plecach niósł niewielki, ciasno zwinięty pakunek; fuzję miał ukrytą w pokrowcu. Od kaptura po rakiety śnieżne wszystko świadczyło o długiej drodze.

Mac Taggart gotów był na oko zaryzykować twierdzenie, że obcy zrobił tysiąc mi] w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Ale bynajmniej nie to spostrzeżenie wywołało wzdłuż jego pleców niemiły dreszcz, lecz nagła obawa, że w jakiś tajemniczy sposób przenikła na południe część prawdy o dramacie nad Gray Loon i że ten z daleka idący podróżnik nosi pod płaszczem ze skóry karibu znak Królewskiej Konnej Policji. Ogarnęło go po prostu przerażenie i oniemiał na chwilę.

Obcy wydał poprzednio tylko okrzyk zdumienia; teraz rzekł nie spuszczając oczu z Bariego:

— Ależ pan tego biedaka urządził!

W głosie jego było coś, co uśmierzyło trwogę agenta. Nie brzmiała w nim żadna podejrzliwość. Zauważył przy tym, iż obcy bardziej jest zajęty psem niż nim samym.

Odetchnął głęboko.

— Złodziej sideł! — rzekł.

Obcy obserwował Bariego jeszcze pilniej.

Położył fuzję na śniegu i przysunął się bliżej.

— Ależ to pies! — wykrzyknął.

Mac Taggart obserwował go z tyłu wzrokiem łasicy.

— Tak, pies! — odparł. — Dziki pies i co najmniej półkrwi wilk. Napsuł mi tej zimy futer na tysiąc dolarów, a może i więcej!

Obcy kucnął przed Barim, opierając na kolanach

urękawiczone dłonie i błyskając w uśmiechu białymi zębami.

— Ty biedaku! — rzekł ze współczuciem.

— Jesteś więc złodziejem, he? Wyrzutkiem społeczeństwa? I policja cię schwytała?

Prawdę mówiąc, z jej strony

gra była nie całkiem uczciwa.

Wstał i zwrócił się do Mac Taggarta.

—Ile ja się z nim namęczyłem! — tłumaczył

agent : czerwieniąc się lekko pod upartym wejrzeniem błę- j kitnych oczu. Raptem nabrał fantazji: —  
I będzie tu zdychał

powolutku! Dam mu konać z głodu i gnić w żelazach za to wszystko, co mi zrobił! —

Podjął z ziemi karabin i dodał nie

spuszczając obcego z oczu, 1 a palcem muskając spust: — Jestem Bush Mac Taggart, wspólnik  
faktorii w Lac Bain. Czy pan idzie w tamtą stronę?

—Parę mil. Udaję się dalej, na granicę wielkiego barren!

Mac Taggart uczył znów niemiły dreszcz.

—Urzędowa sprawa? —

zagadnął. Obcy skinął

gołwą.

—Czy może policja? — nacierał Mac

Taggart.

—No tak, oczywiście, policja! — rzekł

obcy pa-1 trząc prosto w oczy agenta. — A teraz, panie, jako o wielką grzeczność wobec prawa,  
poproszę o kulę j w łeb dla tego stworzenia, nim ruszymy dalej. Uczyni pan to sam, czy ja mam  
strzelić?

—Prawo kniei każe, by złodziej sideł gnił w tych sidłach! — odparł agent. — A to zwierzę jest  
istnym diabłem. Niech pan tylko słucha!

Szybko, a mimo to nie opuszczając żadnego ważnego szczegółu, opowiedział o walce z psem: o tym,  
jak zawodziły najstaranniej opracowane plany, i o wściekłym sprycie bestii, którą mu się wreszcie  
powiodło ułowić.

— To diabeł! — zakończył z pasją. — A teraz, jak pan sądzi, ma zginąć zaraz od kuli, czy też gnić tu  
na raty?

Obcy patrzył na Bariego. Twarz miał

odwróconą od Mac Taggarta. Rzekł:

— Podejrzewam, iż ma pan rację. Niech diabeł ginie. Jeśli pan wraca do Lac Bain, zrobimy część

drogi razem!

Podjął z ziemi karabin. Mac Taggart ruszył

przodem. Po upływie godziny obcy stanął

wskazując na północ:

— Prosto tędy. Dobrych pięćset mil — rzekł

tak spokojnie, jakby jeszcze dziś wieczór miał

być w domu. — Pożegnam pana tutaj.

Nie podał agentowi ręki, lecz odchodząc rzucił:

— Może pan donieść, że John Madison tędy przechodził.

Kroczył później dobre pół godziny wprost na północ poprzez głęboki bór. Potem skręcił na zachód, a uszedłszy dwie mile zawrócił pod ostrym kątem na południe i nim minęła godzina od pożegnania z Mac Taggartem, po raz wtóry kucnął w śniegu niemal na odległość ręki od pojmanego psa.

I mówił, jakby miał przed sobą ludzką istotę:

— A więc oto czym byłeś, stary, złodziejem, he? Wyrzutkiem społeczeństwa! I w ciągu dwu miesięcy wo. dziłeś za nos tego draba! I za to, żeś od niego sprytniejszy, chce, byś tu konał jak najwolniej. Wyrzutku społeczeństwa! —

parsknął

nagle

śmiechem,

lubianym nawet przez zwierzęta. — Komedial!

Po winniśmy sobie ręce podać, stary, jak Boga Kocham! Jesteś poza prawem, jak mówił tamten typ. Cóż, ja także! Powiedziałem, że nazywam się John Madison. Nieprawda. Jestem Jim Carvel.

I

bąknąłem

tylko

słowo: policja. Tu już nie ma kłamstwa! Myśi o mnie całe bractwo, szuka mnie całe bractwo, szuka mnie każdy policjant pomiędzy zatoką Hudsona a Mackenzie. Daj łapę, stary! Jesteśmy w jednej łodzi! Rad, że cię spotkałem.



# WYBAWCA

Jim Carvel wyciągnął rękę i warknięcie wzbierające już w gardle Bariego zamarło.

Człowiek uniósł się na nogi. Stał patrząc w kierunku obranym przez Mac Taggarta i chichotał radośnie. Potem znów spojrzał na Bariego; w oczach i w lśnieniu białych zębów było współczucie i przyjaźń. Wytwarzał

wokół siebie atmosferę rozjaśniającą nawet chmurny dzień, przydającą ciepła chłodnemu powietrzu. Bari to wyczuł! Po raz pierwszy od chwili nadejścia ludzi rozluźnił napięte mięśnie. Grzbiet mu zmiękł; zęby poczęły szczekać z osłabienia i bólu. Temu człowiekowi zdradzał swoją niemoc. W krwią nalanych oczach, którymi obserwował

wędrowca, był wyraz strasznego cierpienia. I Jim Carvel ponownie wyciągnął rękę, tym razem znacznie bliżej.

— Biedaku! — rzekł poważniejąc. —

Biedaku!

Bari przyjął te słowa jak pieszczotę, pierwszą doznaną od straty Nepeese. Zniżył

łeb, aż pysk legł mu na śniegu. Carvel widział krew płynącą ze szczęk psa.

— Biedaku! — powtórzył.

Wysunął rękę bez trwogi. Miał w sobie ufność i wielkiej szczerości i wielkiego współczucia. Dotknął łba Bariego i poklepał go braterskim gestem, po czym nieco ostrożniej opuścił dłoń ku przedniej łapie schwytej w sidła. Bari na pół przytomnie usiłował pojąć, co się dzieje, lecz zrozumiał

prawdę, dopiero i gdy żelazo się otwarło i mógł

cofnąć okaleczoną nogę. Wtedy uczynił coś, co dotąd robił jedynie w sto- | sunku do Nepeese.

Raz jeden wysunął gorący język i polizał dłoń Carvela. Człowiek roześmiał się. Po- i tężnymi rękami otworzył inne żelaza i Bari był

wolny. Parę chwil pies leżał bez ruchu wlepiając oczy w swego wybawcę. Carvel przysiadł na zawalonym śniegiem pniu brzozy i ładował fajkę. Bari obserwował, jak się tytoń zapala; łowił z zainteresowaniem pierwszy czerwony kłębek dymu wychodzący z ust Carvela. Człowiek, siedząc zaledwie w odległości paru metrów, uśmiechnął się do Bariego.

— Weź nerwy w garść, stary chłopie! —

zachęcał. — Żadnej kości złamanej! Tylko łapy trochę sztywne! Może byśmy lepiej ruszyli?

Zwrócił twarz w kierunku Lac Bain.

Podejrzewał, że Mac Taggart gotów wrócić.

Być może to samo podejrzenie gościło w mózgu Bariego, gdy bowiem Carvel spojrzął

nań ponownie, pies stał już na łapach i chwiejąc się nieco, usiłował odzyskać równowagę. W następnej chwili mężczyzna zrzucił

pakunek z pleców i otworzył go. Z wnętrza dobył kawał świeżego, czerwonego mięsa.

— Zabiłem dziś rano! — tłumaczył Bariemu.

— Boczny jeleni, delikatny jak kuropatwa. A to polędwica, najmiększa, jakąś w życiu widział.

Spróbuj tylko!

Cisnął Bariemu mięso. Bari przyjął dar bez wahania. Był głodny, a żywność pochodziła z przyjaznej ręki. Szczęki poczęły rwać i gryźć.

Posiłek wlał mu w żyły nowe ciepło, lecz jedząc ani na chwilę nie spuszczał z Carvela zaognionych oczu. Mężczyzna znów umocował

plecak na ramionach. Teraz wstał, podjął z ziemi karabin, włożył rakiety i zwrócił twarz ku północy.

— Pójdź, chłopcze! — rzekł. — Czas ruszać w drogę!

Było to obojętne zaproszenie, jakby ci dwaj dawno chodzili razem. Brzmiała w nim tylko, być może, lekka nuta komendy. Bari się zdziwił. Dobre pół minuty tkwił bez ruchu, obserwując, jak się Carvel oddala. Wstrząsnął

nim nerwowy dreszcz; zwrócił łeb w kierunku Lac Bain. Potem znów spojrzął na Carvela i zaskomlił cicho. Człowiek miał właśnie zniknąć w gęstej jedlinie. Przystanął i obejrzał

się. — Idziesz, stary?

Nawet z tej odległości Bari widział na jego twarzy przyjazny uśmiech; dostrzegł

wyciągniętą dłoń, a głos wzbudził nowe uczucie. W niczym nie przypominał głosu Pierrota; Bari nigdy nie lubił Pierrota. Ale różnił się także od miękkiej mowy Nepeese.

Bari znał dotychczas zaledwie paru mężczyzn i do wszystkich odnosił się z niechęcią i niedowierzaniem. Lecz ten głos go rozbroił.

Był prawdziwie kuszący. Miał ochotę go usłuchać. Zapragnął raptem iść u samej nogi obcego człowieka. Po raz pierwszy w życiu za4



pragnął męskiej przyjaźni. Nie ruszył się, nim *Cat* vel nie wszedł między jodły. Potem podążył jego śladem.

Tej nocy rozbili obóz w gęstej kępie jodeł i cedrów, o dziesięć mil na północ od rewiru Bush Mac Taggarta. Śnieg sypał dwie godziny i pokrył wszystkie ślady. Prószyło i teraz, lecz ani jeden płatek białej zamieci nie zdołał

przelecieć przez gęstą kopułę splecionych konarów. Garvel ustawiło swój malutki jedwabny namiot i rozpalili ogień; spożyli już kolację"; i Bari leżał płasko na brzuchu, prawie na odległość ręki od wędrowca, obserwował go bacznie. Carvel, plecami wsparty o drzewo, z rozkoszą ćmił fajkę. Poprzednio zrzucił kaptur i płaszcz i w świetle płomieni wyglądał na młodego chłopca. Lecz zarys] szczęk pozostał

po dawnemu twardy, a oczy czujnei i przenikliwe.

— Swoją drogą przyjemnie jest mieć z kim pogawędzić! — mówił do Bari ego. —

Przyjemnie zwierzyć] się komuś, kto rozumie wszystko i umie milczeć; Czy zdarzyło ci się kiedy mieć ochotę wyć i nie; śmieć dobyć głosu? Bo właśnie ze mną tak byw Nieraz aż we łbie mi się kręciło, tak strasznie chcia\* łem mówić, a nie miałem do kogo!

Zatarł ręce i wyciągnął je w stronę ognia.

Bar] obserwował ruchy mężczyzny i łowił

chciwie każdy] dźwięk padający z jego warg.

W oczach miał teraa nieme uwielbienie, a pod tym wejrzeniem Carve] czuł, jak mu się ciepło robi na sercu. Raptem piel przyczołgał się do samych nóg człowieka i wtedy! Carvel wyciągając rękę poklepał ciemny łeb.

— Zbrodniczy typ ze mnie! — zachichotał.

— Czy chcesz wiedzieć, co zaszło? —

przeczekał chwilę, a Bari obserwował go uparcie. — Więc widzisz — mówił poważnie, jakby do człowieka — to było pięć lat temu.

Właśnie pięć lat minęło w grudniu, przed Gwiazdką. Miałem ojca. Morowy chłop był

mój ojciec. Matki już nie, tylko ojca, a takeśmy się zżyli ze sobą jak jedna dusza. Pojmujesz?

Aż zjawił się taki podły skunks, imieniem Hardy, i zastrzelił ojca pewnego dnia, że to byli odrębnych poglądów

po

lityce. Mord, prawda? A jednak go nie powiesili! Nie, proszę pana, nie powiesili tego śmierdziela! Miał zbyt wielu przyjaciół i zbyt dużo pieniędzy, toteż dostał tylko dwa lata domu poprawczego. Ale do tego domu nie trafił, jak Boga kocham!

Wyginał dłonie, aż trzeszczały stawy.

Dumny uśmiech opromieniał jego twarz, oczy odbijały blask płomienia. Bari westchnął głęboko — zupełnie przypadkowo — jednak chwila stała się jeszcze bardziej uroczysta.

— Nie, nie trafił do domu poprawczego! —

ciągnął Carvel uparcie patrząc na psa. — Wiesz pewnie, stary, co mam na myśli? Dwa lata tylko... Kto wie, może wypuszczono by go już po roku, a tu, mój ojciec — w grobie! Więc poszedłem

do

gmachu

sądu

i w obliczu całej tej bandy; prokuratora, obrońcy,

świadków i przyjaciół,

z a s t r z e l i ł e m go! I uciekłem! Skoczyłem przez okno, nim się opamiętali, zapadłem w las i odtąd stale włóczę się po świecie. Tamtego lata przypadek dopomógł mi w dziwny sposób — właśnie kiedy policja deptała mi po piętach i perspektywy były jak najgorsze. W

krajinie Reindeer, tam gdzie byli pewni, że mnie osaczono, policjanci znaleźli zwłoki topielca.

Ten ktoś podobny był do mnie tak dalece, iż pochowali

go

pod

moim

imieniem. Zatem, rozumiesz, oficjalnie — nie żyję! Nie potrzebuję się niczego obawiać, jak długo nikt mnie nie pozna. A jakie jest twoje zdanie, co?

Pochylił się ku przodowi czekając odpowiedzi.

Bari słuchał pilnie. Być może zrozumiał na swój I sposób. Lecz teraz uszu jego dobiegł

inny dźwięk, nie tylko głos Carvela. Z łbem przylepionym do ziemi łowił go zupełnie wyraźnie. Zaskomlił kończąc warczeniem tak głuchym, że Carvel je pochwycił. Mężczyzna wyprostował się. Wreszcie wstał i skierował

wzrok na północ, Bari tkwił obok, cały zjeżony, na sztywnych łapach.

— Twoi krewni, stary! Wilki!

I wszedł do namiotu po naboje i karabin.

# OKROPNA NOC

Bari stał sztywno, niby wykuty z głazu, gdy Carvel wyszedł z namiotu. Dobrą chwilę człowiek badawczo obserwował zwierzę. Czy pies odpowie na zew stada? Czy należy do niego? Czy odejdzie? Wilki nadciągały bliżej.

Nie zataczały koła, jak by to uczynił karibu lub jelen, lecz szły prosto jak strzeł na obozowisko. Carvel bez trudu pojął przyczynę.

W ciągu całego popołudnia łapy Bariego pozostawiały a na śniegu woń krwi i wilki musiały się na nią natknąć w głębi boru, gdzie pod drzewami śnieg nie przysypał śladów.

Carvel się nie bał. Niejednokrotnie w ciągu pięć- j cioletniej włości pomiędzy górami a Morzem Ar-ktycznym miał z wilkami do czynienia. Raz omal nie zginął; ale to było na otwartym barren. Dzisiejszej nocy miał ogień, a gdyby mu zabrakło paliwa, w pobliżu stało drzewo, na które się mógł wspiąć. Jedyłą jego troską był obecnie Bari. Toteż rzekł j głosem jak najbardziej obojętnym:

— Nie odejdiesz, prawda, stary?

Jeśli nawet Bari usłyszał go, w żadnym razie nie 1 dał

tego poznać po sobie. Lecz Carvel obserwując go badawczo spostrzegł, iż sierść na karku psa zjeżyła się bojowo, po czym usłyszał rosnące z wolna W gardle Bariego nienawistne warczenie. W swoim czasie podobny dźwięk osadzał na miejscu Mac Taggarta. Carvel, przełamując fuzję, by stwierdzić, że naboje są w porządku, zachichotał radośnie.

Bari musiał ułoić ten uśmiech. Może zrozumiał go na swój sposób. W każdym razie odwrócił raptem głowę i z uszami przylepionymi do czaszki spojrział na towarzysza.

Wilki milczały teraz. Carvel wiedział, co to znaczy, i rozglądał się uważnie. W ciszy odsuwany bezpiecznik fuzji szczęknął

metalicznie. Dobrze parę minut nie słyszeli nic prócz trzasku ognia. Raptem Bari skoczył

wstecz. Teraz patrzył w gęstwinę za plecami Carvela, mając łeb na równym poziomie z grzbietem i kły, długie na cal, wyszczerzone groźnie.

Carvel skręcił błyskawicznie. To, co ujrzał, napełniło go niemal przerażeniem. Dwoje oczu, płonących zielonym ogniem, obok jeszcze dwoje i jeszcze, tak wiele, że nie sposób było zliczyć. Kurczowo wciągnął powietrze. Były to jakby ślepie kota, tylko znacznie większe.

Niektóre, łowiąc w pełni blask ognia, gorzały czerwono; inne lśniły zielono i błękitnie.

Szybkim wejrzeniem objął czarny krąg boru.

Tu również było ich pełno; patrzyły zewsząd; najgęściej jednak migały tam, gdzie je najpierw

zobaczył. Chwilowo Carvel zapomniał o Barim, zaskoczony śmiertelnym wieńcem opasującym obóz. Bestii było co najmniej pięćdziesiąt, może sto, nie bojących się niczego prócz ognia. Nadbiegały bezszelestnie nie trąciwszy żadnej suchej gałęzi. Gdyby się to zdarzyło później, w czasie snu, a ogień by wygasł...

Carvel wzdrygnął się i na chwilę przestał

panować nad nerwami. Poprzednio nie zamierzał strzelać, chyba z konieczności, lecz teraz fuzja sama skoczyła mu do ramienia i posłał deszcz kul, tam gdzie oczy płonęły najgęściej. Bari wiedział, co oznacza strzał, i pełen dzikiej chęci zatopienia zębów w gardle wroga dał szalonego susa w mrok. Carvel krzyknął zdumiony. Ułowił błysk ciała Barięgo; widział, jak ciemność je pochłania, i w tej samej chwili usłyszał okropny szczęk kłów oraz chrzęst walczących ciał. Przebiegł go dreszcz. Pies przypuścił atak sam jeden, a wilki czekały. Rezultat był niewątpliwy. Jego czworonogi towarzysz wpadł wprost w paszczę śmierci.

Z mroku dobiegało chciwe kłapanie.

Carvelowi zrobiło się mdło. Wbił w śnieg pustą fuzję kolbą w dół, natomiast wyrwał zza pasa ciężki colt. Trzymając rewolwer na wysokości oczu dał nurka w ciemność, z dzikim krzykiem, który można usłyszeć o milę w krąg. Nacisnął

spust wypróżniając cały magazyn ffl tłum walczących bestii. Miał osiem kul; wysłał je wszystkie i wtedy dopiero cofnął się w obręb światła.

Nasłuchiwał oddychając głęboko. Nie widział już jarzących ślepi ani nie łowił

chrzęstu ciał. Raptow-ność i zaciekłość jego napaści przeraziła wilki i stado umknęło. Ale pies? Powstrzymał oddech i jeszcze bardziej wyteżył wzrok. Jakiś cień pełził w stronę świetlnego koła. Był to Bari. Carvel skoczył ku niemu, wziął na ręce i przyniósł do ogniska.

Długi czas jeszcze spoglądając na Barięgo miał w oczach zdumione pytanie. Nabił broń na nowo, ale z plecaka dobył trochę białych szmat, którymi przewiązał trzy czy cztery najgłębsze rany no-| gach psa. I pytał raz po raz, nic nie rozumiejąc:

— Co, u diabła, kazało ci to zrobić? Co ty masz do wilków?

Nie spał całą noc, tylko pilnował obozu.

Przygoda z wilkami rozproszyła resztę nieufności pomiędzy człowiekiem a psem. W

ciągu wielu następnych dni, gdy z wolna wędrowali na południo-zachód, Carvel pielęgnował Barięgo tak, jakby się troszczył o chore dziecko. Ze względu na rany psa robił

jedynie parę mil na dobę. Bari rozumiał i rosła w nim coraz mocniej miłość do tego człowieka o rękach równie delikatnych jak ręce Nepeese i głosie niosącym ciepłą pieśczętę przyjaźni.

Nie bał się już mężczyzny ani go podejrzewał o jakieś ukryte zamiary.

Carvel ze swej strony obserwując psa spostrzegł pewne ciekawe szczegóły. Pustka otaczającej kniei i ogromna samotność pozwoliły mu poświęcać wiele uwagi drobiazgom. Niektóre fakty zainteresowały go głęboko. Ilekroć stawali w drodze, Bari obracał

pyskiem na południe; jeśli rozbili obóz, pies najczęściej chwycił południowy wiatr. Było to zupełnie zrozumiałe dla Carvela, który sądził, że tam leży dawny teren myśliwski Bariego.

Lecz w miarę jak dni mijały, zanotował coś jeszcze. Od czasu do czasu, patrząc wstecz ku ziemi, z której właśnie przyszli, Bari skomlał

cicho wykazując potem silny niepokój. Nie zdradzał nigdy chęci porzucenia Carvela, ale człowiek upewniał się coraz bardziej, że jakiś nieznany zew woła psa na południe.

Carvel miał zamiar iść ku Great Slave, około ośmiuset mii na północno-zachód, i dotrzeć tam przed porą roztopów. Stamtąd, gdy ruszą lody, chciał się przedzierać czółnem na zachód, do rzeki Mackenzie i ostatecznie trafić w góry Kolumbii Brytyjskiej. W lutym zmienił

plan. W okolicy jeziora Wholdaia schwytała ich śnieżna zamieć i gdy przyszłość przedstawiała się jak najsmętniej, Carvel po omacku trafił na chatę stojącą w głębi świerkowego boru. W chacie leżał umarły.

Skonał od dawna, gdyż ciało było sztywne i zakrzepłe. Carvel wypalił jamę w ziemi i pochował trupa.

Chata okazała się istnym skarbem dla Bariego i Carvela. Najwidoczniej prócz właściciela, który umarł, nie miała żadnych innych mieszkańców. Była urządzona wygodnie, zaopatrzona w żywność, a ponadto właściciel jej złowił wiele cennych futer, nim mu mróz nadwerężył płuca. Carvel przejrzał

skóry uważnie i radośnie. W każdej faktorii warte były tysiące dolarów i nie widział

powodu, dla którego

nie miałyby obecnie zostać jego własnością. W

ciągu tygodnia oczyścił zawianą śniegiem linię sudeł nie-1 boszczyka i łowił już na własny rachunek.

Działo się to o dwieście mil na północo-zachód od Gray Loon. Wkrótce Carvel zauważył, że Bari nasłuchując zewu zwraca się nie wprost na południe, lecz na południo-wschód. Tymczasem z każdą dobą słońce wyżej wisiało na niebie, powietrze stawało się cieplejsze, a śnieg pod nogami miękł. Wraz z nadejściem wiosny Bariego ogarnęła nowa tęsknota; wzywały go samotne groby Gray Loon, spalona cha-1 ta, opuszczone *tepee* na polance i... Nepeese. We śnie! majaczyło mu to wszystko. Słyszał niski głos dziewczyny, czuł dotyk jej ręki, bawił się z nią w ciemnej głębi lasu, a Carvel, nieraz uparcie obserwując śpiącą cego psa, usiłował pojąć, co się z nim dzieje.

W kwietniu Carvel zarzucił na plecy pęk futer i ruszył z nimi do faktorii Kompanii Zatoki Hudsona stojącej jeszcze dalej na północy. Bari towarzyszył mu pół drogi, po czym — znikł, lecz Carvel wróciwszy o zmroku do chaty zastał już tam psa. Był tak uszczęśliwiony, że objął łeb Bariego i

mocno przylulił go do piersi. Pozostali razem do maja, gdy paki poczęły już nabrzmiwać i z ziemi biła woń nowego istnienia.

Pewnego dnia Carvel znalazł pierwszy pierwiosnek. Tejże nocy spakował swój plecak.

— Czas nam w drogę! — oznajmił Bari emu. — I... zmieniłem zdanie. Idziemy tam!

Wskazał dłonią południe.

## NAD GRAY LOON

Carvel rozpoczynając wyprawę na południe był w dziwnym usposobieniu. Nie wierzył w przeczucia dobre lub złe. Przesady grały w jego życiu rolę nieznaczną. Lecz był

obdarzony naturą pełną ciekawości i chęcią przygód, a lata samotnej włóczęgi rozwinęły w nim trzeźwy pogląd na rzeczy.

Wiedział, że jakaś neodparta siła wlecze Bariego na południe; że ciągnie go nie tylko w pewnym kierunku, lecz i do określonego miejsca. Bez wyraźnych powodów sytuacja poczęła go interesować coraz bardziej, a ponieważ strata czasu nic go nie kosztowała, bo nie miał żadnych specjalnych planów, postanowił dokonać doświadczenia. W ciągu pierwszych dwu dni znaczył podług kompasu drogę psa. Szła wprost na południo-wschód.

Trzeciego ranka Carvel rozmyślnie skreślił na zachód. Wkrótce zauważył w Barim wyraźną zmianę: początkowo niepokój, a potem smętny wygląd, z jakim pies trzymał się jego pięt.

Około dwunastej Carvel ostro zwrócił na południe i niemal natychmiast Bari odzyskał

dawną wesołość, raźnie wyprzedzając pana.

Odtąd w ciągu trzech dni Carvel dążył

śladem Bariego.

— Być może dureń ze mnie, stary —

tłumaczył pewnego wieczora. — Ale widzę w tym rozrywkę. Zresztą, tak czy inaczej, muszę gdziekolwiek przeciąć tor kolejowy, nim trafię w góry, więc co za różnica? Godzę się na wszystko tak długo, dopóki mnie nie zaprowadzisz do tego jegomościa z Lac Bain.

Tylko o co ci, u diabła, chodzi? Czy szukasz jego linii sideł, by się zemścić? Jeśli taki jest twój plan...

Wydmuchał kłęb dymu badawczo

obserwując psa, a Bari, z głową złożoną między przednie łapy, odpowiadał mu długim wejrzeniem.

W tydzień później Bari dał odpowiedź na pytanie Carvela skracając na zachód, tak by w przyzwoitej odległości wyminąć Lac Bain.

Było wczesne popołudnie, gdy przecięli szlak, wzdłuż którego zimą Bush Mac Taggart rozmieszczał swoje sidła. Bari szedł bez przerwy. Dążył wprost na południe tak szybko, że ginał nieraz z oczu Carvela. Był cały ogarnięty hamowanym, lecz mimo to widocznym podnieceniem i skomlał, ilekroć Carvel przystawał dla odpoczynku, nieustannie łowiąc nosem wiatr południowy. Wiosna, kwiaty, zieleń murawy, śpiew ptaków, słodycz powietrza — cofały go ku temu „wczoraj”, gdy należał do Nepeese. W jego nie rozumującym mózgu zima przestała istnieć. Pierzchły bez śladu długie miesiące głodu i chłodu. Wróciły ptaki, kwiaty i błękitne niebo, a wraz z nimi musiała wrócić także Nepeese i czeka teraz poza ową frędzlą boru.

Duszą Carvela owładnęło już coś więcej niż zwykła

ciekawość. Nim dotarli do stawu bobrów, cały był pochłonięty tajemniczością dziwnej przygody. Od żeremi Bari wiódł go brzegiem rzeczulki, gdzie czarny niedźwiedź Wakajo łowił niegdyś ryby, a stamtąd wprost ku Gray Loon.

Było wczesne południe i dzień pogodny jak rzadko. W

ogromnej ciszy wezbrane wody wiosenne, bełkocząc i szemrzając tysiącem strużek i potoków, napełniały lasy ciemną gęźbą. W

ciepłym słońcu gorzały pnącze *baknisz*. Na otwartych przestrzeniach dyszała woń pierwiosnków. Wśród gałęzi drzew i krzewów skojarzone w pary ptactwo wiło swoje gniazda.

Po długim śnie zimowym przyroda święciła bujne przebudzenie.

Był *Unekepesim*, Miesiąc Godów, miesiąc domowych

pieleszy, Bari wracał do domu. Nie towarzyszki życia szukał, lecz Nepeese.

Wiedział, że ją teraz znajdzie, może na skraju parowu, gdzie ją widział po raz ostatni. Będą wkrótce igrzać razem, tak jak wczoraj, przedwczoraj i dawniej jeszcze, więc czekał, pełen radości, i unosząc łeb ku twarzy Carvela naglił go do szybszego chodu.

Wreszcie dotarli do polany i Bari znieruchomiał. Carvel zobaczył zetlałe zgliszcza chaty, a w chwilę później dwa groby pod wyniosłą jodłą. Zaczynał rozumieć i z wolna zwrócił oczy ku wyczekującemu, nasłuchującemu psu. Coś go dławilo w gardle i rzekł miękko, z trudem dobywając głosu:

— Stary, zgaduję, żeś w domu!

Bari nie słyszał. Z uniesionym łbem i nosem godzącym w błękitne niebo węszył. Carvel, obserwując go, pytał sam siebie, dlaczego pies drży, co łowi w cichym powietrzu. Nie było tu nic prócz pustki i śmierci. Nagle Bari wydał



dziwny głos — niemal krzyk ludzki — i skoczył w gąszcz.

Carvel poprzednio zdjął plecak. Teraz cisnął

obok karabin i ruszył w ślad za Barim. Biegł

szybko przez polanę, w gęstwę karłowatej sośniny, po ścieżce zarosłej trawą. Biegł, aż mu tchu zbrakło. Po czym przystanął nasłuchując.

Nie słyszał wcale Bariego. Lecz dróżka, udeptana niegdyś przez ludzi, wiodła dalej, więc zapuścił się nią w las.

Tuż nad głębokim ciemnym jeziorkiem, w którym on i Nepeese kąpali się tylokrotnie, Bari przystanął również. Słyszał plusk wody i oczy mu błyszczały, gdy się rozglądał za dziewczyną. Spodziewał się ją tu ujrzeć, w modrej toni czy na trawie pośród zwisających konarów. Baczenie obszukał wzrokiem dobrze znaną kryjówkę: wielką pękniętą skałę na drugim brzegu, wydmę żwirową, w której ryli na wzór wydr, gałęzie jodły końcami sięgające wody. Lecz ostatecznie pojął, że tu jej nie ma i że należy szukać dalej.

Skręcił w las na dróżkę wiodącą do *tepee*.

Małą polankę zatapiała fala słońca. Szałas stał

na niej po dawnemu. Bari nie dostrzegł w nim żadnych zmian. A z ziemi, przed szałasem, biło ku niebu to właśnie, czego woń Bari ułowił od dawna — wąski słup dymu. Nad małym ogieńkiem chyliła się czyjaś postać i Bari wcale się nie zdziwił, że ten ktoś ma na plecach dwa długie czarne warkocze. Zaskomlił. Na ten dźwięk postać zeszywniała nieco i wolno odwróciła się ku niemu.

Po czym okazało się, jako najnaturalniejsza rzecz w świecie, że to była Nepeese, nie kto inny. Stracił ją wczoraj. Dziś ją odnalazł. I w odpowiedzi na skowyt psa zabrzmiał

rozdzierający krzyk dziewczyny.

Carvel znalazł ich w parę chwil później. Pies przylgnął ciasno do kolan dziewczyny, a Nepeese płakała jak małe dziecko, z twarzą ukrytą na karku Bariego. Nie przeszkadzał im, lecz czekał cierpliwie; a podczas tego czekania cisza leśna zdawała się szeptać dzieje spalonej chaty, historię dwu grobów i znaczenie zewu z południa.

## SMAK KRWI

Tej nocy na polanie gorzało nowe ognisko.

Nie był to skąpy ogieńek niecony w trwodze, że go dostrzegą niepowołane oczy, lecz prawdziwy stos o wysokich płomieniach. W

jego blasku stał Carvel. Zmienił się tak samo jak owa skromna kupka węgla, nad którą Nepeese przyrządzała obiad. Zgolił brodę, odrzucił płaszcz ze skóry karibu, rękawy zakasał

do łokci; na twarzy kwitł mu rumieniec, pozostałość nie tylko wichrów, burz i słońca.

Nie spuszczał oczu z Nepeese. Siedziała przy ognisku, pochylona nieco ku zarzewiu, a jej cudowne włosy mieniły się lśniaco. Carvel obserwował ją, a w jego źrenicach rósł ciepły blask — uwielbienie mężczyzny dla kobiety.

Raptem Nepeese odwróciła głowę i schwytała na sobie jego wejrzenie. Nie kryła się bynajmniej z wyrazem własnych oczu. Na równi z jej twarzą pełne były ufności i szczęścia. Carvel siadł obok dziewczyny na zwalonej brzozie i ujął jeden z jej grubych warkoczy. Mówiąc gniótł go w rękach. U ich nóg, obserwując oboje, leżał Bari.

— Jutro lub pojutrze pójde do Lac Bain! —

oświadczył Carvel, a przez słodycz jego głosu przebijała szorstka nuta. — Nie wrócę, nim go nie zabiję!

Nepeese patrzyła w ogień. Chwilę trwała cisza, przerywana jedynie trzaskiem płomieni, a w tej chwili Carvel przeplatał palce lśniącymi pasmami kruczych włosów. Myślą cofał się wstecz. Co za okazję zmarnował wtenczas na linii sideł Mac Taggarta! Ach, gdyby tylko wiedział! Szczęki jego przybrały twardy zarys, podczas gdy w szkarłatnym sercu ogniska oglądał odbicie minionej tragedii.

Opowiedziała mu wszystko. Ucieczkę. Skok, jak się zdawało śmiertelny, w lodowatą toń przepaści. Cudowne ocalenie, gdy ją półmartwą znalazł Tuboa, bezzębny stary Indianin Cree, któremu Pierrot z litości pozwolił polować w swym rewirze. Carvel odczuł we własnej duszy okropną mękę tych paru godzin, podczas których słońce zagasło nad światem Nepeese.

Widział, jak wierny, stary Tuboa resztką sił

niesie dziewczynę do swej chaty o parę mil odległej od parowu; jak głodują potem oboje tygodniami, miesiącami, a życie Nepeese wisi na włosku. Jak wreszcie podczas najgłębszych śniegów Tuboa umiera.

Carvel zacisnął palce na warkoczu Nepeese.

Po czym, z głębokim westchnieniem, patrząc w ogień, rzekł:

— Jutro pójde do Lac Bain!

Przez chwilę Nepeese nie odpowiadała. Ona również miała oczy wlepione w ogień.

Wreszcie odparła:

—Tuboa zamierzał go zabić na wiosnę, po zejściu śniegów, bo zimą nie mógł iść tak daleko. Gdy Tuboa umarł, wiedziałam, że ja muszę to zrobić. Więc przyszedłam z jego fuzją. Wczoraj włożyłam świeży nabój. I, panie *Jeem* — tu spojrzała na niego z błyskiem tryumfu w oczach — nie potrzebuje się pan trudzić do Lac Bain. Wysłałam posłańca.

—Posłańca?

—Tak, *ookimow Jeem*, posłańca. Przed dwoma dniami. Kazałam powiedzieć, że nie umarłam, że jestem tu, czekam na niego i będę mu żoną.

O... on przyjdzie, *ookimow Jeem*, przyjdzie szybko; ale pan go nie zabije, nie! —

uśmiechnęła mu się z bliska w twarz, a serce Carvela uderzyło jak młot. — Fuzja jest nabita.

J a strzelę!

—Przed dwoma dniami...? — rzekł Carvel.

— A do Lac Bain mamy...

—Będzie tu jutro — odpowiedziała Nepeese prędko. — Jutro o zachodzie słońca wkroczy na polanę. Wiem. Przez cały dzień krew we mnie śpiewa. Jutro! Gdyż on będzie śpieszył, *ookimow Jeem!*

Carvel pochylił głowę. Koniec warkocza dziewczyny przytulił do warg. Nepeese, patrząc znów w ogień, nie dostrzegła tego ruchu. Lecz uczuła go i dusza zatrzepotała w niej niby skrzydła ptasie.

— *Ookimow Jeem!* — szepnęła ledwo ruszając wargami. Dźwięk był tak cichy, że Carvel go nie ułowił.

Gdyby stary Tuboa siedział tu z nimi dzisiejszej nocy, wyczytałby może dziwną przestrożę w porywach wiatru, gwarzących czasem wśród gałęzi drzew. Albo po prostu podejrzewałby to, o czym Carvel, młody i ufny, w ogóle nie myślał. „Jutro, przyjdzie jutro!” —

powiedziała mu Nepeese. Lecz staremu Tuboa wiatr szepnąłby na ucho: a d l a c z e g o n i e d z i ś !

Była północ i księżyc w pełni wisiał nad polaną. Nepeese spała w *tepee*. W głębi poza ogniskiem spał Bari, zwinięty pod zwisającą jedliną, a dalej jeszcze, na skraju gęstwiny, Carvel. Pies i człowiek byli mocno znużeni.

Tego dnia odbyli długą włóczęgę, więc nie słyszeli nic.

Lecz nie szli ani tak długo, ani tak szybko, jak: Bush Mac Taggart. Od wschodu słońca do północy agent zrobił czterdzieści mil, nim wkroczył wreszcie na porębę, na której stała ongiś chata Pierrota. Na skraju boru nawoływał

dwukrotnie, a nie otrzymawszy odpowiedzi, tkwił nieruchomo nasłuchując. Nepeese miała tu czekać. Był znużony, lecz największe, nawet wyczerpanie nie mogło ugasić pożaru krwi.

Namiętność doskwierała mu cały dzień, a teraz, będąc blisko wygranej, upijał się myślą o niej jak winem. Gdzieś niedaleko stąd Nepeese czekała! Krzyknął raz jeszcze. Milczenie. Aż wtem oddech mu zapało. Wciągnął powietrze i już wyraźnie ułowił woń dymu.

Kierowany pierwotnym instynktem leśnego człowieka, stanął twarzą pod wiatr. Nie nawoływał już, lecz pośpieszył przez polanę.

Nepeese była tam gdzieś — śpiąca przy ogniu

— i wezbrał w nim szalony tryumf. Dotarł na brzeg lasu; traf skierował jego kroki ku wydeptanej ścieżce; podążył nią; dym dolatywał coraz wyraźniej.

Instynkt leśnego bywalca posłużył mu i teraz każąc iść ostrożnie. Instynkt i kompletna cisza nocy. Nie skruszył stopą ani jednej gałęzi.

Rozgarniał chaszczę tak przezornie, żs uniknął

wszelkiego szelestu. Trafiwszy wreszcie na skraj polanki, gdzie ognisko Carvela snuło jeszcze spirale żywicznego dymu, kroczył tak cicho, że nawet Bari się nie zbudził.

Być może w głębi duszy zachował dawną podejrzliwość; być może chciał po prostu zaskoczyć dziewczynę we śnie. Widok *tepee* pobudził bicie jego serca. Przy księżycu jasno było jak w dzień, dostrzegł więc rozwieszzone przed namiotem kobiece szmatki. Przysunął się bliżej, miękko niby lis, i stanął z ręką na derze zastępującej drzwi, pochylony, chcąc ułoić najlżejszy dźwięk. Słyszał jej oddech. Na chwilę odwrócił twarz. Księżyc przejrzał się w jego obłąkanych oczach. Potem bardzo cicho odsunął derę.

Stanowczo nie dźwięk zbudził Bariego.

Prawdopodobnie działała to woń. Najpierw drgnęły mu nozdrza; potem się ocknął. Parę sekund patrzył na zgiętą postać w drzwiach szałas. Wiedział, że to nie Carvel. Znana woń, woń znieawidzonego człowieka, napełniła mu nozdrza. Skoczył na nogi i stał ukazując długie kły spoza wolno ściąganych warg. Mac Taggart już znikł. Z wnętrza namiotu dobiegał

hałas, nagły ruch ciał i zdławiony, pełen lęku krzyk. W odpowiedzi Bari strzelił z cienia, z wyciem mającym w sobie zapowiedz śmierci.

Na skraju gęstwy sosnowej Carvel przewracał się niespokojnie. Budziły go dziwne dźwięki; krzyki, które w ogromnym jego wyczerpaniu zdawały mu się zupełnie nierealne. Wreszcie siadł i raptem w szalonej grozie skoczył na nogi i pomknął w stronę szałas. Nepeese stała na zewnątrz rozpaczliwie krzycząc:

— *Oókimow Jeem! Oókimow Jeem!*

Ujrzawszy Carvela wyciągnęła ku niemu rękę.

— *Oókimow Jeem!* — powtórzyła jęcząc.

Z szałas dolatywały chrapliwe wrzaski człowieka i wściekłe warczenie zwierzęcia.

Carvel zapomniał, że przybył tu zaledwie wczoraj, i z krzykiem przygarnął dziewczynę do piersi.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

— *Oókimow Jeem*, to on, potwór z Lac Bain!

Carvel zrozumiał. Chwycił dziewczynę na ręce

i uniósł ją szybko, dalej od dźwięków, które stały się ohydnie mdlące. Dopiero w gąszczu postawił ją na nogi. Opasywała mu ciasno szyję ramionami, dygocąc gwałtownie i łkając. Oczy wlepiła w jego twarz. Przytulił ją raptem i ucałował w same usta. Szepnęła miękko i drżąc:

— *Oókimow Jeem!*

Gdy Carvel wrócił sam jeden do ogniska z coltem w rękę, Bari czekał na niego przed szałasem. Carvel podjął z ziemi płonąca żagiew i wszedł do środka. Skoro się znów ukazał, twarz miał zupełnie białą. Cisnął żagiew w ogień i wrócił do Nepeese. Poprzednio już otulił ją swoim kocem; teraz ukląkł obok biorąc ją w ramiona.

—Umarł, Nepeese.

—Umarł?

—Tak. Bari go zabił.

Zdawała się wcale nie oddychać. Łagodnie, z wargami na jej włosach, Carvel rozwijał perspektywy przyszłego szczęścia:

—Dziś w nocy go pochowam i spalę szałas!

Jutro ruszamy do Nelson House, gdzie jest misjonarz. Potem wrócimy i zbudujemy nową chatę na miejscu spalonej. Czy kochasz mnie, *sakahet*?

—O, tak, *ookimow Jeem*, kocham!

Przerwano im raptem. Bari wydał wreszcie krzyk tryumfu. Uderzyło ku gwiazdom, jęknęło nad szczytami drzew, przesyłało ciche niebo pełne uniesienia wycie wilcze. Echo zamarło z wolna i znów nastąpiła cisza. Ramię Nepeese ciasniej objęło szyję Carvela.

Kitka słów o autorze

Amerykański pisarz James OHver Curwood urodził się 12 czerwca 1878 roku w stanie Michigan (Stany Zjednoczone Ameryki Północnej), w małym zagubionym wśród lasów miasteczku Owosso. Ojciec jego spokrewniony był z angielskim pisarzem marynistą, kpt.

Fryderykiem Marrayatem, matka — z indiańską księżniczką z plemienia Mohawk. Dzieciństwo spędził Curwood na farmie w stanie Ohio, gdzie przebywał do trzynastego roku życia. Mając osiem lat wyruszył ze strzelbą w swoją pierwszą wędrówkę po okolicznych lasach; w rok później napisał

pierwszą swój; powieść, i to liczącą aż sto rozdziałów, która — oczywiście

— nigdy nie została wydana. Tak więc w pierwszych latach życia uwidoczniły się jego za miłowania, których zresztą nigdy nie zmienił: do włóczęgi po lasach i do literatury.

Początkowo przeważało to pierwsze, i to tak da lece, że stało się przyczyną usunięcia Curwooda ze szkoły. Zerwawszy w ten sposób z nauką, która wy dawała mu się nieciekawa i przeszkadzała tylko w odbywaniu ulubionych wycieczek i polowań, roz począł długą, obfitującą w liczne przygody wędrów kę po północnych stanach, na przemian handlując i polując na dzikie zwierzęta, od których podówcza roiły się lasy w sąsiedztwie Wielkich Jezior.

Jednakże włóczęga nie wypełniała mu życia; pragnął pisać i wkrótce zrozumiał, że aby zadośćuczynić tym pragnieniom, musi się nadal kształcić. Ukończywszy więc szkołę wstąpił na Uniwersytet Michigański, na którym odbył

studia w latach 1898—1900.

Od 1900 do 1907 roku był reporterem, a następnie redaktorem wychodzącej w Detroit *News Tribune*.

Mając trzydzieści lat, w rok po ukończeniu pracy w redakcji, wydał swą pierwszą książkę *The Courage of Captain Plurns*, która zapoczątkowała serię dwudziestu sześciu książek, napisanych w ciągu dziewiętnastu lat pracy twórczej. Każda z tych powieści po-wstawała pod wpływem przeżyć i wnikliwych obserwacji autora. Pracował nad nimi często po dwanaście godzin na dobę.

„Przebyłem trzy tysiące mil w górę i w dół

potężnej Saskatchewan, nim napisałem *The River's End*, i gdybym się nie udał w dół

Athabaski, Rzeki Niewolniczej i Mackenzie wraz z przygodnymi brygadami rzeczniymi...

nie napisałbym *Doliny Ludzi Milczących*" —

pisze o sobie Curwood.

Podróżował niemal ciągle po Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i Kanadzie, przebywając tysiące mil na nartach, w kanoe, sankami zaprzężonymi w psy, zwiedzając dzikie, nie znane dotąd nikomu tereny i zbierając materiał do nowych książek. Kilka powieści — w tym *Złote sidła* i *Szara Wilczyca*

— powstało w chacie oddalonej o setki mil od cywilizacji, inne pisał w czasie krótkich przerw w swym dawnym, małym pokoiku w domu ojca, mimo iż miał własny, piękny, pełen zbiorów myśliwskich domek ukryty wśród lasów. Tam jednak — jak twierdził —

opuszczało go natchnienie; za blisko był las, który wzywał do nowych wędrówek, i za dużo było myśliwskich trofeów.

Tak, to mu przeszkadzało również, z biegiem czasu bowiem poznawszy z bliska i pokochawszy dzikie zwierzęta kanadyjskich puszczy, zerwał z polowaniem i stał się największym przyjacielem tych zwierząt. W

wielu swoich książkach, w których głównymi bohaterami są czworonożni mieszkańcy lasów, pisze o nich z nieprzeciętną znajomością ich natury i z wielką miłością. Charakterystycznym przykładem mogą być takie powieści jak: *Włóczęgi Północy* (przed jej napisaniem Curwood przebywał trzy lata w otoczeniu ulubionych zwierząt, obserwując ich obyczaje), *Szara Wilczyca*, *Bari* i *Władca skalnej doliny* —

z czworonożnymi mieszkańcami puszczy jako bohaterami.

We wszystkich powieściach Curwooda, których akcja rozgrywa się na Północy, spotyka się również ludzi zamieszkujących te tereny. Życie ich w surowych warunkach przyrody, wśród ogromnych przestrzeni śnieżnych, pełne jest dramatycznych przygód.

„Przyroda jest moją religią — toteż moim życzeniem, ambicją, wielkim celem, który pragnę osiągnąć, jest przeniesienie czytelników w samo jej serce. Kocham przyrodę i czuję, że i oni będą musieli ją pokochać, jeśli tylko uda mi się zapoznać ich, ze sobą" — tak brzmiało credo literackie pisarza.

Curwood zmarł 13 sierpnia 1927 roku w swym rodzinnym Owosso. Był już wówczas pisarzem znanym nie tylko we własnym kraju, lecz i daleko poza jego granicami.

Digitalizował BodzioKB